

KIRYŁ BUŁYCZOW

**RYCERZE
NA
ROZDROŻACH**

(Przełożył : Tadeusz Gosk)

www.scan-dal.prv.pl

1

Korneliusz Udałow bał się pójść z reklamacją do domu towarowego, zszedł więc na dół i wezwał na pomoc sąsiada. Grubin roześmiał się ukazując długie żółte zęby, ale nie odmówił, gdyż poczuł się tym wyróżnieniem mile polectany. Odsunął mikroskop, zawinął ziarnko ryżu w miękką bibułkę i schował do szuflady. Następnie podszedł do trzystulitrowego akwarium własnej roboty i zdjął wiszącą na nim czarną marynarkę z wyświeconymi łokciami. Tą marynarką osłaniał tropikalne rybki przed zakusami gadającego kruka. Kruk je straszył, bełtając dziobem wodę.

- Tylko się nie łam - mówił Grubin zakładając marynarkę na niebieski, mocno sprany podkoszulek. - W budownictwie raketowym braki są niedopuszczalne.

Kruk załopotał skrzydłami, prosząc w ten sposób, aby go wypuszczono na dwór, ale Grubin nie wziął go ze sobą, lecz, na odwrót, zamknął w szafie.

Udałow podniósł z podłogi wielką przezroczystą torbę, w której znajdowała się wybrakowana czerwona plastikowa rakietka na żółtej platformie startowej, następnie zsunął na oczy słomkowy

kapelusze i pierwszy ruszył ku drzwiom.

Grubin, który przewyższał Korneliusza co najmniej o trzy głowy, kroczył zamasyście, potrząsał potarganą czupryną, śmiał się i gromko perorował. Udałowo szybko przebierał nóżkami, pocił się i lękał, że poznają go znajomi.

Żona Udałowa wybiegła za nim na podwórko i krzyknęła:

- Żebyś mi z pustymi rękami nie wracał!

- No, no - powiedział Grubin półgłosem. - Terrorystka. Ruszyli ulicą w stronę śródmieścia.

Jednopiętrowe, przeważnie murowane miasto Wielki Guslar, niegdyś ośrodek handlowy, a teraz stolica powiatu, pod koniec czerwca było rozpalone do białości od długotrwałych upałów. Nieliczne ciężarówki i autobusy, przejeżdżające ulicą Puszkina, ciągnęły za sobą długie stożki żółtego kurzu i przypominały lądujących spadochroniarzy. Dochodziła druga i skwar stał się nie do wytrzymania. Na ulice wpełzali jedynie ci ludzie, którzy koniecznie musieli. Dlatego Korneliusz wybrał tę porę, a nie wieczór. Zrezygnował nawet z obiadu, gdyż miał nadzieję, że dom towarowy będzie pusty i nie trzeba się będzie wstydzić reklamowania jakiejś tam głupiej zabawki.

Gdy mijali aptekę, Grubin przywitał się z siedzącym w otwartym oknie prowizorem Sawiczem.

- Nie jest panu gorąco? - zapytał Sawicz zerkając na Grubina znad okularów. On sam spływał potem i dyszał ustami, jak ryba wyrzucona na piasek.

- Idziemy do boju! - powiedział głośno Grubin. - Wytaczamy państwu sprawę cywilną.

Udałowo już żałował, że zabrał ze sobą sąsiada. Pociągnął go za połę marynarki, żeby się nie zatrzymywał.

- I wy też, towarzyszu Udałowo, uczestniczycie w tej sprawie? - Prowizor ucieszył się, że ma okazję pogadać. - Macie kłopoty?

Udałowo mruknął coś i przyspieszył kroku. Pokręcił głową, żeby kapelusz głębiej opadł na oczy, i nawet zaczął utykać, tak bardzo chciał, aby nikt go nie rozpoznał.

Grubin dopędził go dwoma krokami i powiedział:

- Sawicz ma rację. Już od dawna zastanawiam się, w jaki sposób można materialistycznie wytłumaczyć, że połowa pecha przypadającego na nasze miasto skupia się na tobie?

- Warto by pomalować archiwum - powiedział Korneliusz.

Grubin zdziwił się i popatrzył na cerkiew Paraskewy Piatnicy, w której mieściło się archiwum powiatowe.

- Twoja sprawa - powiedział. - Jesteś dyrektorem.

Po drugiej stronie ulicy stał klasztor Spaso-Trofimowski, oddany po rewolucji Technikum Rzeczemu. Barczyści uczniowie wyjeżdżali stamtąd na rowerach i gnali na plażę. W przeciwieństwie do cerkwi klasztor był bardzo przyzwoicie pomalowany, a kopuły głównego soboru błyszczały w słońcu jak piekielne szklane kotły wypełnione płynną lawą.

- Mówiła mi twoja żona - ciągnął Grubin - że w dziesiątej klasie na egzaminie z historii wyciągnąłeś trzynasty zestaw pytań i dlatego nie dostałeś medalu. To prawda?

- I tak bym go nie dostał - zaproponował Udałow i pomyślał, że Ksenia niepotrzebnie plotkuje na ten temat. To przecież stara sprawa z Kastielską, ówczesną historyczką. Gdyby można było powtórzyć życie, wykułby się wszystkiego o prawie pańszczyźnianym. Ileż to lat minęło! Nie myślał wówczas, że zostanie dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego, widział przed sobą prostą drogę i jasną przyszłość.

- Ja tam jestem z życia zadowolony - powiedział na głos, a Grubin zerknął na niego z góry i roześmiał się. Albo nie uwierzył, albo sam nie był zadowolony.

Dom towarowy mieścił się w dawnym sklepie kupca Titowa. Kupiec tuż przed I wojną światową otrzymał szlachectwo i herb z trzema dzikami - Odwaga, Wytrwałość, Dobrobyt. Teraz dziki zostały z herbu usunięte, a rycerski hełm z pióropuszem nad tarczą pozostał. Zostały też kupidyny po bokach.

Przed wejściem do domu towarowego siedziały rzędkiem zaczadziałe od gorąca babcie z podmiejskiego sowchozu. Siedziały tak od nocy, bo uwierzyły w plotkę, że będą dawać przecenione trykotowe bluzki.

Malutki Udałow odwrócił się od staruszek i spróbował wskoczyć bokiem na trzy stopnie. Bardzo starał się zrobić to lekko i szybko, ale potknął się o górny stopień, przewrócił się, uderzył bokiem o framugę, narobił mnóstwo hałasu i usiadł z rozmachem na polietylenowej torbie z plastikową rakieta.

Grubin tylko gwizdnął. Babcie ocknęły się i zaświergotały. Rakietą głośno skrzypnęła i rozpadła się jak suchy strączek grochu. Żółta platforma startowa spłaszczyła się na placek.

Korneliusz, bojąc się obejrzeć, wymacał za sobą torbę, chwycił ją i na ugiętych nogach wbiegł w chłodny półmrok sklepu.

- A nie mówiłem? - powiedział Grubin do staruszek.

Babcie przestraszyły się jego dzikiego wzroku i ucichły.

- Sprawa się komplikuje - oświadczył Grubin i pospieszył za Korneliuszem.

Udałow szedł wolniutko, jakby brodził po kolana w wodzie, i nie odwracał się, nie patrzył, jakiej biedy sobie napytał. Wolną ręką masował stłuczony bok. W ten sposób dotarł do stoiska z zabawkami, zatrzymał się i poczekał na Grubina.

- Jak tam? - wyszeptał spod kapelusza.
- Niedobrze - odparł Grubin. - Może wrócimy do domu?
- Nie da rady - westchnął Korneliusz - żona nie wpuści.

Szurowiczka Rodionowa, ekspedientka w dziale zabawek, czekała na przerwę obiadową i czytała książkę Zenona Kosidowskiego "Opowieści biblijne". Szurowiczka wybierała się na archeologię i już od trzech lat uczęszczała na zajęcia kółka historycznego prowadzonego przez Helenę Siergiejewną Kastielską. Szkołę ukończyła z dobrym wynikiem, ale nie pojechała na studia do Wołogdy, gdyż nie najlepiej było z pieniędzmi. Postanowiła na razie popracować z rok w handlu, chociaż ze swych planów nie zrezygnowała, czytała rozmaite książki i uczyła się angielskiego. Miała zaledwie dziewiętnaście lat i była tak ładna, że niektórzy bezdzietni mężczyźni przychodzili kupować u niej zabawki.

Szurowiczka słyszała hałas dobiegający od drzwi, ale nie oderwała się od książki, bo czytała właśnie komentarz redakcyjny, wyjaśniający błędy autora. Dopiero kiedy Grubin i Udałow podeszli do lady, uniosła głowę, poprawiła złocistą grzywkę i powiedziała: "Słucham". A myślami była jeszcze w mieście Jerycho na Bliskim Wschodzie i przeżywała jego tragedię.

Znała obu klientów. Jeden z nich, malutki, tęgi i łysawy, to był Udałow, dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego. Drugi, długi, kanciasty i kudłaty, był kierownikiem punktu skupu surowców wtórnych, przyjmował puste butelki i makulaturę.

- Dzień dobry - powiedzieli klienci.

Udałow skrzywił się boleśnie i wolno wyciągnął zza siebie wielką polietylenową torbę z żalonymi resztkami plastikowej rakiety.

- Oj! - powiedziała Szurowiczka. - Co się stało?
- Proszę wymienić! - powiedział Udałow. - Wybrakowana!
- Nie rozumiem.

Szurowiczka odłożyła książkę i zapomniała o mieście Jerycho.

- Nie widzicie czy co? - tym samym gniewnym głosem zapytał Udałow.

Szurowiczka nie wiedziała, że mówi tak dlatego, iż jest nieśmiały i zdaje sobie sprawę z niesłuszności swoich roszczeń, więc obraziła się:

- Ja wam, obywatelu, czegoś takiego nie sprzedawałam. Wando Kazimirowno!

Korneliusz całkiem już się speszył i wrzasnął:

- Dajcie mi książkę zażaleń!

Chciał zsunąć słomkowy kapelusz na tył głowy, ale zrobił to zbyt energicznie i kapelusz odleciał. Udał się pobić za frunącym kapeluszem.

- Proszę nas dobrze zrozumieć - powiedział Grubin. - Rakietę była wybrakowana już wtedy, kiedy wydarzył się incydent.

Podeszła Wanda Kazimirowna, dyrektorka domu towarowego, niewiasta postawna, tęgawa i energiczna, żona prowizora Sawicza.

- Taki towar - powiedziała do Grubina z ironicznym uśmiechem - należy odnosić do składnicy odpadków, a nie do sklepu.

Babcie usłyszały rozmowę i weszły do wnętrza. Jedna z nich powiedziała:

- Wstydziłoby się czymś takim handlować. Inna zapytała:

- Bluzki dziś będą dawać?

- Tylko spokojnie - powiedział Grubin. - Zaraz pani wszystko pokażę.

Wyjął z torby dwie połówki rakiety, złożył je w strączek i pokazał Wandzie Kazimirownie:

- Widzi pani pęknięcie w tylnej części? Właśnie z tym pęknięciem sprzedano nam towar.

W tylnej części rakiety było kilka pęknięć i znaleźć to właściwe było niełatwo. Szuroczka zapłonęła świętym oburzeniem.

- Nabijacie się ze mnie czy co? - zapytała.

- Alkoholik! - oświadczyła jedna ze staruszek.

- Tu jest paragon - powiedział Korneliusz podchodząc do lady. Kapelusz trzymał pod pachą. - Kupowaliśmy nie dalej niż wczoraj i dlatego mam jeszcze paragon. Przyszedłem do domu i zobaczyłem pęknięcie.

- Jakże tam znów pęknięcie? - powiedziała Wanda Kazimirowna. - Szuroczka, nie denerwuj się. Zawiadomimy o wszystkim ich zakłady pracy. Przecież to nie jest rakietę, tylko wynik trzęsienia ziemi.

- Proszę nie zwracać uwagi na to, że rakietę jest połamana - powiedział Grubin. - To stało się znacznie później. A trzęsienia ziemi u nas się nie zdarzają. Ludziom należy ufać.

I właśnie w tym momencie w Wielkim Guslarze zaczęło się trzęsienie ziemi.

Z ulicy dobiegł głuchy łoskot. Ziemia uciekła spod nóg. Zatrzęsły się półki. Stosy talerzy, jakby rzucone przez niedoświadczonego zonglera, rozleciały się po sklepie. Filizanki i czajniki rozpryskiwały się o lady, celuloidowe lalki i pluszowe misie zeskoczyły na podłogę, kolorowe

chustki i powłoczki wleciały w powietrze niczym czarodziej sicie dywany, a stojaki z garniturami i płaszczami zaczęły sunąć ku wyjściu, co sprawiało wrażenie, jakby chciały ewakuować się na ulicę śladem staruszek, które uciekły ze sklepu z wielkim krzykiem i płaczem. Porozbijane flakony perfum i wody kolońskiej wypełniły lokal niepowtarzalnym i fantastycznym bukietem aromatów. Z sufitu płatami opadał tynk.

Grubin jedną ręką chwycił przezroczystą torbę z resztkami wyrzutni raketowej, drugą zaś podtrzymał chwiejącą się Szuroczkę Rodionową. Był jedynym, który nie stracił głowy.

- Zachować spokój! - krzyknął.

Korneliusz szybko naciągnął na uszy kapelusz, jakby tylko on mógł go uratować w minucie ciężkiej próby. Bujna wyobraźnia nakreśliła mu wizerunek spustoszonego przez żywioł Wielkiego Guslaru, ruiny wznoszące się przy zasypanych ceglami ulicach, szalejące pożary, jęki ofiar, płacz bezdomnych dzieci i starców. Ujrzał oczyma duszy, jak on, Korneliusz, idzie tymi ulicami, nie wiedząc, od czego zacząć, czując swą bezradność i zdając sobie z tego sprawę, że jako zwierzchnik przedsiębiorstwa budowlanego jest główną nadzieją zasypanych i bezdomnych. Ale nie ma sprzętu, nie ma rąk do pracy, panuje rozpacz i panika! I nagle nad głową rozlega się ryk samolotów odrzutowych, a na niebie białymi liliami rozkwitają spadochrony. To inne miasta nadeszły pomoc. Prefabrykowane domy, mosty i fabryki wolno opadają w dół i zajmują miejsca zaplanowane z góry w Centrali. Niczym manna niebieska sypie się z chmur kaloryczny zielony groszek, spadają na jezdnię, podskakują, deformują się, lecz nie pękają puszki skondensowanego mleka i sardynek. Pomoc nadeszła w porę. Korneliusz unosi głowę i wsłuchuje się w błogą ciszę.

Błoga cisza rzeczywiście nastąpiła.

Podziemne wstrząsy ustały równie niespodziewanie, jak się zaczęły. Ciężkie, katastrofalne milczenie ogarnęło dom towarowy i zatykało uszy niczym ryk odrzutowca.

- Opuścić pomieszczenie! - krzyknął ogłuszająco Grubin.

Rzucił na podłogę plastikową torbę, chwycił jedną z połówek raketowego strączka, drugą wepchnął do ręki Udałowowi i pociągnął wszystkich za sobą, aby odkopywać domy i udzielać pomocy ludności. Korneliusz posłusznie biegł z tyłu, chociaż nic nie widział, bo na głowę opadł mu obrus, który nadał mu wygląd beduina lub angielskiego szpiega Lawrence'a.

Na szczęście nie trzeba było nikogo odkopywać. Klęska żywiołowa, która spadła na Wielki Guslar, nie była trzęsieniem ziemi.

O jakieś trzydzieści metrów od wejścia do sklepu jezdnia zapadła się i w dziurze tylnymi kołami utknęła załadowana ciężarówka do przewozu drewna. Kurz jeszcze nie zdążył opaść, kłębił się wokół samochodu, i migocąc w słońcu, nadawał całemu widokowi jakiś zagadkowy niezemski charakter.

- Zapadlisko - powiedział spokojnie Udałow ściągając z głowy obrus i starannie go składając. Zapadliska zdarzały się w mieście dość często, gdyż Wielki Guslar był bardzo stary i obfitował w

podziemne przejścia oraz w prastare piwnice.

- Znów masz pecha, Korneliusz - powiedział Grubin odrzucając ze złością połówkę rakiety. - Teraz nie ma mowy o żadnych reklamacjach. Będziesz musiał naprawiać jezdnię.

- A tu jak na złość kwartał się kończy - powiedział Korneliusz, po czym obrócił się do dyrektorki domu towarowego i dodał: - Wando Kazimirowno, skorzystam z waszego telefonu. Muszę ściągnąć koparkę.

Z tumanów kurzu wyłonił się blady, drżący z przerażenia kierowca ciężarówki. Poznał Udałowa i natychmiast na niego naskoczył:

- Towarzyszu dyrektorze - powiedział. - Jak długo jeszcze mamy ryzykować życiem? A co by było, gdybym wiózł szkło albo materiały wybuchowe?

- Zaraz materiały wybuchowe - wtrącił się Grubin. - Kto ci je powierzy?!

- Jak będzie trzeba, to się taki znajdzie - odparł kierowca, który właśnie zobaczył Szuroczkę, przestał dygotać i przybrał bohaterską postawę.

- Zapadlisko jak zapadlisko - powiedział Udałow. - Nie pierwsze i nie ostatnie. Zaraz wyciągniemy, dziurę zasypjemy i wszystko będzie jak w aptece. Skoczyłbyś na milicję, żeby postawili znak zakazu wjazdu. A autobus niech puszcza przez Krasnoarmiejską.

2

Helena Siergiejewna odgarnęła za ucho prosty kosmyk siwych włosów, zmrużyła oczy i wysypała do rondelka dokładnie pół szklanki kaszy manny z niebieskiej kwadratowej puszki, opatrzonej napisem "Cukier". Mleko wzburzyło się, jakby kaszka okrutnie je oparzyła, ale Helena Siergiejewna zdążyła zamieszać w garnuszku srebrną łyżką, którą trzymała w pogotowiu.

Wania wjechał do kuchni czołgiem, zrobionym z tomu "Sowriemiennika" za rok 1863 i czterech pudełek po zapalkach.

- Nie potrzebuję twojej kaszy! - wrzasnął.

- Podaj mi sól - powiedziała Helena Siergiejewna.

- Znów zapomniałaś posolić, babciu? - zapytał Wania.

Helena Siergiejewna nie czekała, aż Wania zawróci czołgiem w stronę czarnego kredensu, zamasyście podeszła, wyjęła solniczkę i na jej widok przypomniała sobie, że już solila mleko. Odstawiła ją więc na miejsce.

- Babciu - powiedział Wania rozkapryszonym głosem. - Nie chcę twojej kaszy. Ja chcę kogel-mogel.

W rzeczywistości nie chciał ani tego, ani tego. Chciał wywołać awanturę.

Helena Siergiejewna świetnie zdawała sobie z tego sprawę i dlatego nie odpowiedziała. Przez miesiąc zdążyli się sobie nawzajem naprzykrzyć, ale synowa zabierze go dopiero za dwa tygodnie.

Helena Siergiejewna stwierdziła, że w wieku sześćdziesięciu lat nie ma już serca do dzieci. Straciła dla nich wyrozumiałość i cierpliwość. Po awanturach z wnukiem uspokajała się wolniej niż on. A przecież sama poprosiła synową o przywiezienie Wani do Wielkiego Guslaru. Znużyła ją samotność długich zmierzchów, kiedy widmowe niebieskie światło wlewa się do pokoju, oświetlając pęczniące czarne szafy, które dawno już należało opróżnić ze starych czasopism i różnych rupieci.

Dawniej Helena Siergiejewna myślała, że na emeryturze nie tylko odpocznie, ale także zdoła wiele zrobić z tego, co dotychczas odkładała ze względu na nawal pracy, zebrań i posiedzeń. Zamierzała na przykład napisać historię Guslaru, wybrać się do siostry mieszkającej w Leningradzie, uporządkować zbiory muzeum, gdzie nieustannie zmieniały się jakieś nierozgarnięte dziewczyny, które po miesiącu wychodziły za mąż albo uciekały do innej pracy, gdzie płacono chociażby o dziesięć rubli więcej niż w niezbyt hojnym miejskim muzeum.

Nic jednak z tego nie wyszło. Historia Wielkiego Guslaru leżała rozgrzebana na biurku i niemal nie posuwała się naprzód. Dzieci siostry chorowały i zamiast bez pośpiechu obejść wszystkie leningradzkie muzea i teatry, Helena Siergiejewna musiała zająć się gospodarstwem. Do muzeum przyszedł nowy dyrektor, który uprzednio kierował Technikum Rzecznym. Dyrektor traktował swoją nominację jako niesprawiedliwą, lecz nieuniknioną karę i czekał, aż ucichnie gniew wysokiej powiatowej zwierzchności, żeby ponownie rozpocząć wspinaczkę po drabinie służbowej. Dyrektor był nieprzychylny Helenie Siergiejewnie, gdyż jej zabiegi o wzbogacenie zbiorów i rozwijanie kółek zainteresowań przeszkadzały mu w realizacji bardzo ważnej inicjatywy o znaczeniu ogólnoojewódzkim: budowy Pomnika Pionierów, którzy w odległych czasach wyruszali na podbój Syberii i Dalekiego Wschodu. Pionierzy bardzo często wyruszali z Wielkiego Guslanu, miasta kupieckiego, niespokojnego, konkurenta Archangielska i Wołogdy.

- Babciu, a w kaszce będzie dużo kluchów? - zapytał Wania.

Helena Siergiejewna pokręciła głową i uśmiechnęła się nieznacznie. Cruzelki naturalnie będą. Przez ponad sześćdziesiąt lat swego życia jakoś nie potrafiła nauczyć się gotować kaszki manny. Gdyby udało jej się zacząć życie od początku, z pewnością podejrztałaby, jak to robiła nieboszczka mama.

Ktoś zastukał w okno. Wania zapomniał o czołgu i pobiegł odsunąć zasłonkę. Nie zobaczył nikogo - w okno zawsze pukali znajomi, zanim weszli przez furtkę, okrążyli dom i zastukali w drzwi od podwórka.

Helena Siergiejewna zmniejszyła płomień i uznała, że zdąży otworzyć drzwi, zanim kaszka się przypali. Szybko przeszła przez ciemną sień. Od każdego stąpienia, krótkiego i energicznego, ogłuszająco skrzypiały deski podłogi.

Za drzwiami stała Szuroczka Rodionowa, która przez lato wyładniała i wydorosłała, a poza tym obcięła sobie warkocz, aby wydawać się starszą.

- Wytrzymaj nogi - powiedziała Helena Siergiejewna patrząc z przyjemnością na Szuroczkę. Szuroczka zarumieniła się - miała delikatną brzoskwiniową cerę i dlatego łatwo się czerwieniła, upodabiając się do przedrewolucyjnych pańienek. Szuroczka przywitała się, wytarła nogi, choć na dworze było sucho, i poszła za Heleną Siergiejewną do kuchni. Była bardzo podniecona i dlatego trajkotała jak nakręcona, nie stosując znaków przestankowych i dużych liter.

- Taka historia Heleno Siergiejewno ciężarówka jechała ulicą Puszkina i zapadła się pod ziemię masa ludzi myśleli że trzęsienie ziemi Udałow z przedsiębiorstwa budowlanego powiedział będziemy zasypywać a to piwnica a dyrektora muzeum nie ma bo pojechał do obwodu na naradę w sprawie pionierów i trzeba zapobiec temu bo tam mogą być zabytki...

- Poczekaj - powiedziała Helena Siergiejewna. - Zamierzałam właśnie nakarmić Wanię. Si adaj i powtórz wszystko wolniej i logiczniej.

Szuroczka zaczęła wszystko od początku. Poczula się onieśmielona i z młodej, przystojnej kobiety przekształciła się w uczennicę-prymuskę, przewodniczącą kółka historycznego.

Helena Siergiejewna nałożyła gęstej kaszy na talerz i posypała ją cukrem. Wania miał zamiar dopomnieć się o dżem malinowy, ale zapomniał. Był mocno zaintrygowany nieoczekiwaną wizytą i trajkotaniem Szuroczki. Posłusznie usiadł przy stole, wziął łyżkę i zagapił się na dziewczynę. Jak we śnie zaczerpnął łyżką kaszę, nie trafił nią do ust i wysmarował sobie ucho. Bezdźwięcznie poruszał wargami, powtarzając relację Szuroczki słowo po słowie, aby lepiej ją zrozumieć.

- No więc jechała ciężarówka ulicą Puszkina - mówiła Szuroczka nieco wolniej, choć nadal bez znaków przestankowych. - I od razu zapadła się tylnymi kołami ludzie myśleli że to trzęsienie ziemi wybiegli ze sklepu a tam piwnica...

- W którym miejscu dokładnie? - zapytała Helena Siergiejewna.

- Na rogu ulicy Tołstoja.

- Tamtędy biegł kiedyś Piekielny Zaulek - powiedziała Helena Siergiejewna mrużąc oczy i wyobrażając sobie plan miasta w okresie między wiekiem piętnastym a osiemnastym.

- Słusznie - ucieszyła się Szuroczka. - Opowiadała nam pani jeszcze na zajęciach kółka tam był Piekielny Zaulek w którym pracowali kowale szerokość dwa metry kończył się ślepo przy miejskich

murach tak właśnie powiedziałam Udałowowi z przedsiębiorstwa budowlanego a on powiada że kwartał się kończy i musi zdać komisyjnie ulicę Puszkina którą asfaltowali przez trzy miesiące bo inaczej nie dostanie premii.

- Skandal - powiedziała Helena Siergiejewna. - Wania, nie dmuchaj na łyżkę. Nie mam go z kim zostawić.

- Ja z nim posiedzę, Heleno Siergiejewno - powiedziała Szuroczka. - Bez pani oni tam zasypią piwnicę, a pani nawet Bielów się słucha.

- Nie mam żadnej władzy - powiedziała Helena Siergiejewna. - Jestem na emeryturze.

- Panią zna całe miasto.

- Poczekaj chwilkę.

Helena Siergiejewna poszła do malutkiego pokoiku obok kuchni i wkrótce wróciła. Uczesała się, ułożyła swe siwe włosy w kok. Założyła ciemną nauczycielską sukienkę z oślepiająco białym wykładanym kołnierzykiem. Szuroczka przypominała sobie, jak pięć lat temu przyszła po raz pierwszy na zebranie kółka historycznego i Helena Siergiejewna, w takiej samej ciemnej sukience, poprowadziła członków kółka na górę, do pierwszej sali muzeum, gdzie stał oparty o ścianę sfatygowany kieł mamuta, wisiał obraz przedstawiający powszednie życie ludzi z epoki kamienia, a w gablotce pod szkłem leżały rzędkiem gliniane skorupy i groty strzał, wyłowione z rzeki Guś przez przedrewolucyjnych gimnazjalistów.

- To posiedzisz z nim trochę? - zapytała Helena Siergiejewna.

- Dziś mam wolne popołudnie.

Helena Siergiejewna zeszła z ganku, zwawo przebiegła drewnianym chodniczkiem do furtki, zamknęła ją i ruszyła ulicą Słobodzką w stronę centrum, przez most przerzucony nad Griaznuchą, która od niepamiętnych czasów dzieli miasto na Guslar i Słobodę. Za mostem po prawej stronie wznosi się budynek szpitala dziecięcego, dawniejszy dom kupców Sinicynów, w którym zachowały się wspaniałe piece kaflowe z połowy osiemnastego wieku, a po lewej - cerkiew Borysa i Gleba, szesnasty wiek, unikalna budowla, wymaga konserwacji. Za cerkwią jedną fasadą na ulicę, drugą na rzekę wznosi się Miejskie Gimnazjum Męskie, obecnie Szkoła Średnia Nr 1. Za gimnazjum rozciąga się obszerny, zawsze wietrzny plac, pokryty w połowie trawnikami. Przed rewolucją stały tu zajazdy i sukiennice, ale w roku 1930, kiedy burzono cerkwie, przy okazji rozebrano również i to, chociaż hale dałyby się wykorzystać jako lokum dla rynku kołchozowego. Tam właśnie nowy dyrektor muzeum zamierzał postawić Pomnik Pionierów. Po przeciwległej stronie placu wznosi się piętrowy budynek muzeum, zabytek osiemnastowiecznej architektury miejskiej pod ochroną. Ale Helena Siergiejewna nie poszła przez plac, tylko przy sklepie spożywczym skręciła w ulicę Tołstoja.

Na rogu spotkała prowizora Sawicza, starego znajomego.

- Słyszałaś, Lena - powiedział Sawicz, sapiąc i wachlując się postrzępioną książką - że

ciężarówka wpadła do piwnicy?

- A jak sądzisz, dokąd ja idę? - zapytała Helena Siergiejewna. - Z wizytą do koronczarek?

- Daj spokój, Lenoczko - powiedział łagodnie Sawicz. - Nie warto się denerwować. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, to już trzecie zapadlisko w ciągu ostatnich lat? - Czwarte, Nikita, czwarte - powiedziała Helena Siergiejewna. - Pójdę już tam, żeby czegoś przypadkiem nie zniszczyli.

- Naturalnie. Gdyby nie ten upał, sam bym poszedł popatrzeć. Ale przerwa obiadowa jest krótka, a moje brzuszysko domaga się pokarmu. Zresztą przypuszczałem, że cię spotkam. W tym mieście wszystko cię obchodzi.

- Obchodziło. Teraz jestem na emeryturze. Pozdrowienia dla Wandy Kazimirowny.

- Dziękuję, już dawno wybieramy się do ciebie w gości...

Jednak Helena Siergiejewna ostatnich słów już nie słyszała. Szybkim krokiem szła w kierunku ulicy Puszkina. Sawicz poprawił okulary i powlókł się dalej, zastanawiając się nad tym, czy w lodówce stoi jeszcze butelka piwa, czy już ją wczoraj wypił. Wyobraził sobie zapełniała, ciemnozieloną butelkę, syk gazu wydobywającego się spod kapsla, zmrużył oczy i przyspieszył kroku.

3

Na ulicy Puszkina, nie dochodząc do domu towarowego, stał tłum. Tłum wydawał się nieruchomy i jakby nieżywy. Jedyne dzieciarnia krążyła wokół niego, wpadała do sroka i znowu wyskakiwała na zewnątrz jakby pszczoły z roju. Jezdnią wolno toczyła się koparka na gąsienicach.

Gdy Helena Siergiejewna podeszła bliżej, tłum rozpadł się na poszczególnych ludzi, przeważnie znajomych - uczniów, przyjaciół, sąsiadów i po prostu mieszkańców miasta, o których nie wie się niczego, ale jednak wymienia z nimi ukłony na ulicy.

Helena Siergiejewna przecisnęła się przez tłum i znalazła się na skraju zapadliska. Asfalt pokryty był pęknięciami, garbatymi falami, w jakie układa się zazwyczaj miękki gumowy dywanik, i urywał się nad owalną czarną studnią. Po drugiej stronie studni stała ciężarówka do przewozu drzewa, którą już wyciągnięto na jezdnię. Obok niej leżały nie okorowane pnie.

Nad zapadliskiem kłócili się dwaj mężczyźni. Jeden z nich był niski, agresywny i krył twarz pod słomkowym kapeluszem. Drugi, wysoki jak koszykarz, z rozczochranymi włosami, w czarnej marynarce założonej bezpośrednio na niebieską koszulkę gimnastyczną, wycofywał się pod naporem niziutkiego, ale nie zaprzestawał walki.

- Według mnie to skandal i nieporządek - stwierdził niski. - Skończyliśmy asfaltowanie odcinka, złożyliśmy raport powiatowi i obwodowi, oczekujemy na zasłużoną premię - nie ja osobiście, lecz cała załoga. A ty co mi radzisz? - Zrobił krok do przodu, a długi cofnął się, ryzykując upadek w przepaść.

- Korneliuszu, zapomniałeś o nauce, o sławie rodzinnego miasta - powiedział balansując na skraju zapadliska.

- A ludzie stracą premię? Hej, Edik! - niziutki dojrzał koparkę. - Edik, podjeżdżaj tu!

- Poczekajcie - powiedziała Helena Siergiejewna.

- A pani niby jakim prawem? - zapytał niziutki nie podnosząc głowy. - Edik!

- Słuchaj, Korneliuszu - powiedziała Helena Siergiejewna. - Zdejmij kapelusz i podnieś głowę.

W tłumie ktoś zachichotał. Operator koparki wyłączył silnik i podszedł bliżej.

- To właśnie ta dziura? - zapytał. - Ona ma jakieś historyczne znaczenie?

Dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego posłusznie zdjął kapelusz i uniósł do góry szczere, błękitne oczęta

notorycznego dwójkowicza. Wszystko już zrozumiał i poddał się.

- Dzień dobry, Heleno Siergiejewno - powiedział. - Nie poznałem pani.

- Nie o to mi chodzi, Korneliuszu.

- Słusznie, nie o to. Ale proszę wejść w moje położenie.

- A gdyby coś podobnego wydarzyło się na Placu Czerwonym? - zapytała surowo Helena Siergiejewna. - Sądzisz, że Komitet Centralny pozwoliłby wezwać koparkę i zasypać zapadlisko, zanim uczeni go nie zbadają?

- Plac Czerwony to co innego - odparł Udałow.

- Dobrze mu tak - ucieszył się Grubin. - Zaraz tam zejść i migiem wszystko obejrzę.

- A propos, jeśli się nie zbada, dokąd prowadzi zapadlisko - dodała Helena Siergiejewna - to nie da się wykluczyć, że jutro wydarzy się katastrofa o dziesięć metrów stąd, na przykład tam.

Wszyscy posłusznie spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku.

Grubin przykucnął i spróbował dojrzeć, co kryje się w piwnicy, ale nic nie zobaczył.

- Potrzebna jest latarka - powiedział.

- Latarka jest.

Z tłumu wyłonił się szczuplutki chłopczyk z długą latarką elektryczną w ręku.

- Tylko weźcie mnie z sobą - poprosił.

- Nie zamierzamy bawić się w podchody - powiedział Grubin i odebrał chłopcu latarkę. - Heleno Siergiejewno, pozwoli pani?

- Proszę poczekać. Tam powinien zejść przedstawiciel muzeum.

- Poza panią nie ma nikogo. A pani może kontrolować moje poczynania z góry.

Obok Heleny Siergiejewny pojawił się młody człowiek z aparatem fotograficznym, podobny do Czechowa w młodości.

- Nie znacie mnie, jestem tu od niedawna - wyjaśnił. - Pracuję w gazecie rejonowej i nazywam się Standal. Misza Standal. Skończyłem wydział historii.

- No to jak, będziemy stać czy będziemy zasypywać? - zapytał operator koparki. - Zdecydujcie się na coś, bo godziny lecą.

- Idźcie - zgodziła się Helena Siergiejewna.

- Wobec tego i ja pójdę - powiedział nagle operator. - Muszę popatrzeć, gdzie sypać ziemię, a zresztą siła fizyczna też może się przydać.

Helena Siergiejewna zgodziła się również i na to. Udałow z początku chciał oponować, ale potem machnął ręką. Jak niefart, to niefart.

- Tu nie jest głęboko - powiedział Grubin świecąc latarką do studni.

Położył się na asfalcie, zwiesił nogi do otworu i zjechał na brzuchu w ciemność. Sieknął i znikł.

- Chodźcie tu! - dobiegł po paru sekundach jego dudniący, podziemny głos.

Tłum przysunął się do krawędzi zapadliska i Helena Siergiejewna powiedziała:

- Odejdźcie, towarzysze. Sami możecie wpaść i innym zrobić krzywdę.

- Słyszycie, co się do was mówi - ożywił się Udałow. - Do tyłu!

Operator koparki zeskoczył w dół i schwycił Misze Standala.

- No i jak tam? - krzyknął Udałow. Uklęknął opierając się silnie pulchnymi łapkami o asfalt i

głos jego zabrzmiał głucho, odbity przez niewidzialne ściany zapadliska.

- Tu jest przejście! - odezwał się z dołu czyjś głos.

- Tam jest przejście - powtórzył ktoś w tłumie.

- Przejście...

Wszyscy znieruchomieli i zamilkli, zamilkła nawet dzieciarnia porażona przecuciem bliskiej tajemnicy. W ludziach ożyły atawistyczne instynkty poszukiwaczy skarbów, które drzemią w każdym człowieku, lecz budzą się jedynie w wyjątkowo energicznych jednostkach, nieoczekiwanie skłaniając je do rzucenia się w wir przygody, wyruszenia na dalekie szlaki.

4

Zapadlisko wydawało się Milicy Fiodorownie Bakszt, z jej punktu obserwacyjnego, wielkim atramentowym kleksem. Milica Fiodorowna przyglądała się opisanym już wydarzeniom z okna pierwszego piętra. Podjechała w fotelu na kółkach do samego okna i położyła na parapecie różową atlasową poduszczkę, aby łokcie miały miękkie oparcie. Poduszcзка zmieściła się między dwiema wielkimi doniczkami, owiniętymi barwną krepiną.

Bardzo stara syjamska kotka o różnobarwnych oczach machnęła ogonem i ciężko wskoczyła na parapet. Kotka również chciała wyrzeć na ulicę przez szczelinę między doniczkami.

Milica Fiodorowna doskonale pamiętała czasy, kiedy ulica była jeszcze nie zabrukowana i nazywała się Jelizawietinska. Wówczas naprzeciwko domu Baksztów, obok składu zboża Titowów, stał zamożny dom ojca Serafima, ozdobiony rzeźbionymi okiennicami i dębowymi kolumnami malowanymi w marmurek. Dom ojca Serafima spłonął w roku 1860, na rok przed zniesieniem pańszczyzny. Doskonale pamiętała też przyjazd gubernatora, który złożył Baksztom wizytę, bowiem wraz z drugim mężem Milicy Fiodorowny uczył się w Korpusie Paziów. Tego wieczoru gospodyni poleciła nie żałować świec i Jego Wysokość, odrzuciwszy konwenanse, spędził cały wieczór u jej nóg, poruszając bokobrodami, a pan Bakszt czuł się zaszczycony i wkrótce został powiatowym marszałkiem szlachty. W ostatnich latach pamięć płatała Milicy Fiodorownie przedziwne figle. Nie chciała gromadzić najświeższych wydarzeń i usłudze podsuwała portrety dawno zmarłych krewnych oraz kolegów męża, a nawet znacznie starsze sceny, jeszcze petersburskie, osnute mgiełką romantycznych uniesień i subtelności białych nocy.

W latach rewolucja Milica Fiodorowna była już nader sędziwa i dlatego musiała korzystać z pomocy bardzo pobożnej, ale podkradającej to i owo damy do towarzystwa. Z owych lat nie wiedzieć czemu zapadła jej w pamięć jakaś procesja. Na czele procesji młodzi ludzie nieśli czarną

trumnę z białym napisem "Curzon". Kim był ów Curzon, Milica Fiodorowna nawet się nie zainteresowała.

Pamiętała także ostatnią wizytę Miłego Przyjaciela. Miły Przyjaciel mocno się posunął w latach, chodził z laską i broda mu posiwiała. Nie mógł zatrzymać się w mieście i był zmuszony opuścić gościnny dom wdowy Bakszt, nie zrealizowawszy swych planów.

Zapadlisko na ulicy Puszkina zakłóciło powszedni bieg myśli Milicy Fiodorowny. Zapomniała nawet, że punktualnie o trzeciej mieli do niej przyjść pionierzy. Obiecała im opowiedzieć o przeszłości rodzinnego miasta. Wizyta ta była pomysłem jej upartej sąsiadki, Szuroczki, pannicy dobrze wychowanej, która jednak nosiła krótkie spódniczki. Milica Fiodorowna obiecała pokazać pionierom album, w którym jej znajomi jeszcze przed rewolucją zapisywali różne aforyzmy i wiersze.

Milica Fiodorowna wypatrzyła Szuroczkę wśród ludzi otaczających zapadlisko. Stara pani Bakszt na wzrok się nie uskarżała. Byłoby grzechem uskarżać się w takim wieku.

Potem Milica Fiodorowna zdrzemnęła się, ale jej sen był krótki i płytki. Coś ją niepokoiło. To coś było związane z zapadliskiem. We śnie ukazał się jej Miły Przyjaciel, grożący kościstym palcem i powtarzający: "Milico, nie zapominaj!"

Kiedy ponownie otworzyła oczy, dowództwo nad tłumem przy zapadlisku przejęła już znana jej Helena Siergiejewna Kastielska, chuda dama pracująca w muzeum, która jakieś dziesięć lub piętnaście lat temu przyszła do madame Bakszt w poszukiwaniu starych dokumentów. Milicy Fiodorownie nie przypadła jednak do gustu pewna ostrość w ruchach i zachowaniu muzealnej damy, wobec czego Kastielska musiała odejść z niczym. Przy tym wspomnieniu Milica Fiodorowna zezwoliła uśmiechowi rozchylić nieco jej wyschnięte, zaciśnięte wargi. Dawniej wargi były zupełnie inne - pulchne i soczyste. Ale uśmiech, ten sam uśmiech niegdyś doprowadzał do szaleństwa członków Gwardii Przybocznej Jego Wysokości.

W tym momencie Milica Fiodorowna znów zapadła w drzemkę. Przed tym rozdzierająco ziewnęła, zamknęła powieki i odjechała z fotelem do kąta, w przytulny półmrok za piecem. Syjamska kotka natychmiast wskoczyła jej na kolana.

- O trzeciej przyjdą goście... o trzeciej... - myślała przez sen Milica Fiodorowna, ale nie mogła sobie za nic przypomnieć, kto właściwie przyjdzie o trzeciej, a zamiast tego ponownie zobaczyła Miłego Przyjaciela, który był gniewny i surowy. Jego wzrok przenikał do samej głębi rozdygotanego serca Milicy Fiodorowny i elektryzował duszne, zatęchłe powietrze w saloniku - jedynym pokoju, jaki pozostawiono pani Bakszt.

Podziemie w ciągu tej godziny, przez którą było otwarte na wpływ gorącego powietrza, niemal wcale się nie przewietrzyło. Wypełniał je stuletni chłód, gęsty jak stare wino. Misza Standal wsparł się na podanej mu z ciemności kwadratowej dłoni operatora koparki, przycisnął do piersi aparat i dał susa w dół, w nieznanne.

W zapadlisku panowała cisza. Ciężkie oddechy ludzi szamotały się w nim i głuchoły pod niewidzialnymi ścianami.

W błękitnym owalnym oknie nad nimi ukazał się okrągły przedmiot o gabarytach przewyższających wymiary ludzkiej głowy. Z przedmiotu wydobył się głos:

- No i jak tam?

Głos należał do małego dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego, któremu tak zręcznie dała po nosie stara Kastielska z muzeum. Okrągły przedmiot był słomkowym kapeluszem kryjącym twarz Udałowa.

- Tu jest przejście - odparł inny głos, rozlegający się z boku, niedaleko Miszy.

W ciemności miotał się promień latarki. Grubin rozpoczął systematyczne badania.

- Tam jest przejście... Przejście... - zaszeleścił tłum na górze. Głosy były dalekie i niewyraźne.

Misza Standal posunął się o krok w stronę przejścia, ale wpadł na plecy operatora koparki. Plecy były twarde. Oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. W miejscu, gdzie był Grubin, ciemność była znacznie głębsza.

- Idziemy - powiedział operator koparki.

Misza wyciągnął rękę jak ślepiec i po dwóch krokach jego palce natrafiły na coś i przestraszyły się, gwałtownie cofnęły, zacisnęły w pięść.

- Tu jest ściana, śliska - wyszeptał Misza. Szept wydawał mu się najodpowiedniejszym do porozumiewania się w ciemności.

Grube, czarne bale wznosiły się do góry, niemal pod sam asfalt. Pomieszczenie było długie, strop w rogu zapadł się. Przeciwległa ściana, po której Grubin szperał promieniem latarki, była zbudowana z cegieł. Cegły osiadły, popękały. Pośrodku ściany widniały niziutkie drzwiczki, okute sztabami zardzewiałego żelaza jak stary podróżny kufer.

Grubin przyjrzał się tym drzwiom. Zamka nie było, zamiast niego widniał kuty pierścień. Pociągnął - drzwi ani drgnęły.

- Pozwólcie mnie - powiedział operator koparki.

- Nie - zaproponował Misza Standal. - Nie mamy do tego prawa. Nikt nam nie dawał carte blanche. Trzeba chociażby sfotografować.

Misza Standal czytał niedawno o tym, w jaki sposób odkryto w Egipcie grobowiec Tutenchamona. Tam również były drzwi i stojący przed nimi badacze, i chwila, która przeszła do historii.

- Nie jesteśmy na wykopaliskach - powiedział Grubin. - Za tymi drzwiami też może być ziemia i koniec naszej podróży.

- Czego tam - powiedział Edik. - Dyrektorka kazała popatrzeć, co i jak, to popatrzmy. Udałow i tak dopnie swego, zasypie i będzie po wszystkim. Przecież ulica jest zablokowana.

Obejrzał dokładnie drzwi:

- Trzymaj mocniej latarkę. Świeć tutaj, bardziej w lewo. Nie trzęś ręką.

Teraz przypominał chirurga. Grubin mu asystował, Misza Standal pełnił rolę studentapraktykanta, gapia, człowieka bezużytecznego.

- One otwierają się do środka - powiedział operator koparki. Odnalazł miejsce, to jedyne miejsce, w które należało weprzeć się ramieniem. Nacisnął.

Drzwi okropnie zaskrzypiały i zapadły się w ciemność. Cegły zaczęły osiadać z głośnym hurkotem i operator koparki - strzeżonego Pan Bóg strzeże - odskoczył do tyłu, omal nie zwalając Miszy z nóg. Latarka zgasła - widocznie Grubin puścił przycisk - i w piwnicy zapanowała groźna cisza, taka cisza, że Standal prawie od niej ogłuchł.

- Co się stało? - zapytał głos z góry. Głos był zdumiewająco bliski. Niby przez te parę minut trójka badaczy odeszła daleko od ludzi, a tymczasem o trzy metry od nich Udałow zadaje pytania pełnym niepokojem, ale zwyczajnym głosem.

- Wszystko w porządku - powiedział operator koparki i dodał, zwracając się do Grubina: - Świeć prosto.

Grubin usłuchał go i poświecił.

Edik, zaglądając do środka, zasłonił plecami większą część drzwi, a Misza Standal poczuł się głęboko dotknięty. Miał wykształcenie historyczne i uważał się za moralnie uprawnionego do kierowania poszukiwaniami. Ale operator koparki tego nie czuł i tak się jakoś złożyło, że to on znalazł się na czele. Misza posunął się nawet o krok do przodu, bo chciał odsunąć Edika i dać mu choć byle jaką wskazówkę, ale w tym momencie Edik odwrócił się i popatrzył na Misze. Jego oko, w którym odbił się promień latarki, zaświeciło żółtym, niedobrym światłem.

Misza poczuł wewnętrzne skrępowanie i wstrzymał oddech. Tam, za drzwiami, mogły kryć się skrzynie ze złotem i naszyjnikami z pereł, srebrne puchary ozdobione scenami z książęcych polowań, damasceńskie miecze i szkielet pechowego grabieżcy - puste, czarne oczodoły czaszki... A operator koparki zaraz wyciągnie zza pasa ostry kindżał, nieco wyszczerbiony od częstego używania, i wbije go Standalowi w serce.

Edik zabrał Grubinowi latarkę, bo tak mu było wygodniej.

- Też pokój, towarzysze - powiedział.

Zgiął się wpół, przekroczył wysoki próg i zgiął w ciemności. Grubin z Misza czekali.

Ze środka zadudnił głos:

- Chodźcie tutaj, tylko się nie potknijcie, bo bez latarki niczego nie widać.

Drugi pokój okazał się mniejszy od pierwszego. Promień latarki, nie zdążywszy nawet się rozszerzyć, legł złotym krążkiem na przeciwległej ścianie, przecinając po drodze świetlistym ostrzem różne dziwne przedmioty, i co najbardziej zdumiewające, oświetlił zakurzone gięte szkło - Butle, retorty i wielkie ciemne naczynia. Promień szperał po kątach i pozwalał obejrzeć częściami komnatę - ceglana, sklepiona i zatęchła - długi stół pośrodku i odległy kąt z zapadniętym stropem.

- Konspiracyjna drukarnia - powiedział Grubin. Zamilkł i pomyślał: - Może tutaj drukowano "Iskrę" albo nawet "Kołokoł" Hercena.

- Nie ma prasy drukarskiej - zauważył rozsądnie operator koparki.

- Odejdźcie - powiedział Misza. - Niczego nie dotykajcie. Mam lampę błyskową. Zrobimy historyczne kadry.

Usłuchali. Misza miał w ręku sprzęt techniczny, a jego towarzysze technikę szanowali.

Standal długo marudził, przygotowując w ciemności aparat do akcji. Edik mu pomagał, przyświecając żółknącą już latarką. Później błysnął flesz. Jeszcze i jeszcze raz.

- To wszystko? - zapytał operator koparki.

- Wszystko - odparł Misza.

- Trzeba będzie wynieść na światło - powiedział Edik. Zwrócił latarkę Grubinowi, chwycił największą butlę i ruszył z nią do wyjścia.

- Z jakiej epoki jest ta piwnica? - zapytał Grubin.

- Trudno określić - odpowiedział Misza - ale najprawdopodobniej niezbyt stara.

- Szkoda - mruknął Grubin. - To już drugie rozczarowanie w ciągu dnia.

- A jakie było pierwsze?

- Pierwsze było wtedy, kiedy pomyślałem, że zaczęło się prawdziwe trzęsienie ziemi. Ale czy jesteście pewni, towarzyszu Standal?

- Naczynia wyglądają prawie współcześnie, i książki... Misza podszedł do stołu, otworzył książkę w skórzanej

oprawie.

- Idziemy już? - zapytał Edik. - Na górze pewnie nie mogą się nas doczekać.

- Później sobie wszystko obejrzymy - powiedział Grubin. Wziął jeszcze jedną butlę i kolbę. Misza szedł za nim z książkami w rękach.

Kapelusz Udałowa odskoczył od skraju studni. Mrużąc oczy w ostrym blasku dnia Edik podał mu butlę. Misza stał o trzy kroki z tyłu. Słup światła, przenikający do zapadliska, wydał mu się materialny i elastyczny. Operator koparki, skąpany w tym świetle, przypominał antyczną rzeźbę. Butla pewnie spoczywała na jego dłoniach.

Do wnętrza studni opuściły się szczupłe ręce Heleny Siergiejewny, które pochwyciły butlę. Misza uniósł do góry ciężkie foliały.

- Widzicie, co tam było - powiedział ktoś w tłumie potępiającym tonem. - A on chciał zasypać.

Udałow udał, że nie słyszy. Odebrał książki od Standala i położył je na asfalcie, gdzie już stała butla pokryta pleśnią. Przez miejsca, gdzie pleśń się starła, przeglądał czarny płyn. Inne naczynia mętnie połśniewały nieco dalej.

Udałowowi było zimno. Nawet zapiął kołnierzyk niebieskiej jedwabnej koszuli. Udałow miał wyrzuty sumienia. Kiedy wezwał koparkę, żeby zasypać jamę w jezdni, działał w interesie rodzinnego miasta. Jego bujna wyobraźnia już podsuwała mu straszliwe obrazy, skłaniając do energicznego działania. Jeden z obrazów przedstawiał wypełniony pasażerami autobus, jadący ulicą Puszkina. Autobus wpadł do piwnicy tak, że tylko tylny zderzak został na wierzchu. Obok stał zagraniczny korespondent i nieustannie pstrykał swoim aparatem. Nowy obraz: w Komitecie Obwodowym lub nawet w KC oglądają fotografie zamieszczone w zagranicznej gazecie i mówią: "Ładny gagatek z tego Udałowa! Żeby tak zabagnić gospodarkę komunalną rodzinnego miasta!" I kręcą głowami.

Był jeszcze jeden obraz, o wiele tragiczniejszy. Nieletnie dziecię w szkolnym fartuszk biegnie ze skakanką przez jezdnię, a wokół polatują barwne motylki i małe ptaszęta. Dziecię patrzy i śmieje się. Śmieje się nawet Udałow obserwujący tę scenę. A tu nagle - czarna paszczęka zapadliska i daleki krzyk dziecka. Została tylko osierocona skakanką na potrząskanym asfalcie, i matka, nieszczęśliwa matka dziecka, która krzyczy: "Niczego nie potrzebuję! Dajcie mi tylko Udałowa! Dajcie mi go, a rozedrę go na strzępy!..."

Dopóki nie przyjechała koparka, Udałow nieustannie walczył ze swą wyobraźnią i wciąż rozglądał się na boki: patrzył, czy nie biegnie dziecko ze skakanką, czy nie kręci się gdzieś w pobliżu zagraniczny korespondent, który nie miał tu nic do roboty.

Udałow wierzył, że w zapadlisku nie ma nic interesującego. Ileż już ich było za jego pamięci -

i wszystkie puste. Dziwactwa Kastielskiej też nie potraktował poważnie. Po prostu nie chciał wojować z czynnikiem społecznym. Po co? I tak się zasypie. Wszystkie zapadliska - i to przy domu archijereja, i to, które wytworzyło się na placu budowy łaźni, i to pod rzeźnią - wszystkie wywoływały ożywienie w muzeum rejonowym, a nawet w obwodzie. Ale Udałowowi i władzom miejskim stały one kością w gardle - zapadliska nie da się zaplanować. W zapadlisku jest dla pracownika gospodarki komunalnej coś wstydliwego - groszowy, pokątny żywioł.

Teraz nad dziurą w jezdni stały butle, leżały książki. I były one nie tylko przeszłością, lecz także przyszłością. Przyszłością, w której nazwisko Udałowa będzie odmieniane na wszelkie sposoby przez działaczy kultury jak kraj długi i szeroki aż do Wołogdy, w której będzie mu się wyrzucać ciasnotą umysłu i zaściankowość. Był wręcz pewien, że padnie słowo "zaściankowość". Trzeba więc było ratować sytuację i dowodzić.

- Dużo tam tego? - zapytał Udałow, unosząc kapelusz i ukazując wypukłe czołko z głębokimi zatokami.

- Całe laboratorium - odparł spod ziemi operator koparki, który już zapomniał o swym pierwotnym zadaniu i przeszedł do obozu przeciwnika.

- Warto zabezpieczyć znalezisko - powiedział Misza zza pleców Edika. - Należy zaprosić specjalistów z obwodu.

- Popęlniacie błąd - zaripostował trzeźwo Udałow. - Nasi specjaliści są nie gorsi od obwodowych. My przecież, towarzysze, mamy Kastielską!

Ostatnie słowo wymówił tak głośno, jakby spodziewał się oklasków, i rzecz zdumiewająca - jest taka szczególna intonacja, znana ludziom zaprawionym w przemówieniach, która w połączeniu z dowolnym nazwiskiem zmusza obecnych do uniesienia dłoni i kłaśnięcia nimi.

Przy słowie "Kastielską" w tłumie rozległy się oklaski. Udałow uśmiechnął się w duchu. Wziął górę nad tłumem. Sytuacja została opanowana. Piwnica będzie zasypana.

Helena Siergiejewna w każdym innym wypadku nie pozwoliłaby się okręcić wokół palca. Zażartowałyby, powiedziałyby jakąś złośliwość, którą zawsze miała na podorędziu. Ale teraz, kiedy stała i czekała, co znajdą, kiedy patrzyła na przyniesione przedmioty, zrozumiała, że nie ma sensu rozpoczynać wojny z Udałowem. Znaleziska nie były takie znów stare.

- Teraz, towarzysze, pod okiem Heleny Siergiejewny uratujemy skarby kultury i odniesiemy je do muzeum. Słusznie?

- Słusznie - odparli słuchacze.

- No, gdzie mamy skarb kultury numer jeden?

Korneliusz zerknął na wielką butlę i poczuł nieodpartą chęć 'kopnięcia skarbu numer jeden - właśnie owej butli. Zapragnął nawet powiedzieć narodowi, że wszystkie te graty to po prostu wyposażenie przedrewolucyjnej bimbrowni. Ale się powstrzymał.

Badacze podziemia po wysłuchaniu mowy Udałowa znowu poszli wynosić rzeczy z drugiej izby. Udałow wysłał umyślnych do domu towarowego po papier pakowy. Helena Siergiejewna przykucnęła i wzięła do ręki jedną z książek. Ostrożnie, podważając paznokciem, otworzyła zardzewiałe zameczki oprawy i przewróciła pierwszą stronę.

Widzowie pochylili się nad nią i bezdźwięcznie poruszając dziesiątkami ust sylabizowali tytuł starej książki.

6

Milica Fiodorowna ocknęła się. Dręczyło ją przecucie. Na skroni niespokojnie pulsowała żyłka. Coś wydarzyło się w trakcie króciutkiego snu. Zegar podróżny Pawła Boure wskazywał trzecią. Album w safianowej okładce leżał na stole, był dla kogoś przygotowany. Przez szybę dobiegały z ulicy strzępy rozmów. Trzeba wrócić do okna.

Wówczas myśli przebudzą się, jak obudziło się ciało, i wszystko wróci na swoje miejsce. Kotka, wyrwana ze snu, zdumiała się żwawością ruchów swej pani. Portrety znajomych, akwarele i zrudziałe fotografie spoglądały na Milicę Fiodorownę obojętnie lub wrogo. Ich oryginały dawno już umarły i nie przebaczyły pani Bakszt godnej pozazdrosczenia długowieczności.

Różowa poduszczyka czekała na parapecie. Milica Fiodorowna oparła się ostrym łokietkiem i wyjrzała spomiędzy doniczek. Na ulicy niewiele się zmieniło. Tłum się przerzedził. Przed Heleną Siergiejewną Kastielską stały na asfalcie jakieś przedmioty i butle o staroświeckim wyglądem. Sama zaś muzealna dama siedząc w kucki - w pozie, jaka nie przystoi jej wiekowi - kartkowała zniszczoną książkę.

To znaczy, że piwnica nie była pusta, że coś w niej znaleziono. Milica Fiodorowna zmusiła się do myślenia. W mózgu drgnęły zwapniałe naczynia, żwawiej pobiegła krew ! po całym pokoju rozniósł się cichutki trzask, jakby ktoś brązowym kluczykiem nakręcał stary zegar.

Dokąd prowadziło przejście z tej piwnicy? Przecież nie wchodziło się do niej z ulicy? Do ojca Serafima? Nie, jego dom, dopóki nie spłonął, stał w głębi, za kępami potrójnego bzu. Może do domu sąsiadującego z Baksztami, po tej samej stronie ulicy? To również niemożliwe, gdyż w tym miejscu od niepamiętnych czasów wznosił się skład zboża. Może do oficyny? Tam były zielone okiennice z otworami w kształcie serduszek, i coś jeszcze wiązało się z tą oficyną...

- Milico - męski głos odezwał się przy drzwiach, głos znajomy i wiecznie młody. - Proszę się nie lękać. Poznaje mnie pani?

- Wcale się nie boję, mój przyjacielu - odparła poważnie i cicho Milica Fiodorowna, usiłując odwrócić się wraz z fotelem. - Już nie potrafię się bać. Proszę podejść do światła.

Starzec zbliżył się do okna, ciężko opierając się na sękatej lasce z bukszpanu. Miał siwą, pożółkłą brodę, niedawno podstrzyżoną. Wulgarny odór wody kolońskiej, odór taniej razury rozlał się po pokoju, kłócąc się z innymi, zadomowionymi w nim zapachami. Te domowe zapachy - naftalinowy, waniliowy, wełniany, kamforowy - starały się wyprzeć natręta, ale aromat "Chypre'u" bezczelnie zajął środek pokoju i po chamsku szczyrzył zęby.

- Proszę mi wybaczyć, Milico - powiedział starzec. - Dopiero co byłem u fryzjera.

- Długo pan u nas zagości, Miły Przyjacielu? - zapytała Milica Fiodorowna i podała starcowi szczupłą, wiotką jeszcze, choć podagrycznie powykręcaną rękę. Starzec oparł się mocniej na lasce, pochylił się, całował długo i czule.

- Posunąłem się w latach - powiedział prostując się. - Mocno się posunąłem.

- Proszę usiąść, Miły Przyjacielu - powiedziała Milica Fiodorowna. - Tam jest krzesło.

- Dziękuję. Wszedłem kuchennym wejściem. Od tyłu. Nie chciałem natknąć się na ludzi.

- Na długo do nas?

- Trudno powiedzieć, Milico. Sam nie wiem. Jeśli ta sprawa, której poprzednio nie zakończyłem, powie mi się, może się nieco zatrzymam. Bo inaczej przyjdzie umierać.

- Niech pan nie mówi o śmierci - powiedziała Milica. - Śmierć może usłyszeć. Jesteśmy zbyt słabo związani z życiem. Cieniutką nitką.

- Nonsens - powiedział Miły Przyjaciel. - Powoduje panią ciekawość, a to znaczy, że jeszcze pani żyje.

- Tam wydarzyło się coś dziwnego - powiedziała Milica Fiodorowna. - Zapadła się jezdnia. Ludzie denerwują się, biegają.

- Mrówcza krzątania - powiedział starzec. - Ileż to ja pani nie widziałem? Chyba za pięćdziesiąt lat.

- Pan znów swoje.

- Jestem bezpośredni i niedelikatny. Życie mnie tego nauczyło. Pięćdziesiąt lat to ogromny kawał czasu.

Milicy Fiodorownie nie chciało się wypytywać gościa o to, co przydarzyło mu się w ciągu tych pięćdziesięciu lat. Jej te lata upłynęły monotennie. Samotnie. Czasami chłodno, czasami głodno. Ostatnio nieco lepiej.

Sąsiedzi, prości ludzie, załatwili staruszce emeryturę. Nie, lepiej nie wypytywać. Niechaj to spotkanie, choć tak długo wyczekiwane, odbędzie się poza czasem, poza jego paraliżującym biegiem.

Starzec rozejrzał się po pokoju. Portrety poznały go. On je również rozpoznał. Uprzejmie skinął głową. Wizerunki w odpowiedzi też się skłoniły, machnęły bakami, brodami i wąsami, błysnęły epoletami i akselbantami, wielokrotnie uśmiechnęły się słynnym uśmiechem Milicy, wzruszyły obnażonymi ramionami, zakołysały lokami i kędziorami.

Milica Fiodorowna patrzyła nań i rozpoznawała to, co już się skryło pod siatką zmarszczek. Przeczucia i sny nawiedzały ją nie na darmo - Miły Przyjaciel przyszedł do niej.

- Zechce pan otworzyć lufcik - powiedziała wstydząc się swej słabości. - Jest mi duszno. A wstaję rzadko, nader rzadko.

Starzec wstał, podszedł do okna. Był na tyle wysoki, że do lufcika sięgnął nie podnosząc ręki do góry. Otwierając lufcik zerknął w dół, na ulicę, zobaczył dziurę w asfalcie i leżące obok książki, butle i retorty.

- O Boże! - powiedział. Powiedział to jak człowiek, do którego śmierć przyszła na godzinę przed ślubem.

Chwycił się ramy okiennej i jego płaskie palce wyraźnie zbieleły. Nie mógł utrzymać się na nogach.

- Co z panem? - zapytała Milica, która nie pojęła przyczyny jego zdenerwowania. - Źle się pan czuje?

Starzec nie patrzył na nią.

- Nic wielkiego - powiedział. - To minie. Wszystko minie.

Zamknął oczy.

- A propos - zapytała uspokojona Milica Fiodorowna, która z własnego doświadczenia знаła ataki słabości i duszności. - Dokąd mogło prowadzić przejście w tej piwnicy?

- Dokąd?

- Właśnie. Pomyślałam zrazu, że do domu ojca Serafima. Pamięta pan ojca Serafima? Okropnie się rozpił, kiedy spłonął mu dom. W dodatku kolumny były malowane w marmurek. Nie, sądzę, że nie tam. Tamten dom stał w głębi. A po naszej stronie był skład zboża. Po co mu taka piwnica? Może jednak do składu zboża?

- Nie do składu - powiedział starzec. - Nie do składu. Jaki tam skład? Piwnica prowadziła do waszej oficyny. Mój Boże, co za nieszczęście...

- Słusznie, słusznie - pomyślała Milica Fiodorowna. - Wyjście z piwnicy rzeczywiście musiało być pod oficyną...

A Miły Przyjaciel gniewał się. Jego oczy ogromniały, rosły i miały błyskawice. On sam zaś

uniósł się pod sufit, groził stamtąd kościstym palcem i coś bezdźwięcznie mówił... To się już Milicy Fiodorownie śniło. Zapadła w drzemkę. Starzec nie wleciał do góry i nie groził palcem. Stał z czołem opartym o szybę i ciężko, ochryple jęczał.

7

Helena Siergiejewna nie wracała. Szuroczka odpowiadała na pytania Wani i przypominało to splątany kłębek - nitka ciągnęła się, pytanie następowało za pytaniem, a w żadnym z nich nie można się było doszukać sensu. Ogłupiała za szczętem dziewczyna omal nie zapomniała, że na trzecią obiecała pionierom wycieczkę do starej pani Bakszt.

Kukułka niechętnie wygramoliła się z drewnianego zegara i dwa razy skrzypnęła, nie otwierając dzioba. Na trzeci raz już nie starczyło jej siły. Wskazówki stały na za pięć trzecia. A Heleny Siergiejewny wciąż nie było.

- Wanieczka, chodźmy na spacer - powiedziała Szura czułym głosem, bo przecież Wanieczka mógł sobie nie życzyć spaceru. - Może znajdziemy babcię.

Przekonała Wanię, że powinien włożyć kurtkę i panamę. Wania ciągnął za sobą czołg z pudełek po zapalkach, bo tylko pod tym warunkiem wyraził zgodę na spacer.

Na moście przez Griaznuchę Szuroczkę i Wanię wyprzedzili znajomi z Technikum Riecznego, barczyści uczniowie na rowerach. Wracali z plaży i dlatego czuli się niezmiernie dziarsko. Na widok Szuroczki zaczęli żartować, że Wania jest jej synem, co bardzo ich rozweseliło. Szuroczka obraziła się, a Wania się przestraszył i chciał pójść nad rzeczkę, żeby trochę posiedzieć na brzegu. Walił obcasami w kocie łby i zapierał się. Uczniom Technikum znudziło się dowcipkować w upale, więc nacisnęli pedały. Jeden z nich został w tyle, odwrócił się i powiedział, że kupił dwa bilety do kina na dziewiątą i że będzie czekał. Szuroczka prawie go nie słuchała, bo właśnie przemawiała Wani do rozsądku:

- Wanieczka - mówiła. - Pójdźmy do babci. Dam ci czekoladowego cukierka.

- Nie wolno mi jeść cukierków - kaprysił Wania. - Ja chcę ananasa. Mnie boli ząb trzonowy.

- Zaraz obejrzymy sobie twój ząb - rozległ się z tyłu pocziwy głos. - A może nawet wyrwiemy go z korzeniem.

Dopędził ich prowizor Sawicz, który szedł z obiadu do apteki.

- Zgodziłam się posiedzieć z Wanią - powiedziała Szuroczka - a Helena Siergiejewna nie wraca i nie wraca.

Sawicz popatrzył na wnuka Heleny i pomyślał z przykrością, że nie ma przy sobie cukierka lub

innego przedmiotu, jakie zazwyczaj daje się dzieciom. Nie miał dzieci, choć mógłby już mieć nawet wnuki.

- Ja chcę złapać złotą rybkę - powiedział Wania, który wcale nie przestraszył się doktora.

- Złotą rybkę zdobywa się dzięki pracy, mój chłopcze - powiedział Sawicz. Prowizor nie potrafił rozmawiać z dziećmi.

- Ja będę łapał dzięki pracy - zgodził się Wania.

Szuroczka wykorzystała sytuację i ruszyła Wanię z miejsca. Sawicz szedł obok i starał się być miłym dla dziecka, ale odpowiadał mu ni w pięć, ni w dziewięć. Już po stu krokach dziecko zrozumiało, że jego sąsiad jest głupi, co było nieprawdą. Prowizor w tym czasie myślał. Myślał o życiu. Dawniej nie zauważał, że myśli. Dawniej mógł jeść i myśleć, czytać i myśleć, rozmawiać i myśleć. Teraz starał się być miły dla cudzego wnuczka, ale w rzeczywistości myślał o życiu.

Po zburzonych sukiennicach została tylko wieża z zegarem. Najpierw wykorzystywano ją jako wieżę strażacką, a potem dobudowano do niej trzypiętrowy dom dla pracowników Rady Powiatowej i zainstalowano elektryczny zegar, jakie zawiesza się na słupach w wielkich miastach - okrągły i niedokładny. Zegar wskazywał dziesięć po trzeciej.

- Oj! - powiedziała Szuroczka. - Czekają na nas pionierzy. Pobiegniemy.

Wania zgodził się biec, bo Sawicz go znudził. Szuroczka i Wania ruszyli pędem w stronę szkoły, a za nimi po pustej, rozgrzanej jezdni skakał czołg zrobiony z tomu "Sowriemiennika" i czterech pudełek po zapalkach. Jedno z pudełek wkrótce się oderwało i zostało na jezdni. Prowizor podniósł je i odruchowo obrócił w palcach. Na pudełku widniał rysunek drzewa bez liści i napis "Egoista usycha, niczym samotne bezpłodne drzewo. Turgieniew". Szuroczka pociągnęła Wanię w zaulek. Przed nową murowaną szkołą stał dąb. Dąb był bardzo stary. Wicedyrektor szkoły lubił powtarzać starą legendę o tym, jak to pionier i odkrywca Barchatow przed wyruszeniem na wyprawę w celu odkrycia lewych dopływów Amuru posadził dąb w rodzinnym mieście. Wicedyrektor nie tylko ją powtarzał, ale także wymyślił. Legenda bardzo przypadła do gustu nowemu dyrektorowi muzeum, który miał nadzieję odnaleźć dokumenty świadczące o jej autentyczności.

W cieniu dębu nudziło się sześciu pionierów z kółka historycznego. Latem kółko nie miało zajęć, ale Szuroczka odszukała wszystkich jego aktywnych członków, którzy pozostali w mieście, i namówiła na wycieczkę do starej pani Bakszt. Był okropny upał i pionierzy nie mogli usiedzieć na miejscu. Bardzo lubili historię, ale teraz mieli wielką ochotę na kąpiel.

Złota grzywka Szuroczki Rodionowej przykleiła się do czoła. Obok niej dreptał przedszkolak. Pionierzy ożywili się i wydobyli notesy.

- Chodźmy - powiedziała Szuroczka. - Bo się spóźnimy.

Pionierzy niechętnie wypełźli na skwar.

Ich droga biegła obok zapadliska i dlatego początek wycieczki trzeba było przesunąć o dalsze

kilka minut. Pionierzy wbili się w tłum przy dziurze, po chwili wszystko już wiedzieli, i Szuroczka, gdyby nawet chciała zaprowadzić ich do mieszkania staruszki Bakszt, nie mogłaby tego zrobić.

Udałow pod okiem Heleny Siergiejewny zawijał w papier pakowy wydobyte przedmioty. Edik z Grubinem wynosili z podziemia resztę rzeczy, a Misza Standal odbierał je i układał na asfalcie. Pachniało wodą kolońską "Chypre". Zapach ten wydzielał wysoki, kościsty starzec z żółtawą, niedawno podstrzyżoną brodą. Starzec był niespokojny i nerwowo wylamywał gruzłowate palce. Prowizor Nikita Sawicz, który idąc prostą drogą wyprzedził Szuroczkę, zobaczył Wanię i zwrócił mu pudełko po zapalkach.

- Babciu - powiedział Wania. - Idziemy do domu.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się Helena Siergiejewna. - Gdzie jest Szuroczka?

- Jestem tutaj - powiedziała Szuroczka. - Zaczęłam się niepokoić, zastanawiać, gdzie pani zginęła, ale potem przypomniałam sobie, że mam wycieczkę, pionierzy czekają, wzięłam więc Wanię, poszłam do szkoły i po drodze wpadłam tutaj.

Wania tymczasem zainteresował się dziurą w ziemi, podszedł bliżej, pochylił się i wpadł do jamy.

- Ach! - wykrzyknął tłum.

Ale Wani nic złego się nie stało. Właśnie w tym momencie wędrowało do góry krzesło. Wania spotkał się z nim w pół drogi, miękko wylądował i po paru sekundach powrócił na powierzchnię.

Jednak upadek Wani stał się przyczyną innych wydarzeń.

Ku zapadlisku rzucili się prowizor Sawicz, starzec pachnący wodą kolońską, Misza Standal i Udałow, który zrozumiał, że jego koszarne przecucia zaczynają się sprawdzać. Ta czwórka zderzyła się nad dziurą, przeszkadzając sobie nawzajem w chwyceniu dziecka. Udałow, najbardziej pechowy, wpadł na starca, stracił równowagę i jak worek kartofli zwałił się w dół.

W bałaganie, wywołanym powrotem Wani i zniknięciem Udałowa, wonny starzec nieoczekiwanie chwycił jedną z butli, odrzucił bukszpanową laskę, która boleśnie uderzyła prowizora, i podrzucając wysoko kolana zaczął biec ulicą. Helena Siergiejewna przyciskała do piersi wcale nie przestraszonego Wanię i nie widziała tej sceny.

Prowizor Sawicz chciał krzyknąć: "Stój!", ale pomyślał, że to nie wypada. Tylko Misza Standal zorientował się w sytuacji i rzucił się w pogoń. Starzec już zniknął w bramie domu.

Podwórko było otoczone wysokim płotem. Starzec zna - j laż ślą w pułapce. Na widok Standala, nie wypuszczając butli z rąk, przycisnął się do ściany. Ciężko oddychał, wciągając powietrze jak herbatę - z siorbaniem.

- Proszę to wziąć - powiedział. - Zazartowałem. Tylko niech pan nie rozbije. Standal zwlekał.

- Proszę mnie nie dotykać - powiedział starzec surowo. - Niech pan weźmie butlę i wraca.

W jego oczach zapłonął taki wściekły gniew, że Standal nie odważył się oponować. Wziął butlę, ciężką i ciepłą od słońca, odwrócił się na pięcie i wyszedł na ulicę. Zaraz też napotkał resztę pogoni. Kroczył szybko, zdecydowanie, i ludzie posłusznie ruszyli za butlą. W takim samym porządku powrócili nad zapadlisko. Tymczasem Grubin z operatorem koparki wyciągnęli Udałowa, który złamał rękę. Pierwszej pomocy udzielono mu w aptece.

Zdobycz zaniesiono do muzeum, jako że znajdowało się niedaleko i chętnych do pomocy było pod dostatkiem. Przodem szła Helena Siergiejewna. Prowadziła za rękę Wanię i niosła jedną z książek, cieńszą od pozostałych i bardziej postrzępioną. Za nią sunął Misza Standal z dwiema butlami. Ciemny płyn pluskał w nich i rozkołysywał Misze. Aparat fotograficzny podskakiwał między Butlami i bił go w pierś. Potem szli pionierzy z Szuroczka na czele. Każdemu z nich dostał się do niesienia jakiś przedmiot. Pochód zamykał Edik z krzesłem. Właściwie powinien przystąpić do pracy, ale zwierzchnik ze złamaną ręką został odniesiony do apteki, a piwnica była tak wielka, że najpierw należało rozebrać strop i dopiero później zasypać ziemią, którą zresztą należało dopiero przywieźć.

Muzeum było zamknięte, bo personel miał akurat wolny dzień. Dozorczyńni jednak wyszła z kluczami, gdyż pozostała wierna starej dyrektorce - zbyt wymagającej, ale za to wykształconej.

Helena Siergiejewna poszła wprost do gabinetu dyrektora. Tam też złożono znaleziska, częściowo na podłodze, częściowo zaś na skórzanej kanapie dla gości. Kiedy wszyscy wyszli, Helena Siergiejewna jeszcze z godzinę siedziała w gabinecie, przeglądając książki i odcyfrowując napisy na etykietach przyklejonych do butli. Potem dwie małe butelki zamknęła w kasie pancерnej, a ze sobą zabrała postrzępiony brulion. Wonią wciąż marudził, domagał się lodów. Helena Siergiejewna była zamyślona i ze zdumieniem kręciła głową, wspominając dopiero co przeczytane teksty.

8

...Sawicz nałożył Udałowowi łupki i zapytał, czy zdoła sam dojść do szpitala na prześwietlenie. Udałow czuł się bardzo źle. Leżał w pokoju, gdzie przygotowywano lekarstwa. Obie młodziutkie farmaceutki współczuły mu i jedna z nich przyniosła wody, a druga strzykawkę, żeby zrobić zastrzyk przeciwbólowy. Ale Udałowa ta troskliwość wcale nie wzruszała. Mdlilo go od zapachu lekarstw, którego ani prowizor, ani dziewczęta nie zauważali, bo przywykli. Grubin wciąż rozglądał się, przypatrywał się chemikaliom stojącym na półkach i na wszelki wypadek notował w pamięci. Sawicz zadzwonił po pogotowie. Karetka przyjechała z opóźnieniem, bo musiała kluczyć zaułkami - zapadlisko zagraadzało przejazd. Udałow wciąż usiłował wydawać dyspozycje, ale głos odmawiał mu posłuszeństwa. Wydawało mu się, że mówi, ale wszyscy słyszeli tylko niewyraźne jęki i posłusznie kiwali głowami, żeby uspokoić chorego. Korneliusz, otumaniony zastrzykiem i mdłościami, był pewny, że nie zasypane w porę zapadlisko zaczyna się osuwać i pochłaniać

okoliczne domy. Oto do wnętrza ziemi spelzł dom towarowy i ekspedientki z Wandą Kazimirowną na czele wyskakują tylnym wyjściem, usiłując ratować niektóre towary z działu jubilerskiego. Za domem towarowym - Korneliusz zobaczył to jak na jawie - zapada się pod ziemię cerkiew Paraskewy Płatnicy. Chwała Bogu, że przynajmniej nie zdążył jej pomalować i Materiały archiwalne, zmiecione przez kataklizm, wytryskują z wąskich okien i niczym białe łabędzie ulatują w guslarskie niebo. Naprzeciw archiwum zjeżdża w przepaść Technikum Rzeczne. Solidne budynki klasztorne opierają się przyciąganiu ziemskiemu, gną się, zawisają nad przepaścią. Barczyści uczniowie chwyciwszy za liny starają się pomóc swym pokojom internatowym i klasom, lecz na próżno - liny pękają jak nitki, chłopcy padają pokotem na ziemię i klasztor wraz ze złotymi kopułami zapada się w otchłań. A później okoliczne domy z wyraźną ochotą skaczą w dół, nikną z dziwnym bulgocącym dźwiękiem... Korneliusza najbardziej przeraża moment, kiedy zapadlisko dotrze do rzeki. Oto pękła tama, fale rzeki burzą się i pienią zalewając głębie. Już gdzieś obnażyło się dno, stare omszałe sumy wysuwają miękkie wąsy z płytkich kałuż. Nie ma jui miasta - na jego miejscu rozlewa się jezioro, po którym w płaskodennej łódce (skąd się ta łódka wzięła?) płynie Korneliusz wraz z przewodniczącym Powiatowego Komitetu Wykonawczego. Obaj płaczą, a fale kołyszą łódkę... kołyszą... kołyszą... Korneliusz Udałow stracił przytomność. Grubin odprowadził Udałowa do karetki pogotowia, uścisnął dłonie prowizora i dziewcząt farmaceutek, przykazał lekarzom aktywnie walczyć o życie i zdrowie sąsiada, po czym ruszył do domu.

Pierwsza sprawa była najtrudniejsza. Należało zawiadomić żonę Udałowa o nieszczęściu. Grubin zapukał do jej drzwi.

- No i jak? - zapytała Ksenia Udałowa nie odwracając się od płyty kuchennej, bo akurat robiła obiad. - Wymieniliście?

- Korneliusz trafił do szpitala - powiedział Grubin bez żadnych wstępów.

- Ach!

Żona Korneliusza upuściła kawałek mięsa, który przeleciał obok garnka i trafił wprost do wiadra na odpadki. Sąsiedzki kot złapał mięso i uciekł z nim na podwórze, ale Ksenia nawet tego nie zauważyła.

- Co z nim, ja tego nie przeżyję - powiedziała.

- Nic strasznego - Grubin postarał się złagodzić cios. - Zwichnął rękę, no, może co najwyżej jakieś tam lekkie pęknięcie kości.

Ksenia patrzyła na Grubina okrągłymi, rozwścieczonymi oczyma i nie wierzyła mu.

- A dlaczego nie przyszedł do domu? - zapytała.

- Musiał pójść do szpitala, bo kość mogłaby się źle zrosnąć. Ale lekarze mówią, że nie będzie żadnych komplikacji.

Ksenia wciąż nie wierzyła. Ściągnęła fartuch, rzuciła go na podłogę i fartuch miękko opadł w

dół, zachowując kształt jej potężnego brzucha. Ruszyła na Grubina niczym puma, której chcą zabrać małe. Miała zamęt w głowie. Z jednej strony nie wierzyła Grubinowi i była przekonana, że chce ją uspokoić, a w rzeczywistości z Udałowem jest źle, bardzo źle. Jednocześnie, znając męża, podejrzewała spisek, pobyt Udałowa w piwiarni, a może nawet, co gorsza, w izbie wytrzeźwieni. Do tej pory Udałowowi nic podobnego się nie przytrafiło, ale przy jego pechu powinno się obowiązkowo przytrafić.

- Gdzie on jest? - spytała groźnie. Grubin nie wierzył własnym oczom. Jeszcze wczoraj wieczorem była mu przychylna, pukała do drzwi jego kawalerskiego pokoju i zapraszała na herbatę.

- W szpitalu miejskim - odparł pośpiesznie, potrząsnął czupryną i uciekł do siebie. Zatrzaskał drzwi i zaczął nasłuchiwać, czy przypadkiem Ksenia się do niego nie włamuje. Nie włamywała się. Wyskoczyła na podwórze i popędziła do szpitala.

Grubin zdjął czarną marynarkę i postać chwilę, trzymając ją w wyciągniętym ręku. Marynarka zionęła żarem i parowała. W szafie rozległo się chrobotanie.

- Poczekaj - powiedział Grubin i zarzucił przewietrzoną marynarkę na akwarium. Wyjął z kieszeni spodni kluczyk i otworzył szafę.

Kruk zeskoczył na podłogę, zastukał po niej pazurami, parę razy rozprostował skrzydła, zerknął z ukosa na akwarium i kurzym krokiem podreptał do starego skórzanego fotela z wyłazającymi sprężynami.

Fotel, podobnie jak wiele innych przedmiotów w pokoju Grubina, prawie nic go nie kosztował. Zdobył go za pośrednictwem punktu skupu surowców wtórnych, którym kierował. Każda rzecz - stojąca, leżąca lub poniewierająca się po kątach - została nabyta zupełnie przypadkowo i mogła pochwalić się długą historią. Weźmy na przykład fotel: jego sprężyny były połamane od zbyt długiego używania i niebezpiecznie sterczały. Jedno z bocznych oparć było całkowicie pozbawione skóry, drugie zaś zupełnie całe. Najwidoczniej poprzedni właściciel lubił opierać się na lewym łokciu. Jeśli chodzi o inne uszkodzenia, to były jeszcze dwa przecięcia na siedzeniu, jakby ktoś patroszył fotel szablą, i przestrzelmy w plecach. Możliwe, że strzelano od tyłu do siedzącego w nim człowieka. Obraz uzupełniały najrozmaitsze plamy, od atramentowych po jajecznicowe, rozrzucone malowniczo tu i ówdzie.

Kruk uważnie, aby nie nadzieć się na odłamek sprężyny, wskoczył na fotel i nastroszył pióra.

Na podłodze pośrodku pokoju stały opakowania szklane. Dwie butelki po piwie, jedna po winie "Rkacyteli" i jedna po wódce. Ta ostatnia miała wyszczerbioną szyjkę. Poza tym flakon po wodzie kolońskiej i brudny słoik po majonezie. Kiedy Grubin wychodził z domu, naczyń jeszcze nie było.

- Ech, durne pały - wykrzyknął Grubin, pochylając się nad szkłem. Oddzielił od reszty flakon i butelkę z wyszczerbioną szyjką i wtoczył pod łóżko. Wrzucił tam również trzy pięciokopiejkówki. Zapytał kruka:

- Dawno byli?

Kruk nie odpowiedział.

- Przecież siedziałeś w szafie - przypomniał sobie Grubin.

- Nie przeczę - powiedział kruk i wsunął dziób pod skrzydło udając, że zasypia, czuł się bowiem dotknięty brakiem zaufania i długim uwięzieniem w szafie.

- Chcesz się przespacerować? - zapytał Grubin, który czuł się winny.

Podszedł do okna i otworzył je.

Kruk jeszcze przez chwilę wytrwał w pozie skrzywdzonej niewinności, po czym wskoczył na parapet i odleciał.

- No dobra - powiedział Grubin wtykając niebieski podkoszulek za pasek spodni. Iść na rynek, otwierać budkę, kupować butelki i makulaturę zupełnie mu się nie chciało. Dzień był pełen wrażeń. Grubin podniósł lewą nogę, zaczepił nią o prawą i zrzucił pantofel. Tą samą operację przeprowadził z drugim butem. Z podwórza do pokoju napływało rozleniwienie i miodowy zapach lip. Grubin położył się na łóżku z niklowanymi gałkami, ale nie zasnął - patrzył, jak na zagraconym warsztacie kręci się, poskrzypuje perpetuum mobile, malutki, doświadczalny model. Wieczny silnik kręcił się już drugi miesiąc, tylko podczas złej pogody zawilgał i wtedy trzeba go było popychać palcem. Grubin był zadowolony z życia, które nic od niego nie wymagało, zostawiając mu czas na niewinne przyjemności i zajęcia rękodzielnicze.

9

Szuroczka zaprowadziła pionierów do Milicy Fiodorowny Bakszt. Misza Standal, od niedawna cichy wielbiciel Szuroczki, tak długo nudził, że trzeba go było wziąć ze sobą. Zapukała ostrożnie, bo wiedziała, że staruszka ma dobry słuch i jeśli nie śpi, to otworzy. Nadstawiła ucha. Wydało jej się, że za drzwiami rozlegają się głosy, szept, kroki. Potem wszystko ucichło.

- Chwileczkę - powiedziała wreszcie stara pani Bakszt. - Wejście.

Wszystko w pokoju było jak dawniej. - Ten sam zaduch zamkniętego pomieszczenia, te same akwarele i sztychy na wyblakłych tapetach, doniczki z pradawnymi kwiatami na parapecie, fikus w rozsypującej się drewnianej kadzi, Milica Fiodorowna siedząca przy okrągłym stole. Na obrusie, ciemnozielonym, nieco pogryzionym przez mole, leżał album w czerwonej safianowej oprawie ze złotymi zapinkami w kształcie lwich głów.

Milica Fiodorowna wyglądała dziwnie. Utraciła jakby część swego królewskiego majestatu, skurczyła się, zapadła w sobie. Rzadkie śnieżnobiałe włosy, przez które przeświecała różowa, sucha

skóra, nieco rozwichrzyły się na skroniach, co nigdy dotąd się nie zdarzało. Pergaminowe policzki pokryte były ciemnymi, niemal czerwonymi plamami.

- Przepraszam bardzo - powiedziała Szuroczka. - Przyszliśmy do pani zgodnie z umową. Obiecała nam pani coś opowiedzieć.

- Pamiętam - powiedziała madame Bakszt i skinęła głową. - Niech dzieci wejdą.

Dzieci weszły i grzecznie się przywitały. Nie widziały nigdy przedtem pani Bakszt i zdumiały się, że bywają aż tak starzy ludzie. Głowa Milicy Fiodorowny zupełnie zapadła się w ramiona, dłonie opuchły i leżały na stole jak cudze, nieżywe. Nos zbliżył się do górnej wargi i nawet na nim zarysowały się głębokie zmarszczki. Tylko oczy - wielkie, szare, obramowane ciemnymi rzęsami - zachowały dawną żywość.

- Siadajcie - powiedziała Milica Fiodorowna. - Zachowujcie się cicho i nie palcie.

- My nie palimy - powiedziała Tania Metryk.

- Nie palę - dodał Standal, gdyż Szuroczka popatrzyła na niego srogim wzrokiem.

- Nae mogę poświęcić wam tyle czasu, ile byście pragnęli - powiedziała staruszka. - Obejrzyjcie sobie mój album. Podejdźcie do stołu, śmiało.

W pokoju nastąpiło poruszenie, powietrze zakołysało się i zapachy szafranu, kamfory, wanilii przemieszały się z sobą, a zza parawanu wionął ku nim aromat wody kolońskiej "Chypre".

Standal pociągnął nosem i zerknął na parawan, spod którego wystawały czubki męskich butów. Znajome czubki. Buty należały do staruszka-porywacza. Jednak Misza nie podejmował żadnych gwałtownych kroków. Gdy dzieci pochyliły się nad albumem, zaczął nieznacznie przesuwać się w stronę parawanu.

- Na tej fotografii - mówiła miarowym głosem staruszka - widzicie mnie w stroju siostry miłosierdzia.

- Przed rewolucją? - zapytał rudy pionier.

- Tak, w Sewastopolu.

Znaczenie tych słów nie dotarło do pionierów. Szuroczka zdziwiła się. Nigdy nie widziała tego albumu. Kobieta w średnim wieku, ubrana w długą białą suknię i czapeczek, stała na tle worków z piaskiem między dwiema staroświeckimi armatami. Obok niej - oficerowie w czapkach z maleńkimi daszkami. Twarz jednego z nich wydała się jej znajoma.

- Kto to jest? - zapytała.

- Pewien znajomy. Nie pamiętam już teraz, jak miał na imię - odparła pani Bakszt. - Bodajże Lowoczka.

Standal kontynuował ruch ku parawanowi. Stał na palce, a dopiero później opadał na pięty. Na razie jego podchody nie zostały dostrzeżone.

- A tutaj jest wiersz poety Połońskiego. Pewnie nie znacie takiego. To był prześwietny poeta. Sam imperator bardzo pochlebnie się o nim wyrażał.

Wiersz był poświęcony gospodni.

Milica Fiodorowna zaczęła deklamować go z pamięci, a pionierzy porównywali z tekstem. Okazało się, że deklamowała bezbłędnie.

Do parawanu zostało najwyżej półtora metra. Czubki butów poruszyły się i cofnęły. Wyleniła stara kotka wyskoczyła zza parawanu i z dzikim wrzaskiem wskoczyła na pierś Standala. Misza gwałtownie cofnął się i omal nie przewrócił fikusa.

- Boże święty! Co się tam dzieje? - wykrzyknęła młodym głosem Milica Fiodorowna.

- Kot - powiedział Standal.

- Proszę natychmiast tu wrócić - powiedziała Milica Fiodorowna - bo w przeciwnym razie będę zmuszona wskazać wszystkim drzwi.

- Ja nic... - wyjąkał Standal. - Wydawało mi się tylko...

- Misza! - powiedziała Szuroczka.

W saloniku zapanował spokój. Standal wrócił do stołu i również zaczął oglądać album, ale kątem oka zerkał na parawan. Kotka położyła się staruszce na kolanach i też zezowała - na Misze, jakby mu groziła.

- A teraz pomówmy o mojej młodości - powiedziała stara pani Bakszt. Spieszyła się, denerwowała i niemal krzyczała.

Na następnej stronie był akwarelowy portret panienki w sukni z głębokim dekoltem.

- To ja - powiedziała Milica Fiodorowna. - W okresie mojego pobytu w Sankt Petersburgu. A ten wiersz wpisał mi do albumu Aleksander Siergiejewicz Puszkina. Tańczył ze mną na balu u Wiaziemskich.

Pionierzy, Szuroczka i Standal zamarli, jak rażeni gromem. Staruszka powiedziała te słowa tak zwyczajnie, że nie można było wątpić w ich prawdziwość. Stronica była zagryzmołona niewyraźnym, pospiesznym pismem. A u dołu widniał podpis: Puszkina (z "twardym znakiem" na końcu).

W tym momencie zza parawanu szybko wyszedł staruszek z żółtawą brodą, dwoma susami dopadł drzwi i zniknął za nimi, unosząc z sobą przenikliwy zapach wody kolońskiej. Nikt go nie zauważył, nawet Standal, tylko syjamska kotka odprowadziła go swymi różnobarwnymi oczyma: jednym czerwonym, drugim niebieskim.

Wieczór, użaliwszy się nad ludźmi wymęczonymi przez upał i nadzwyczajne wypadki, wygramolił się zza granatowego, prastarego lasu, spędził słońce nad horyzont i zaczął igrać krwawymi barwami zachodu. Kurz opalizował czerwienią, domy poróżwiały, rozżłociły się szyby. Jedyne zapadlisko ziało czernią na sinawym asfalcie - wokół niego wznosiło się już ogrodzenie z grubych lin rozwieszonych na słupkach. Wszystko złagodniało - i powietrze, i ludzie. Każdy, kto szedł do kina lub po prostu na spacer, zatrzymywał się przy zapadlisku i rozpowszechniał różne pogłoski o bajecznych skarbach, które znaleziono w piwnicy. Opowiadano o pewnym operatorze koparki, co to zabrał po cichu złoty łańcuch wagi dwóch pudów, i chwalono się znajomością z nim. Pokazywano palcem oficera śledczego, spacerującego z żoną ulicą Puszkina, przekonując słuchaczy, że wcale nie spaceruje, tylko śledzi. Ludzie okropnie zazdrościli operatorowi koparki i mieli nadzieję, że go złapią i przykładnie ukarzą.

Udałow leżał tuż przy oknie na dużej sali szpitalnej. Ręka już go prawie nie bolała. Grubin słusznie przypuszczał, to było tylko pęknięcie, a nie złamanie. Chociaż w tym Udałow miał szczęście. Lekarze obiecali jutro wypisać go do domu. Przybiegła żona, która najpierw denerwowała się i złościła, a potem uspokoiła się i przyniosła z domu pieróg z kapustą. Przed odejściem postąpiła przy oknie, pottrzymała męża za zdrową rękę. Przybiegał syn Maksymek, przychodziła córeczka - przyprowadzali z sobą przyjaciół ! znajomych ze szkoły i przedszkola, chwalili się ojcem w szpitalnym oknie.

Przechodnie kłaniali się, pozdrawiali. Udałowowi wkrótce znudziły się te oznaki współczucia, odsunął się więc od okna, podkurczył nogi i przełożył poduszkę na środek łóżka. Nie wiedział, że jego nazwisko jest również wymieniane w związku ze skarbem. Jedni mówili, że Udałow ucierpiał starając się zatrzymać człowieka ze złotym łańcuchem. Inni utrzymywali, że starał się uciec wraz z przestępcą w celu dokonania podziału zdobyczy, ale noga mu się powinęła.

Nad zapadlisko przyszedł również prowizor Sawicz. Popatrzył w czarną głębię i postanowił, że jednak odwiedzi Helenę. - Dawno u niej nie byłem. Jeśli jej nie zastanę, to po prostu przespaceruję się koło domu - pomyślał.

Zanim Sawicz dotarł do Kastielskiej, zapadł już zmierzch. Na ulicach zażółciły się pierwsze latarnie. W oknie Kastielskiej paliło się światło. Helena czytała. Sawicza nagle opanowało onieśmienie. Koło przystanku autobusowego po przeciwległej stronie ulicy stała ławka - drewniane listwy na żeliwnych nóżkach w kształcie lwich łap. Sawicz usiadł udając, że czeka na autobus, ! powtarzał w myśli przemowę, którą by wygłosił, jeśli starczyłoby mu odwagi na to, żeby wstąpić do Heleny. Powiedziałaby: "Heleno, czterdzieści lat temu nie dokończyliśmy naszej rozmowy. Wiem doskonale, że to sprawa dawno przebrzmiała, że biegu czasu nie można odwrócić. Gdzieś wybraliśmy niewłaściwą drogę. Ale jeśli błędu nie da się naprawić, należy przynajmniej przyznać się do jego popełnienia".

Wolno zapadał zmrok, niebo na zachodzie stawało się zielonkawe. Barczysty uczeń Technikum Rzecznego nie doczekał się na Szuroczkę, sprzedał drugi bilet, sam poszedł na dziewiątą do kina i z rozpaczy pił w bufecie lemoniadę. Udał się bez apetytu zjadł kolację i zaczął myśleć. Stara pani Milica Fiodorowna Bakszt nie mogła zasnąć. Wstała więc, wzięła z kąta laskę, z którą chodziła do Ubezpieczalni i na targ, zarzuciła na ramiona kaszmirowy szal w ciemnoczerwone róże i udała się na spacer. Po drodze zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła błędu, pokazując pionierom album z autografem Puszkina. Musiała jednak ratować swoje dobre imię i umożliwić Miłemu Przyjacielowi niezauważalną rejteradę. Grubin obudził się, nakarmił rybki, zgasił światło i poszedł odwiedzić sąsiada, Korneliusza Udałowa. Wanda Kazimirowna, dyrektorka domu towarowego i małżonka Sawicza, zjadła samotnie ostygłą kolację i zmyła statki. Potem ogarnął ją smutek, który ustąpił miejsca atakowi zazdrości.

Zrobiło się już zupełnie ciemno. Nad lasami nabrzmiwała burza. Spoza grzebienia drzew wystrzelały bezdźwięczne błyskawice, co sprawiało wrażenie, jakby jakiś złoczyńca dawał innemu złoczyńcy ukradkowe sygnały latarką. Udał się rozmawiać szeptem z Grubinem, stojącym pod oknem szpitala. Udał się postanowił uciec i teraz wyczekiwał tylko stosownej chwili. Rano lekarze znów zamierzali zrobić mu prześwietlenie i założyć nowy gips. Udał się bał się tych zabiegów. Był też inny powód desperackiej decyzji. Kończył się kwartał, należało więc pilnie zlikwidować zapadlisko i pozostałe nieporządki w mieście. Udał się bardzo liczył na premię.

Dozorczynie muzeum sprawdziła, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Posiedziała na ławeczce pod krzewem przekwitłego bzu, ale komary szybko wypędziły ją do stróżówki. Westchnęła, przeżegnała się patrząc na gmach Archiwum Miejskiego i weszła do mieszkania. Na rzece panowała cisza. Jej wstęga z czarnymi kreszczkami znieruchomiałych barek była nieco jaśniejsza od granatowego nieba.

Na dziedziniec muzeum wszedł starzec z ciężką bukszpanową laską. Zapach wody kolońskiej odstraszał komary, które krążyły wokół niego, wrzeszczały cieniutkimi głosikami, złościły się na starca, ale usiąść na nim nie śmiały. Starzec wolno wszedł na ganek muzeum. Nie spieszył się, żeby rozeschnięte stopnie nie zaskrzyphiały. Z parku miejskiego dobiegało dudnienie bębna - orkiestra dęta grała walca "Na wzgórzach Mandżurii". Był sam. Wyjął z kieszeni wytrych i zaczął nim gmerać w solidnej kłódce wiszącej na muzealnych drzwiach. Kłódka długo się opierała, była stara i niezawodna, ale wreszcie ustąpiła z ogłuszającym szczęknięciem. Okoliczne psy dosłyszały ten dźwięk, rozszczękały się i zaczęły się miotać na łańcuchach. Starzec zerknął na drzwi stróżówki - nie, dozorczynie nawet się nie poruszyła... Zdjął kłódkę, położył ją ostrożnie na drewnianej balustradzie i pociągnął ku sobie drzwi obite ceratą. Ciągnął i nasłuchiwał. Przy każdym skrzypnięciu nieruchomiał, po czym znów na centymetr przyciągał drzwi do siebie. Wreszcie wytworzyła się szczelina. Najpierw wsunął laskę, a potem sam wślizgnął się do środka ze zdumiewającą w jego wielu zręcznością. Zamknął drzwi za sobą. Oparł się o nie szerokimi, zgarbionymi plecami i długo chrypiał uspokajając rozkołatane serce.

Z początku popełnił błąd - udał się do magazynu muzealnego. Znał rozkład pomieszczeń, więc w ciemność! zszedł na dół do sutereny, pokręcił wytrychem przy żelaznych drzwiach magazynu i ponieważ się spieszył, stracił na tą operację co najmniej trzy minuty.

Amfilada magazynów tonęła w mroku. Starzec wyjął z kieszeni cieniutką, nie grubszą od

długopisu latarkę i osłaniając ją dłonią, aby światło nie padało w okna, wolno ruszył przed siebie. Portrety drobnych posesjonatów z okolic Wielkiego Cuslaru, ujęte w złote wąskie ramki, patrzyły na niego ze ścian, zdekompletowane meble tłoczyły się pośrodku pokojów, w szafach kryły się wyblakłe sarafany, suknie kupieckich żon i mundury carskich stójkowych; lampy naftowe na postumentach z brązu i porcelany celowały zakurzonymi knotami w sufit, a dawno już zepsuty złożony zegar - pasterz i pasterka - polśniewały pod przypadkowo zahaczającym o nie promieniem latarki.

W magazynie nie było tego, czego starzec szukał, wyszedł więc przymykając za sobą drzwi. Nie zamykał ich, bo brakowało mu na to czasu. Przystanął i zamyślił się. Gdzie oni to wszystko mogli schować? Później parsknął ze złością - że też się wcześniej nie domyślił - i pospieszył, postukując laską, na pierwsze piętro do gabinetu dyrektora. Tym razem się nie zawiódł. Trzy butle i kolba stały na biurku, obok makiety Pomnika Pionierów. Leżały tam również dwie książki. Inne książki i puste retorty poniewierały się na skórzanej kanapie.

Ruchy starca nabrały zwinności i precyzji. Obmacywał butle, oświetlał je latarką, rozpoznawał płyny po kolorze. Jedną z butli od korkował i powąchał, skrzywił się jak od niucha dobrej tabaki, kichnął i wetknął z powrotem gumowy korek w szyjkę naczynia. Przejrzał książki leżące na kanapie, jedną z retort z odrobiną proszku na dnie ostrożnie wsunął za pazuchę. Jeszcze raz przejrział wszystkie butle i książki, ale w żaden sposób nie mógł znaleźć czegoś niezmiernie potrzebnego, cennego, czegoś, po co przyszedł tu o tak niezwyklej porze.

Starzec ciężko westchnął i zatrzymał się w zadumie przed kasą pancerną. Kasa wydawała mu się podejrzana. Brakowało dwóch butelek. Postał jeszcze chwilę zastanawiając się, dlaczego zniknęły właśnie te butelki? Zapragnął nagle, żeby nie było ich w kasie pancernej. Bowiem, jeśli zostały one oddzielone od pozostałych, to znaczy, że ktoś przynajmniej częściowo odgadł jego sekret.

Kasa pancerna poddała się po dwudziestu minutach. Na jej górnej półce leżały ważne dokumenty muzealne, kwitariusze składek związkowych, pieczęć i rozmaite papiery. Na dolnej półce - dwie niewielkie butle. Starzec miał rację, ale wcale go to nie ucieszyło. Tym bardziej że brakowało pewnej rzeczy, niezbędnej dla powodzenia przedsięwzięcia. Zaczął się domyślać, gdzie owa rzecz mogła się podziać.

Wolno i ciężko szedł po schodach, zanurzywszy butle w obszernych kieszeniach. Zapomniał, że znajduje się w muzeum nielegalnie, i zamasyście otworzył drzwi wejściowe. Zawiasy przeraźliwie skrzypnęły. Starzec nie słyszał tego pisku, gdyż zamyślił się. Drzwi zatrzęsły się z głuchym łoskotem. Na dole przy schodach czaiła się przerażona dozorczyńni, przyciskając do warg gwizdek milicyjny.

Starzec nie od razu ją zauważył. Z zadumy wyrwał go gwizd, krótki i zdławiony - dozorczyńni była tak przestraszona, że nie potrafiła przyzwoicie dmuchnąć. Ręka drżała, gwizdek stukał o zęby.

- Co tu robisz? - zapytał starzec, wciąż jeszcze myśląc o czymś zupełnie innym. - Dlaczego tu stoisz? - powtórzył już z większym naciskiem.

- Boziu! - powiedziała dozorczyńni i cofnęła się o krok, depcząc muzealny klomb. - Przecież tam nie wolno wchodzić. Muzeum jest zamknięte.

- A ja wcale nie wybieram się do muzeum - powiedział starzec, który przyszedł do siebie i przypomniał sobie, gdzie jest i dlaczego się tu znalazł.

- Boziu - powtórzyła dozorczyńni. - Czyżby to był pan? Poznałam po głosie. Dzieckiem byłam, ale po głosie poznałam.

- Pomyliłaś się - powiedział starzec. - Jestem przyjezdny. Chciałem - zapoznać się z waszymi zabytkami. Chodzę sobie, oglądam...

- Nie ma się co przede mną ukrywać - obraziła się dozorczyńni. - Chociaż dzieckiem byłam, ale pamiętam, jak dziś pamiętam.

- Dobra - powiedział starzec. Zszedł już ze schodów i stał na chodniczku, górując nad dozorczynią. Kieszenie mu odstawały i płyn głośno bulgotał w butelkach.

Dozorczyńni, zaskoczona tym spotkaniem, zmieszana, już nie myślała o niczym złym. Uznała za goryczą, że starzec pije i nosi wódkę po kieszeniach.

- Może nie macie, ojczulku, gdzie zanocować? - zapytała. Starzec złagodniał.

- Nie martw się, stara - powiedział. - Mamy lato. Komary mnie nie biorą. Kto dziś przynosił różne rzeczy do muzeum?

- Stara dyrektorka, Helena Siergiejewna. Oni potem długo jeszcze siedzieli.

- Czy zabrała coś ze sobą?

- Z wnukiem była, z Wanią. Jest teraz na emeryturze.

- Czy miała książkę? Starą?

- Ona często z książkami chodzi.

- Jak wychodziła, to miała książkę z sobą?

- Miała, miała, pewnie że miała, jak by ona magła bez książki?

- Dawno wyszli?

- Jeszcze jasno było...

- Dokąd poszli?

- Do niej do domu, na Słobodzką...

Udałow już całkiem przygotował się do ucieczki ze szpitala, kiedy właśnie skończył się ostatni seans w kinie i na ulicę z głośnymi rozmowami i śmiechem wylegli ludzie. Księżycą nie było, bo zza lasu nadciągnęły burzowe chmury. Grubin przylgnął do ściany. Udałow położył się do łóżka. Na sali było już ciemno, światło zgaszone, chorzy spali.

- Przeszli - szepnął wreszcie Grubin dając sygnał do akcji.

Jako ostatni szpitalne okno minął kinooperator, podzwaniając kluczami od kabiny projekcyjnej.

Można było uciekać. Udałow bardzo chciał, żeby ta operacja przeszła niezauważalnie i pomyślnie. Jeśli go teraz schwytają i zawrócą, będzie niemało śmiechu i Ironicznych rozmów. Ale do rana nie można czekać. Rano do szpitala zwali się mnóstwo lekarzy i średniego personelu medycznego. Nie puszcza. Udałow podparł się zdrową ręką i usiadł na parapecie.

Z tyłu za nim skrzypnęły drzwi. Pielęgniarka. Udałow zamknął oczy i skoczył w dół, na ręce Grubinowi. Chorą rękę trzymał w górze, żeby jej nie urazić, i tak utworzyli pod oknem nieruchomą grupę rzeźbiarską, majestatyczny żywy obraz.

Przed nosem Korneliusza poruszały się niespokojne, bujne wąsy Grubina. Udałow nie otwierał oczu, oczekując w przerażeniu na groźny okrzyk siostry. Wydawało mu się już, że we wszystkich szpitalnych oknach zapalają się jaskrawe elektryczne ognie, że na szpitalne korytarze wylęgają pielęgniarki i salowe, lekarze i palacze, i że wszyscy krzyczą: "Uciek! Uciek! Zawiódł zaufanie!"

- Aj! - powiedział Korneliusz. Grubin pacnął go głową w usta, żeby zachował milczenie. Na sali szpitalnej było cicho. Może pielęgniarka nie zauważyła, że jednego podopiecznego brakuje, a może to w ogóle nie była siostra, tylko któryś z chodzących pacjentów wyszedł na korytarz. Korneliusz ciężko westchnął, rozluźnił się i powiedział:

- Poczekaj chwilę, niech odpocznę. Bądź co bądź jestem chorym człowiekiem.

I wtedy usłyszeli ciężkie, nierówne kroki. Ich odgłos zbliżał się nieubłaganie i surowo, jakby to szedł nie człowiek, lecz pomnik. Samym środkiem ulicy, nie kryjąc się, przeszedł wysoki starzec z laską. Przeszedł nierówno i skąpo oświetlony rzadkimi latarniami i tylko jego cień jeszcze przez dłuższą chwilę wydłużał się i kołysał pod nogami Udałowa. Pozostał zapach wody kolońskiej, dziwny bulgot, wydawany przez starca, oraz postukiwanie laski.

- Podejrzany staruszek - powiedział Udałow szeptem. Przestraszył się go i dlatego chciał go poniżyć. - Kręcił się koło zapadliska, pamiętasz? Zepchnął mnie w przepaść.

- Sam się zepchnąłeś. Nie ma co wymyślać - powiedział sprawiedliwy Grubin.

- I nie przeprosił - dodał Udałow. - Pokaleczył człowieka, który przez niego trafił do szpitala,

a nie przeprosił. Mój wypadek wydarzył się nie w godzinach pracy i wobec tego Ubezpieczalnia nie będzie mi płacić zasiłku. Trzeba będzie z niego ściągnąć.

- Daj spokój. Korneliuszu - przemawiał mu do rozsądku Grubin. - Co ty ściągniesz ze starca?

- Wytoczę mu sprawę - powiedział Udałow, który wreszcie zrozumiał, kto jest wszystkimu winien.

Poderwał się i niosąc przed sobą chorą rękę niczym karabin maszynowy, potruczał ulicą za starcem. Biegł ostrożnie, miękko klapiąc szpitalnymi kapciami i powiewając połami pizamy. Chciał się dowiedzieć, gdzie starzec mieszka, ale rozmawiać z nim teraz, na ciemnej ulicy, nie miał zamiaru. Starzec miał laskę, a Udałow, jako uciekinier, stał poza prawem.

Grubin westchnął i dopędził Korneliusza. Szedł obok niego i przekonywał, że nie warto tego robić. Napomykał, że taka pogoń może odbić się na zdrowiu. Udałow milczał i machał ręką. Machał na przyjaciela i krwiożercze komary...

Szuroczka już trzy razy powiedziała Standalowi, że powinna iść do domu, ale nie odchodziła. Rzeczywiście powinna już wrócić do domu. Standal odpowiadał: "Nie, jeszcze trochę posiedzimy". Wielokrotnie chodził na róg, gdzie stała sprzedawczyni lodów, i przynosił Szuroczce "Eskimo". I znów mówił o poezji, cudownych przypadkach, planach na przyszłość, zaletach dziennikarskiego życia, mamie, która pozostała w Leningradzie, o miłości do zwierząt, o długowieczności, i wciąż przerywał sam sobie pytaniem: "Posiedzimy jeszcze?" Szuroczka miała pewne przeczucia, które przyprawiały ją o dreszcze, ale kiedy zrobiło się zupełnie późno, wstała i powiedziała: "Pójdę już. Mama będzie się gniewać".

- Jutro jest pani wolna? - zapytał Standal.

- Nie wiem - odparła Szuroczka. - Lepiej niech mnie pan nie odprowadza. - Obawiała się, że barczyści uczniowie z technikum zobaczą z nią Standala i pobiją go.

I w tym momencie rozległy się kroki. Kroki były ciężkie i towarzyszył im stukot laski. Ulicą w kierunku mostu przez Griaznuchę szedł starzec z laską. Ciągnął za nim znajomy zapach wody kolońskiej. Standal poczuł, jak w jego wnętrzu wszystko się napina. Starzec uosabiał tajemnicę. Było w nim coś złowieszczonego.

- Idziemy! - powiedział. - Tego człowieka nie wolno nam tracić z oczu...

...Milica Fiodorowna Bakszt zamyśliła się i spacerowała znacznie dłużej, niż należy w jej wieku. Trafiała aż na Słobodę, co nie przydarzało się jej od jakichś trzydziestu lat. Wlokła się w stronę domu po nocy, pora już było spać, słabe nogi zdrętwiały, a przemykające z rykiem autobusy przerażały, zmuszały do krycia się pod ścianami domów. Może już nie zdoła dojsć do domu, do fikusa i szafranowego półmroku. Kotka posłusznie dreptała za nią, starając się nie pozostawać w tyle, a jej różnobarwne oczy płonęły mętnie, niczym reflektory przebijające się przez mgłę.

Postawna kobieta wyprzedziła Milicę Fiodorownę, nawet nie spojrzawszy w jej stronę. Tej

kobiety Milica Fiodorowna prawie nie znała - widziała ją ze dwa razy wychodzącą z domu towarowego.

Sawicz poznał żonę po rytmie jej kroków. Niegdyś ten stukot obcasików podbił go, wydawał się lekki i elegancki. Potem zachwycenie minęło, pozostała umiejętność rozpoznawania z daleka, szybkiego reagowania. Teraz też zadziałał odruch. Sawicz zrozumiał, że jego żonę męczy zazdrość, że go szuka. Dwoma susami przeskoczył ulicę i ukrył się za furtką na podwórku Kastielskiej. Wanda Kazimirowna przystanęła przed oknem, zajrzała do środka ! przekonała się, że Kastielska jest sama. Siedzi przy stole i czyta. Sawicza tam nie ma. Nieco uspokojona ruszyła dalej, w kierunku mostu. Tym razem szła wolniej, jakby na przechadzkę.

Sawicz zamierzał wrócić na ulicę, ale gdy się tylko poruszył, znów rozległy się kroki, ciężkie i twarde. Sawicz pozostał w cieniu. Furtka odskoczyła pod ciosem laski i rozwarła się na oścież. Parkanik zadrżał. Wysoki starzec wtargnął na podwórko, omal nie potrącając Sawicza ramieniem, obszedł dom i wbiegł na ganek. Zapukał do drzwi.

Sawicz wyprostował się. Już gdzieś widział tego starca. Starzec mu się nie spodobał. Było w nim coś agresywnego, coś zagrażającego Helenie. Chciał podejść, zadać jakieś pytanie, ale powstrzymał się od tego w obawie, że znajdzie się w niezręcznej sytuacji. Bo niby co on sam tu robi?

Gdy Sawicz tak się wahał, zaszły dalsze wypadki. Po pierwsze, drzwi do mieszkania Heleny otworzyły się i starzec, bez słowa, wszedł do środka. Po wtóre, przez otwartą furtkę wbiegł młody mężczyzna w okularach, ciągnąc za rękę uroczą Szuroczkę Rodionową, podwładną Wandy. Młodzi ludzie zatrzymali się, nie wiedząc, co robić dalej. W tym momencie przed furtką zarysowały się dwie kolejne postacie, z których jedna trzymała przed sobą sztywno wyciągniętą białą i grubą rękę. Druga postać była wysoka, a jej kudłata głowa w świetle latarni ulicznej przypominała głowę Gorgony. Udałow zaczął miotać się po chodniku, a Grubin wyciągnął żyłastą szyję, zajrzał w okno Kastielskiej i powiedział:

- On jest tam.

Udałow natychmiast podążył na podwórko, wyprzedził, nie zauważając, Szuroczkę i jej towarzysza, po czym zaczął bębnić w drzwi. Pod jego uderzeniami drzwi się otworzyły i Udałow dał nura w ciemność.

- Coś się stało? - zapytał Sawicz wyskakując z cienia.

- Nie wiem - Grubin wcale nie zdziwił się na jego widok. - Całkiem możliwe.

- Przecież ci mówiłem - powiedział Misza Standal do Szuroczki i pospieszył w stronę ganku.

Jako pierwszy wbiegł do pokoju Udałow. Chciał się przywitać, ale słowa utknęły mu w gardle. Okazało się, że starzec zagnał Helenę Siergiejewną do kąta i usiłował odebrać jej sfatygowaną książkę w skórzanej okładce. Helena Siergiejewna przyciskała książkę do piersi obiema rękami, milczała i patrzyła na starca oczyma pełnymi pogardy.

- Ach, ty! - powiedział Udałow. Wystawił do przodu zagipsowaną rękę i z rozmachem rąbnął nią starca w plecy. Starzec jęknął, ale Heleny nie puścił. Na pomoc Udałowowi pospieszył Sawicz. Przewyciężył siebie, pokonał obawy przed znalezieniem się w niezręcznej sytuacji. Powodował nim lęk o ukochaną niegdyś kobietę. Starzec charczał, kołysząc się niczym potężny dąb smagany wichurą.

Już i Grubin, i Udałow, i Standal, i nawet Szuroczka odrywali go od Heleny Siergiejewny, ciągnęli, ale on wciąż się opierał, choć powoli ulegał wspólnym wysiłkom przeciwników. Walka toczyła się wśród sapań, westchnień, pochrząkiwań i szmerów, ale bez słów.

Słowa rozległy się od drzwi:

- Przestańcie - powiedział starczy głos. - Natychmiast przestańcie.

W drzwiach, opierając się ciężko na lasce, stała opadła z sił Milica Fiodorowna Bakszt. U jej nóg, sprężona do skoku niczym pantera, przysiadła syjamska kotka.

Starzec wypuścił z rąk książkę i cofnął się pod ciężarem zwisających na nim wrogów. Poruszył ramionami, strząsnął z siebie wszystkich i jak gdyby nigdy nic usiadł na krześle.

- Jak dzieci - powiedziała Milica Fiodorowna. - Mnie też podajcie krzesło. Zmęczyłam się.

12

- Miły Przyjacielu - powiedziała Milica Fiodorowna. - Zachował się pan w sposób niegodny mężczyzny. Pozwolił pan sobie podnieść rękę na damę. Musi ją pan natychmiast przeprosić.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział starzec, łowiąc oczami i odbijając pytające spojrzenia obecnych.

Helena Siergiejewna jeszcze nie przyszła do siebie. Wciąż stała przyciskając książkę do piersi.

- Mój przyjaciel nie zamierzał uczynić nic niewłaściwego - powiedziała Milica Fiodorowna. - Był jednak niezmiernie zdenerwowany możliwością utraty.

- Mnie on nie podobał się od samego początku - wtrącił Udałow. - Trzeba wezwać milicję.

- Sami sobie damy radę - powiedział Standal.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy, Heleno Siergiejewno - powiedział starzec.

- No, no - wykrzyknął groźnie Udałow, podciągając spodnie od piżamy. Był odważny, gdyż za nim stała opinia publiczna. - Złamałem przez pana rękę.

- Sameś skoczył - burknął starzec bez cienia szacunku.

- Miły Przyjacielu - powiedziała stara pani Bakszt. - Obawiam się, że teraz jest już za późno na stawianie warunków.

Następnie obróciła się do Udałowa i Standala i powiedziała:

- Mój przyjaciel nie powtórzy swych godnych pożałowania występków. Ręczę za to.

W jej głosie brzmiała zupełnie niestarcza pewność siebie. Udałow zmieszał się i spuścił oczy. Standal chciał coś odpowiedzieć, ale Szuroczka pociągnęła go za rękaw.

- Sądzę - kontynuowała Milica Fiodorowna Bakszt - że nadeszła pora, aby wszystko opowiedzieć.

- Tak, warto byłoby się wytłumaczyć - powiedziała Helena Siergiejewna i odłożyła nieszczęsną książkę na sam środek stołu.

- Co pani wie? - zapytał starzec Helenę Siergiejewnę.

- To, co tu jest napisane.

Starzec skinął głową. Oparł się szerokimi dłońmi na rączce laski. Teraz było widać, że jest bardzo stary, nieprawdopodobnie stary.

- No więc dobrze - powiedział. - Istota sprawy polega na tym, że urodziłem się w roku 1603.

To oświadczenie było dla wszystkich zbyt nieoczekiwane.

Udałow zachichotał. Nerwowo, niezbyt głośno, głaszcząc dłonią kędzierzawe kosmyki, wyrastające wianuszkami wokół łysiny, roześmiał się Sawicz. Zaraźliwym śmiechem parsknął Standal. Grubin uśmiechnął się od ucha do ucha. Szuroczka również się uśmiechnęła, ale natychmiast spoważniała, gdyż przypomniała sobie album starej pani Bakszt. Sama Milica Fiodorowna nie śmiała się... Wanda Kazimirowna zajrzała przez okno i dostrzegła roześmianego męża w mieszanym towarzystwie. To już przekraczało wszelkie granice i Wanda Kazimirowna wpadła z gniewem do domu. Tupnęła muskularną nogą, przerywając w ten sposób radość obecnych, i zapytała zwracając się głównie do męża:

- Śmiejecie się? Wesoło wam?

Sawicz zbladł. Chciał wstać, przeprosić, chociaż nie był niczemu winien. Ale i tym razem stara pani Bakszt zaprowadziła porządek. Powiedziała głośno i surowo:

- Kto chce się śmiać, niech idzie do kinematografu. A pani, madame, niech usiądzie na ławce i nie przeszkadza w rozmowie.

Wszystkim natychmiast odeszła ochota do śmiechu. Wanda Kazimirowna usiadła na samym

brzeżku ławki, obok Szuroczki, i zamilkła. Starzec jakby tylko na to czekał. Powtórzył dobitnie:

- Urodziłem się w roku 1603.

Tym razem nikt nie przerwał, nikt się nie uśmiechnął. Było oczywiste, że starzec nie kłamie, że istotnie urodził się tak dawno, iż jest cudem natury, unikatem, którego losy w sposób tajemniczy i cudowny związane są z zapadliskiem na ulicy Puszkina.

- Mój ojciec był biedny. Matka umarła w połogu. Mieszkaliśmy tutaj, w mieście Wielki Guslar, na ulicy Wologodzkiej. Ojciec był szewcem, ochrzczono mnie w cerkwi św. Mikołaja, która do dziś wznosi się na rogu ulic Krasnogwardyjskiej i Pokoju. Na chrzcie świętym dano mi imię Ałmaz. Imię obecnie rzadkie i zapoznane.

Starzec rozkasał się. Kaszel wstrząsał jego wielkim i już najwidoczniej zupełnie pustym wewnątrz ciałem.

- Heleno Siergiejewno, czy można się czegoś napić? - zapytał wreszcie.

Szuroczka pobiegła do kuchni, przyniosła szklanekę zimnego mleka. Starzec wypił je i niespiesznie otarł wąsy niebieską chusteczką.

- Jako małego chłopca oddano mnie na służbę do kupca Tomiły Pierfiriewa, człowieka ogromnie skąpego i złodziejowatego. Kupiec bił mnie bez litości. Rosłem jednak na silnego dzieciaka, chociaż mięso widywałem jedynie z okazji wielkich świąt cerkiewnych. Pamiętam, chodziły wtedy słuchy o Polakach, którzy wzięli Moskwę. Polacy do nas wprawdzie nie dotarli, ale i tak niepokój był wielki.

Starzec mówił wolno, starając się wydarzenia z XVII wieku ubrać we współczesne, zrozumiałe dla słuchaczy słowa. Jakby już sam nie bardzo wierzył w to, że te wydarzenia kiedyś miały miejsce. Sam sobie wydawał się kłamcą i natrętem - co tych ludzi obchodzi hałaśliwy rozgwar rynku, jękający się diak z "gramotą" w rękach, co tych ludzi może obchodzić zdeptana na śmierć żebraczka i potrójne stonce, złowieszczy znak na niebie. Czy coś takiego istotnie się wydarzyło, czy też po prostu widział to w kinie trzysta lat później?

- Komu się nudzi, może sobie pójść, wcale nie nalegam, żebyście mnie słuchali - powiedział nagle ze złością. Wciąż mu się wydawało, że widzi na twarzach obecnych ironiczne uśmieszki.

Nikt się nie odezwał. Prowizor Sawicz zdawał sobie sprawę z tego, że należy zażądać dowodów, gdyż w przeciwnym razie sytuacja stanie się nieznośna. Jej nierealność została spotęgowana przez to, że po raz pierwszy od wielu lat w jednym pokoju zetknęły się Wanda i Helena.

Starzec milczał i omiatał wszystkich przenikliwym wzrokiem. Ucichło skrzypienie krzeseł, ustał ruch, skończyło się porozumiewawcze zerkanie.

- Kiedyś złapałem gospodarza na fałszowaniu miary, a było to przy ludziach. Blizny do dziś jeszcze zupełnie się nie wygładziły, tak mnie skatował. Ale to nic, jakoś się wykaraskałem i przy okazji zyskałem przydomek "Bity". Tak mnie nazwali. A więc, Ałmaz Bity. Inna rzecz, że imię i

nazwisko zmieniałem wielokrotnie, a w radzieckim dowodzie osobistym figuruję jako Bitów. To zresztą nie jest ważne. Podrosłem, uciekłem z Wielkiego Guslaru i tak zaczęły się moje wieloletnie wędrówki. Najpierw przystałem do kupców, którzy szli na Syberię. Młody byłem i w wiele rzeczy się wplątywałem. Gdybym opowiedział wszystko, wyszłoby z tego długa powieść z wieloma przygodami.

Doszedłem z Kozakami do Ziemi Kamczackiej, bywałem również w Indiach, a kiedy wróciłem do Rosji, dobiegałem już pięćdziesiątki i cieszyłem się pewną sławą jako człowiek odważny i miłujący prawdę. Jeśli ktoś z was ma dostęp do archiwów, to może tam znaleźć, jeśli ocalały z licznych pożarów, dokumenty wspominające moje sprawy i wyprawy, a nawet łaski carskie, które na mnie spłynęły. Był w tych latach wzajemny ucisk, chępliwość, smutek i rozpacz. Ruszyłem wtedy na południe, na Zaporoską Sicz. Zostałem pułkownikiem wojska zaporoskiego i myślałem już, że dokonam swego żywota w wyprawach i bojach, ale pewnego razu wydarzyło się coś takiego...

Starzec Ałmaz przerwał swą mowę, pomilczał chwilę, popatrzył wokół i poczuł się usatysfakcjonowany. Słuchacze zainteresowali się., poddali hipnozie suchych zdań, zdań krótkich i powściągliwych.

- Nie zdarzyło się wam przypadkiem słyszeć nazwiska Briuchowiecki, Iwaszka Briuchowiecki? Pani też nie, Heleno Siergiejewno? To rozumiałe. Ten człowiek zapadł w niepamięć i znany jest jedynie historykom - specjalistom. A wszak w moich czasach jego imię zarówno na Siczy, jak i na całej Rusi było nader znamienite. Dla ludzi był on hetmanem zaporoskim, a dla mnie - bezpośrednim zwierzchnikiem.

Wzywa mnie kiedyś ów Briuchowiecki do siebie i powiada: "Jest dla ciebie, Ałmazie Fiodotowiczu, sekretne i pilne zadanie. Zaszczycił mnie car gramotą, rozkazał wysłać zbrojnych, żeby starca Meletija w bezpieczne okolice odprowadzić. Posłałem ich, tylko że oni oskubali starca i wszystko, co miał przy sobie - sześć wozów i gramoty zamorskie - zabrali. Teraz car się gniewa. Gdzie, pyta, zagrabione dobro. Już drugi dzień siedzi u mnie poddiaczy Tajnej Kancelarii, Porfirusz Ołowiennikow, pokazuje spis mienia i rozkazuje zwrócić. Grozi. Poradź, Ałmaz, co robić?" Od razu rozumiałem, że Iwaszka Briuchowiecki kręci, bo grabieżcy na pewno szczerze się z nim podzielili. A komu chciałoby się oddawać dobytek? Pytam go więc:

- A gdzie są gramoty? Wątpliwe, żeby car wysłał Ołowiennikowa, człowieka sprytnego, tylko po jakieś tam sześć wozów,

Briuchowiecki z początku zapierał się, twierdził, że niby nie wie, gdzie są gramoty, że nawet o nich nie słyszał. Potem niby sobie przypomniał i przyniósł. Jak dziś pamiętam: rzeźbiona szkatuła, a w niej zwitki i pojedyncze karty. Zażądałem trochę czasu na przejrzenie. Briuchowiecki nie miał nic naprzeciw. Burknął tylko, że wezwie mnie rano. Z tym wróciłem do swego domu.

"Wydaje mi się, że gdzieś natknąłem się na nazwisko tego Briuchowieckiego" - pomyślała Helena Siergiejewna odganiając od twarzy papierosowy dym.

Standal zaczął się nudzić. Kręcił się na krześle i zerkał na Szuroczke, ale bał się do niej odezwać. Udałow niańczył złamaną rękę - widocznie go bolała. Grubin słuchał uważnie i oczyma

duszy widział butnego hetmana, u którego pod drzwiami siedzi moskiewski poddiaczy z Tajnej Kancelarii.

- Wezwałem pewnego skrybę, Greka, nie pamiętam już, jak się nazywał. Razem z nim odczytałem gramoty. A były to gramoty bardzo interesujące - wschodni patriarchowie uznawali w nich nieograniczoną władzę cara Aleksego. A Nikona, patriarchę ruskiego, stawiali niżej od cara. Gramoty były niezmiernie ważne i poddiaczy nie na darmo tracił czas. Car chciał skończyć z Nikonem, ale nie ważył się sam pozbawić go patriarszej godności. Wysłał posłów do Jerozolimy, do Antiochii, jednał sobie tamtejszych patriarchów, prosił ich o pomoc. Wśród papierów znajdowała się pewna kopia, która mnie szczególnie zainteresowała. Była to kopia gramoty samego Nikona, który wyklinał w niej cara i bojarów gnębiących naród, głosił prawdę i sprawiedliwość, uskarżał się na carską samowolę, groził wojną. I tę właśnie kopię carscy posłowie wozili na Wschód, aby pokazać patriarchom, jaka czarna owca zakradła się do ich owczarni. Ta gramolą bardzo współgrała ze stanem mojego ducha. Od wielu lat szukałem sprawiedliwości i oto teraz ta sprawiedliwość, przepisana przez skrybów, wygłoszona przez wielkiego człowieka, który wystąpił przeciw carowi i bojarom - leży przede mną. Nie orientowałem się wówczas w zamiarach patriarchy i postanowiłem, że gdy tylko żyw będę i ujrzę starca, poproszę go o wskazanie mi słusznej drogi.

Rano poszedłem do Iwaszki Briuchowieckiego i poradziłem mu: "Oddaj, powiadam, coś z tego, co zabrałeś, jakiś drobiazg. Ale te cztery gramoty, napisane przez patriarchów, koniecznie zwróć. Wtedy car cię poniecha. Powiedz, że wszystko Kozakom odebrałeś, złożyłeś w cerkwi, a cerkiew spłonęła". Iwaszka dopytuje się: "A ujdzie mi to na sucho?" "Ujdzie" - powiadam.

Briuchowiecki tak też i zrobił. Poddiaczy, gdy tylko zobaczył patriarsze gramoty, od razu ożył - po nie właśnie jechał.

Starzec rozgadał się. Głos mu okrzepł i stał się dźwięczniejszy. Wymachiwał laską niczym buławą lub szablą, zapominał o słuchaczach, nie oni mu teraz byli w głowie.

Sucha relacja nabierała życia, zakurzone imiona przekształcały się w ludzi.

- Rwałem się do Moskwy, ale dotarłem tam dopiero za jakieś dwa, trzy lata, kiedy już do niej podjeżdżali przez Gruzję, a potem Wołgą, zwołani przez cara patriarchowie, żeby sądzić Nikona, unicestwić go. Briuchowiecki również wtedy pojechał do Moskwy, z hołdem, i udało mi się przez podstawionych ludzi nawiązać kontakt z Nikonem.

W owym czasie groziło mu już zesłanie do północnego klasztoru, pokuta w charakterze zwykłego mnicha, ale starzec nie poddawał się, nie uważał walki za przegraną. Mówiąc językiem współczesnym, miał jeszcze mocne plecy. Właśnie na nich się opierał. A z drugiej strony zwrócił uwagę na naród. Może nawet nie z miłości do niego, ale co miał robić? Przegrał kampanię. Mnie Nikon umieścił w pewnym klasztorze, gdzie nazwano mnie starcem Siergiejem. Szablę jednak jeszcze potrafiłem w ręku utrzymać. Siedzenie w klasztorze nużyło mnie, chociaż Nikon czynił mi wielkie nadzieje - zbliża się, powiadała, nasz czas. Posłużysz jeszcze, mówił, Ałmaz, słusznej sprawie.

- Wytrzymajcie jeszcze trochę - powiedział nagle starzec pojednawczym tonem, zwracając się do Grubina, który wyjął notes i zaczął w nim coś pisać. - Jeszcze tylko kilka słów. Zaraz przejdę do

sedna sprawy. Bez tego, co opowiedziałem, nie pojmiecie mojego stanowiska i moich losów.

- Ja po prostu robię notatki - powiedział Grubin, ale zamknął zeszytik.

- Z południa, znad Wołgi, nadeszły wieści, że powstał Stieńka Riazin. Nie mógł darować Dołgorukiemu śmierci swojego brata Iwana, śmiały był człowiek, i chociaż Prozorowski, wojewoda astrachański, w imieniu cara obiecał mu wybaczenie dawnych grzechów, ruszył wzdłuż Wołgi, postanowił obalić władcę. Myślał, że wtedy ludzie zaczną dobrze żyć. Kiedy u nas w klasztorze zaczęli o tym przebąkiwać, zrozumiałem, że nie dziś to jutro wezwą mnie do Nikona. Był wówczas Nikon zwyczajnym mnichem pohańbionym, uwięzionym w klasztorze św. Feraponta, tutaj na naszej Wołogodzkiej Ziemi. Ale w klasztorze znali go i lękali się jego potęgi, bo mógł jeszcze wiele. Wezwał mnie i powiada: "Ty, Kozaku Ałmazie, idź do Stiepana Timofiejewicza nad Wołgę. Beze mnie Stiepan sobie nie poradzi. On sam to wie, bo słyszałem, że jest wśród jego łodzi barka obita czarnym aksamitem - rozpuścił Stiepan plotkę, że ja w tej barce płynę. Pojedź tam, rozejrzyj się, będziesz niby moim posłem". Pobłogosławił mnie Nikon i poszedłem nad Wołgę. Byłem właśnie w Astrachaniu, kiedy Prozorowskiego rzucili w bystrzynę, zdobywałem Carycyn i pod Symbirskiem z wojskiem stałem. Wszystko było. Tylko, rzecz jasna, sukienkę zakonną zrzuciłem i chociaż wołali mnie po dawnemu starcem Siergiejem, biłem się po kozacku. Wtedy właśnie poznałem Milicę.

Ałmaz wskazał węzlastym palcem staruszkę, drzemiącą w kącie z kotką na kolanach. Wszyscy posłusznie obrócili się w jej stronę.

- Była ona wówczas, a zresztą jest do dzisiaj, księżniczką, o której ludzie śpiewają znaną pieśń. Że niby ją Stiepan Timofiejewicz za burtę do Wołgi wrzucił.

- Oj - westchnęła Szuroczka Rodionowa.

- Nie budźcie jej - powiedział Ałmaz, chociaż nikt nie zamierzał budzić Milicy Fiodorowny. - W pieśni mówi się, że Stiepan Timofiejewicz wyrzucił ją za burtę, ale to nieprawda. Odgrażał się, nawet przysięgał, żeby uspokoić zazdrosnych Kozaków. Ale przecież nie był bandytą. Był on już w owym czasie mężem stanu, armię za sobą prowadził. Incydent wprawdzie był, przyznaję to. Znajdowałem się wówczas na tej samej barce, co Stiepan. Mocno się kłóciliśmy, bo były między nami wielkie różnice zdań. Na to akurat przyszli niektórzy dowódcy - Symbirsk już niedaleko, powiadają, a tam ślubna małżonka oczekuje. Niedobrze będzie, powiadają, jeśli z dziewczką się tam zjawicie, morale wojsk ucierpi. Dziewka nie rozumiała ani słowa po rusku. Zresztą nazywała się zupełnie inaczej niż dziś. Tylko oczyskami swoimi strzelała na wszystkie strony, zawracała Kozakom w głowach. Stiepan zaklął i rozkazał mnie, jako starcowi, człowiekowi pewnemu, zabrać ją w nocy i przewieźć na czarną, nikonowską barkę. Na niej właśnie płynęła. A w Symbirsku umieściliśmy ją w pewnym domu. A ty, kudłaty, nie szczerz zębów. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, jutro jej nie poznacie. Była pierwszą pięknością w Persji i tutaj też będzie pierwszą pięknością.

Starzec zmęczył się i umilkł, aby nieco odsapnąć. Oddychał ciężko, chrapliwie. Ałmaz wyjął z kieszeni paczkę "Bielomorów", zapalił. Wokół rozlegały się urywki zdań, ale zdań zwyczajnych, słów powszednich, bo nikt nawet nie wspominał o usłyszanej opowieści, nie wiedząc jeszcze, jak i co trzeba powiedzieć. Szuroczka przyniosła Wandzie Kazimirownie coś do picia. Helena narzuciła szal na ramiona Milicy Fiodorowny, żeby staruszka nie zmarzła. Za oknem panowała cisza, ciemność,

chłodek. W oddali sennie i leniwie poszczekiwały psy. Brzmiało to tak, jakby wymyślały, bez większego zresztą przekonania, dokuczliwym komarom.

- Dalsza opowieść to sam tylko smutek - powiedział starzec. - Powstanie, jak wiecie, zostało zdławione, Książę Dołgoruki postawił w Arzamasi dwieście szubienic. Na każdej z nich zginęło po pół setki ludzi. Policzcie sobie, ilu ich było. Ale ja tego nie widziałem. Z dwiema sotniami Kozaków odskoczyłem na północ, do klasztoru św. Feraponta. Poznał mnie Nikon, ucieszył się, ale nie chciał ryzykować. Namawialiśmy go do działania. Zdobędziemy klasztor św. Cyryła, mówiliśmy, tam bogaty skarbiec, armaty, i nad Wołgę, na pomoc Stiepanowi pospieszymy. Wszystko na próżno, nie ośmielił się starzec, został. Przez te spory spóźniliśmy się z pomocą.

W owym czasie Stiepana i Froła już do Moskwy wieźli. Kozaków zwolniłem, żeby każdy ratował się na własną rękę, szukał szczęścia, jak potrafi. A sam chciałem pójść do lasu. Był jednak tam pewien pies - książę Samojfa Szajsupow, któremu car kazał śledzić Nikona. Szajsupow wszędzie miał swoich ludzi. Donieśli. Schwytali mnie niedaleko klasztoru, zakuli i do Moskwy, jako najbardziej niebezpiecznego zbrodniarza stanu. Można powiedzieć, że spadłem carowi jak z nieba. Jeśli się przyznam, to koniec z Nikonem, bo nie doniósł, komu trzeba, o naszym przyjeździe i namowach. Nikona i tak już przenieśli do twierdzy, do klasztoru św. Cyryła, i tam trzymali o chlebie i o wodzie. A moje zeznania byłyby dla niego gwoździem do trumny. Przywieźli mnie do Moskwy i tam zaszło nieprzewidziane wydarzenie, które ma bezpośredni związek z dzisiejszym dniem.

13

Ręce wiązali mu w przegubach sznurami obszytymi wojłokiem, nogi krępowali rzemieniami i podciągali ciało do góry. Kat nadeptywał na koniec rzemienia, ciągnął, rozdzierał ciało, rozrywał stawy rąk i nóg. Później bił po plecach knutem, rzadko, jakieś trzydzieści uderzeń na godzinę, i po każdym ciosie z pleców odpadał pas skóry, jakby wycięty nożem. Do czerwoności rozżarzał kleszcze i chwycił za żebra.

Starzec Siergiej do niczego się nie przyznawał. Froła Riaziria, który go rozpoznał, powitał pustymi oczyma, a mnichom, którzy widzieli go, jak wchodził i wychodził od byłego patriarchy Nikona, wymyślał od najgorszych. Starzec był ogromny, jeszcze silny, ale po torturach mocno podupał, głowa chwiała się na boki, język spuchł tak, że nie mógł wymówić nawet słowa.

Car Aleksy, dusząc się ze strachu, przeszedł nocą z pałacowych komnat do lochów Tajnej Kancelarii. Miał przy sobie paperek, na którym własnoręcznie nagryzmolił pytania, jakie miał zadać starcowi.

”Za co Stieńka chciał pobić soborowych, czy nie za to, że oni słusznie obalili Nikona, i co on im rozkazywał?” - powtarzał władca słowa notatki. “O Karolu - gramota od niego z nikonowską pieczęcią przysłała zza granicy do jego Carskiej Wysokości”. To o Szwedach. Szwedzi są niepewni i podstępni, Katoszyczna, zbiegłego buntownika, ukryli, drukarnię trzymają, w książkach różne wieści

o zbrodniarzu Stieńce drukują i fałszywie na temat Nikona donoszą. Starzec powinien coś o tym wiedzieć.

Diak Daniłło Polański szedł o pół kroku za nim i trzyma! świecę, żeby car nie uderzył się głową o sklepienie. W przejściu było duszno i smrodliwie, strzelec stojący przed drzwiami katowni zakrzętnął się otwierając je, cofnął się, i od tego carowi zrobiło się jeszcze paskudniej na duszy. Polański powiadał, że starzec Siergiej milczy. To źle. A są przecież ludzie, pewni chyba, którzy twierdzą, że Siergiej to wcale nie Siergiej, nie starzec, tylko kozacki pułkownik. Stopnie wiodące do lochu były śliskie i brudne, mogliby wymyć, bądź co bądź monarcha tamtędy chodzi. Nic jednak nie powiedział Polańskiemu, powtarzał słowa pytań i słowa ulatywały, ginęły w różnych niespokojnych myślach, a w środku wszystko płonęło, piekło, widać Niemczurylekarze dali jakieś paskudne ziele. Gorzko było carowi od ludzkiej niewdzięczności, od wrogości i prywaty, złości i obmów.

- Moglibyście wymyć schody - powiedział nagle do Polańskiego, chociaż niby wcale nie zamierzał.

Przeszli lochem do sali tortur. Za kratami komór więziennych poruszały się cienie, białe ręce sterczały ze szmat, a łańcuchy dzwoniły jak na pożar.

Starzec Siergiej bezwładnie wisiał na belce. Siwe włosy, pokryte błotem i krwią, sterczały mu kołtunem w bok, co sprawiało, że wyglądał jak młody bojarzyn w czapce założonej modnie na bakier.

Poddiaczy, który prowadził przesłuchania, poderwał się zza stołu, ale car nawet nie popatrzył w jego stronę. Ciężko przestawiając opuchnięte nogi, podszedł do Siergieja i zajrzał mu w twarz. Kat, żeby monarsze było wygodniej, zwawo zabiegł od tyłu i opuścił postronek. Siergiej dotknął nogami posadzki, ale nogi odjechały w bok, nie trzymały go.

- Co powiedział? - zapytał car patrząc na starca, tak niezbędnego dla spokoju i triumfu władcy.

- Milczy - powiedział poddiaczy cicho, patrząc w brzuch swego władcy. Bał się carskiego gniewu.

Opuchnięty, czarny język więźnia sterczał z ust, nie mieścił się w nich. Oczy, obrócone białkami ku górze, nie zamykały się.

- Jest mi potrzebny żywy - powiedział nagle car zwyczajnym głosem, lecz jakby ze smutkiem.

Powiedział to tak, że nawet Polańskiego przeszedł dreszcz. Najłagodniejszy z monarchów był nader zatroskany, a to wielu mogło kosztować głowę.

- Niechaj z rana medyk go obejrzy, da lekarstwo. I nie wypytywać, zanim nie powiem.

Ałmaza polali wodą, wnieśli nieprzytomnego do komory i rzucili na ziemię. Nie zamierzali do rana wzywać medyka. Starzec był mocny.

Ałmazowi wydawało się, że jest na pustyni. Pałą i pieką nogi pokaleczone o kamienie, i jeziora

tylko łudzą, a okazują się wichrami, bijącymi po spalonej skórze. Potem miły chłodek opadł na czoło. Lodowata woda, tak zimna, że drętwiały zęby, sama wlewała się do ust, zrobiło się lekko i błogo.

- Lepiej się czujesz? - zapytał cichy głos, miły, niczym

ten chłodek na pustyni.

- Tak - powiedział Ałmaz i otworzył oczy. W ciele siedział ból i drętwota, ale to nie było ważne, gdyż umysł rozjaśnił się, ożył. Głos dźwięczał tam, w środku, jakby ktoś gładził palcem ciemność. Tuż obok, na kopce zgniłej słomy, leżał rozpostarty malutki człowieczek i dotykał wychudłymi rękami Ałmaza. Jego oczy w ciemności świeciły się po kociemu.

- Nieczysta siła - powiedział Ałmaz - zgiń, przepadnij!

- Ciszej - odezwał się głos w jego głowie. Wargi malutkiego człowieka nie poruszały się, były zaciśnięte w wąską linię. Tylko oczy świeciły się ostrą zielenią. - Ciszej - głos uspokajał, koił. - Usłysz i przyjdą. Znów zaczną torturować. Pragnę twojego dobra. Jestem zmordowany i słaby, nogi mam połamane.

W komorze panowała gęsta ciemność, ale Ałmaz zobaczył, że nogi sąsiada są nieruchome, nieżywe. Krew płynąca z ust zapiekła się na policzku. Ałmazowi przeszedł strach. Język był ciężki, ale jakoś się poruszał.

- Pij _ powiedział bezdźwięcznie sąsiad i wyciągnął dłoń, w której jak rosa na liściu perliła się woda. W malutkim człowieczku nie było zła i wrogości. Ałmaz pochylił głowę i zlizął rosę.

- Na dybach cię męczyli? - zapytał sąsiad.

- Umrę - odparł Ałmaz. - Sam car z rana się do mnie zabierze.

- Jesteś buntownikiem? - zapytał sąsiad. - Ze Stieńką zbójowałeś?

- To nieważne - odparł Ałmaz. Podejrzewał, że tajni diakowi podstawili mu swoje ucho.

- Nie obawiaj się - powiedział człowiek. - Znam twoje myśli. Możesz mnie uważać za medyka z Ziemi Frazińskiej. Oskarżyli mnie o czary, ogniem torturowali, nogi łamali. Znam sekret, jak stąd uciec, ale nie mam nóg.

Ałmaz długo żył na tym świecie i wielu rzeczy się napatrzył. We Frazińskich Ziemiach, w niemieckich, cudów jest wiele. Sam Ałmaz w Indiach był, Turcję widział, ale w cuda, rzecz oczywista, wierzył.

- Opowiedz mi o sobie - błagał sąsiad. - Nie musisz słowami, myśl tylko, ja zrozumiem.

Oczy zagłądały w duszę, oświeślały ją zielonkawym ogniem, wypatrywały, co ukrył, a ukrył Ałmaz w swojej opowieści niewiele, tylko to, co dotyczyło patriarchy Nikona. To niechaj sąsiad sam wyczyta - czy to nieczystą siłą, czy to zwykłymi czarami.

Czasami sąsiad prosił o powtórzenie, wypytywał o szczegóły, ciekawił się, jakby nie był skazany, podobnie jak Ałmaz, na niechybną śmierć. Opowieść go zadowoliła. Mówił, że zabłysła mu nadzieja, że poszczęściło mu się, iż sąsiadem jest Ałmaz. Na nic już nie liczył, utracił wiarę, czuł bliską śmierć.

Z lochów Tajnej Kancelarii nie ma ucieczki, Ałmaz dobrze o tym wiedział. Nikt jeszcze stąd nie uszedł. Może mafy człowiek stracił rozum, a może zna tajemne słowo.

- Nie - powiedział sąsiad. - Nie znam słowa, ale widzę przez ściany. Nie dopytuj się, jak, bo nie odpowiem, nie zdołasz tego zrozumieć.

Ałmaz nie upierał się. Wierzył w sekretne i dziwne rzeczy, ale czarowników unikał. Może naprawdę człowiek patrzy wskroś ściany, jeśli mu to dane.

- Tutaj w jednym miejscu ściana jest cienka - powiedział człowiek. - Na jedną cegłę. Zamurowane drzwi. W dawnych czasach było przejście, ale widać po pożarze zarzucili je, zamurowali. Pod Kremlem w różnych miejscach są wykopane przejścia i piwnice, tak wiele, że niektórych nawet nie znajdziesz. Carowie już od dawna tu mieszkają, a wszystkim władcom potrzebne są sekretne miejsca, skrytki i więzienne lochy.

Za kratą przeszedł strzelec. Zajrzał w ciemność, niczego nie dostrzegł, zawołał:

- Starcze Siergieju, Starcze Siergieju, żyjesz? Ałmaz jęknął przeciągle.

- Żyje - powiedział strzelec. - Z samego rana medyka przyprowadzą jak do jakiego bojara.

Roześmiał się.

- Jak do bojara - powtórzył i ruszył dalej.

- A jak my ten mur rozbierzemy? - zapytał Ałmaz.

- Ciszej, nie mów językiem - odezwał się wewnątrz głowy sąsiad. - Myśl, a ja wszystko rozumiem.

- Nie przywykłem tak.

- Jeszcze wczoraj obluzowałem cegły. Wyciągniesz mnie, poniesiesz. Cegły ułożysz na miejscu. Może nie od razu się spostrzegą.

- Zgadzam się - powiedział Ałmaz, gdyż był człowiekiem trzeźwym i rozumiał, że jeśli nie ucieknie nocą, czekają go nowe męczarnie, po których śmierć wyda się wybawieniem.

- Czekaj - usłyszał głos rozlegający się w głowie.

Człowiek, opierając się na łokciach, powlókł bezwładne ciało ku przeciwległej ścianie i od jego bólu, który niechęć przekazywał Ałmazowi, starcowi zawirowało w głowie.

- Czołgaj się tutaj, tylko nie hałasuj - rozległ się rozkaz. Ałmaz zbliżył się i wymacał szczupłe ciało. Człowiek chwycił jego rękę i uniósł ku ścianie. Jedna cegła już była wyjęta, a druga się chwiała.

- Silniej ciągnij - słyszał Ałmaz. - Wyjmuj je. Zaprowa jest stara i łatwo się kruszy. Ja będę przekładał.

Znów przeszedł strzelec, głośno tupiąc butami. Widocznie zziąbł w lochu.

- Czeka na zmianę warty - powiedział sąsiad. - Myśl! o tym, jak by się rozgrzać. Myśli, że przez noc umrzesz. Medyka nie trzeba będzie wzywać, co i dla ciebie lepiej. Dobry człowiek.

Ałmaz skinął głową na znak zgody. Strzelec chciał, żeby starzec jak najszybciej przestał się męczyć.

Ałmaz wyjmował cegły ze ściany, a sąsiad odkładał je na bok. Obmacał dziurę - była wąska, ale da się przeleźć. Sąsiad trącił go w plecy, bo odgadł, o czym Ałmaz myślał. Ałmaz przecisnął się przez dziurę. Ciągnął stamtąd chłód i mrok, katownie Tajnej Kancelarii w porównaniu z nim wydawały się ciepłym rajem. Ręce zapadły się w lodowate błocko, a ramiona zdrętwiały. Człowiek popychał z tyłu, ale że był słaby, niepotrzebnie się starał. Własny oddech wydawał się Ałmazowi wyciem wiatru w kominie, chrypliwym i dudniącym.

- Naprzód, wysił się jeszcze trochę, już niewiele zostało. Tam jest wolność!

Słowa człowieka, jego namowy łomotały w głowie jak krew i Ałmaz gmerał rękami w błočku, ciągnął swe nieposłuszne ciało, które wreszcie przeważyło... Głowa upadła w smród i ziąb, wstręt i przerażenie przydały sił. Odpoczął nieco, wyciągnął nogi z dziury i uniósł się, żeby zetrzeć smrodliwą maź z twarzy.

- Mnie weź, nie zapomnij - błagał człowiek.

Ale Ałmaz nawet nie myślał zostawić towarzysza w biedzie, towarzysza, który wskazał mu drogę do wolności. Ałmaz nigdy nie zawiódł ludzi. Widocznie człowiek odgadł jego myśli, bo ucichł i pokornie czekał, aż Ałmaz odpocznie, wsunie ręce do dziury i wciągnie go - słabego, bezsilnego, nieważkiego - do czarnego tunelu.

Ałmaz wyprostował się, krzywiąc się z bólu i wściekłości na swe nieposłuszne członki. Sklepienie było niskie i musiał się pochylić, a spadające z góry lodowate krople wody parzyły poranione plecy. Człowieka wziął na ręce niczym niemowlaka - na barana nieść go nie mógł, chociaż to poręczniejsze, bo dokuczały pokrwawione plecy. Po paru krokach przełożył go pod pachę, aby wolną ręką wymacywać drogę w ciemności. Nie było to zresztą potrzebne, bo człowiek podpowiadał, dokąd iść, gdzie zawracać, gdyż niczym kot widział w mroku. Ałmaz już się nie dziwił, nie miał sił na zdziwienie, szedł więc, potykał się, ślizgał w błocie.

Dotarli do podziemnej komory. Strop poszedł do góry i można się było wyprostować. Pomacał ręką wokół siebie - szkatuły, kufry. Widać jakieś zapomniane bogactwa.

- Nie - powiedział człowiek - to są książki, kroniki, gramoty. Stare. Zostały z czasów cara Iwana.

- Nie słyszałem, żeby car bawił się książkami - powiedział Ałmaz.

- Interesował się - powiedział człowiek. - Tu są ukryte wielkie bogactwa. Tajemnice państwowe. Wielu już ich szuka, ale nie znajdują. Z ziemi lochy są niewidoczne.

Daleko z tyłu wzmocniony gardzielami przejść, jak trąbami bojowymi, rozległ się hałas. Splatał się w zwarte dudnienie, cichł, rozpadał się na poszczególne głosy.

- Spostrzegli się, zauważyli, że nas nie ma - powiedział człowiek. - Teraz nie znajdują. Zanim odważą się wejść do podziemia, zanim przez nie przebrną, my już będziemy daleko.

...Wyszli przez na poły zawałony śmieciami, peten nietoperzy i szczurów podziemny korytarz, który kończył się na przeciwległym brzegu rzeki Moskwy, opodal Kadaszewskiej Słobody. Kupa zetlałego drewna i trochę kamieni - oto wszystko, co pozostało po kapliczce, ukrywającej pradawne podziemie. Świtało. Jakiś chłopak pędził konie z nocnego pastwiska, a z przeciwka, ledwie majacząc we mgle, szła baba z wiadrami. Po lewej były ogrody, w których nawoływali się stróże, strzegący carskiego dobra. Z mgły, niczym dzidy, wyłaniały się dzwonnice kadaszewskich cerkwi. Było spokojnie i nawet psy nie szczekały, nie zakłócały ludziom snu w taką zwyczajną noc.

- Pójdziemy brzegiem - powiedział człowiek. - Wiem, gdzie jest łódka.

Dopiero teraz Ałmaz mógł przyjrzeć się swemu towarzyszowi. Ból w nim, zbitym i storturowanym, był wielki. Przez strzępy odzienia przeglądały rany i siniaki, ręce były tak poorane, jakby ktoś z nich ściągnął skórę, a i w twarzy nietknięte pozostały jedynie oczy. W porannym brzasku utraciły koci blask i wewnętrzne światło, i teraz były niebieskie i bezdenne jak powietrze. W tych oczach kryła się myśl i męka.

- Pocierp trochę - powiedział człowiek. - Donieś mnie.

- Pewnie - powiedział Ałmaz i nawet się uśmiechnął, pomyślawszy, że sam też jest straszny i obrzydliwy.

- Co prawda, to prawda - powiedział człowiek. Ałmaz wprawnym już ruchem wsunął go sobie pod pachę, przy czym jego połamane nogi ciągnęły się niemal po ziemi, rozsuwały wysoką przybrzeżną trawę.

Łódka była tam, gdzie być miała. Człowiek znów miał rację, i wiosła, zapomniane lub umyślnie zostawione, leżały w dulkach. Po godzinie dotarli do lasu i tam przeleżeli cały dzień, ukrywając łódź w trzcinach.

Ałmaz nazbierał jagód, zjadł parę syrojadek. Jego towarzysz nic nie chciał jeść, tylko pił wodę, lecz nie z rzeki, jak Ałmaz, ale z własnych dłoni, jak w Tajnej Kancelarii, kiedy poił tą wodą rosą swojego sąsiada.

Potem znów szli, obchodzili wsie, szli bez wytchnienia i dopiero następnego dnia rano ledwie żywi dobrnęli do jaru, w którym przykryte pożółkłymi gałęziami stało coś niewidzianego, niesłychanego, coś, co przypominało arkę. i wtedy całkowicie wyczerpany padł, bez przytomności, na ziemię u końca podróży.

Ocknął się wewnątrz arki, na miękkim pościeliu, w świetle słońca, chociaż arka nie miała okien. Leżał nagi, pokryty dekoktami i maściami. Jego towarzysz, przebrany w inne odzienie, kuśtykał dokoła niego na własnej roboty kulach, uśmiechał się cienkimi wargami, mamrotał po swojemu i cieszył się. Przekonywał Ałmaza, że nie jest siłą nieczystą, tylko wędrowcem. Ale Ałmaz go nie słuchał, gdyż jego starcze członki nie chciały żyć i znosić takich mąk, i trzęsły się w gorączce, która mąciła rozum.

- No cóż - usłyszał resztką świadomości - trzeba będzie uciec się do środków ostatecznych.

Może wędrowiec powiedział inaczej, tego Ałmaz nie był pewny, gdyż znów ogarnął go ni to sen, ni to śmierć, a we śnie trzeba było za wszelką cenę trzymać się burty łodzi, bo jeśli ją wypuścić z rąk, wtedy zabierze człowieka wołżańska fala i rozbije go o stromy brzeg. Ale Ałmaz zdołał się utrzymać i kiedy ponownie się ocknął, nadal w tej samej arce, człowiek powiedział do niego:

- Lękałem się, że twoje serce nie wytrzyma. Ale jesteś silny i serce wytrzymało.

Nie miał już lasek i biegał zwawo. Widocznie minęło wiele czasu.

- Nie - powiedział człowiek, znów odgadując myśl Ałmaza. - Minął zaledwie jeden dzień. Popatrz na siebie.

Podał Ałmazowi okrągłe zwierciadło, z którego spozjrzała nań młoda twarz - znajoma i nieznajoma zarazem. Ałmaz pomyślał w pierwszej chwili, że to portret, malowany wizerunek, ale człowiek wciąż się tylko śmiał i kazał patrzeć w zwierciadło, i wtedy Ałmaz pojął, że stał się młody...

- To byłoby wszystko - powiedział starzec i znów sięgnął po papierosa. - On odleciał do swoich. Nie miałem wówczas pojęcia, kim on jest, czym jest jego arka i skąd pochodzi, i tłumaczyłem sobie wszystko najprościej - duch, najpewniej posłaniec boży. Zostawił mi wszystkie medykamenty przywracające młodość i kazał przysiąc, iż dochowam tajemnicę, bowiem jest jeszcze za wcześnie, aby ludzie o czymś takim wiedzieli, i odleciał. Na odjezdnym kazał mi korzystać z eliksiru i czekać na niego, obiecał też wrócić za sto lat i odnaleźć mnie. Czekałem ponad sto lat. Nie wrócił. Może coś się stało, a może jeszcze przyleci. Raz naruszyłem jego zakaz. Byłem w Symbirsku, odszukałem swoją przyjaciółkę Milicę i przywróciłem jej młodość. A od tej pory, gdy tylko siebie odmładzałem, zawsze przyjeżdżałem do niej - gdziekolwiek by była. I to wszystko. Możecie mnie ganić za skrytość, możecie chwalić. Jednak wkrótce minie trzysta lat, a przecież nawet Milica do dziś nie wiedziała, dlaczego dzieją się z nią takie czary. Myślała, że to moja zasługa. Ale gdzież tam...

Starzec zamilkł. Zmęczył się. Słuchacze powracali do XX wieku, wymieniali ukradkowe spojrzenia, kręcili głowami, ale nie było w nich niewiary. Historia była zbyt dziwna, a i staruszek w dodatku nie miał powodu zmyślać po nocy baśni i opowiadać ich ludziom, którzy w bajki nie wierzą.

Milica wciąż drzemała w fotelu z kotką na kolanach. Jej głowa opadła na pomarszczone ręce.

- Jeśli tak było istotnie, to Przybysze nie są mitem - powiedział Standal.

Misza pierwszy przerwał milczenie, które zazwyczaj następuje po długim referacie, kiedy to słuchacze muszą dopiero zebrać myśli i pisać notatki, posyłane później do prezydium.

- No i jak, dacie mi teraz wypić moją dolę? - zapytał starzec. - Wszystko opowiedziałem jak na świętej spowiedzi. Młodość nie jest mi potrzebna do zabawy, tylko do załatwienia poważnych spraw, i dla Milicy również proszę. Ona mi wierzy.

- Wcale nie spałam - powiedziała nagle Milica Fiodorowna. - I wszystko, co tu Miły Przyjaciel opowiadał, mogę potwierdzić pod przysięgą. Wcale nie chcemy zachować monopolu na eliksir. Nieprawdaż?

Starzec skinął głową.

- Może ktoś z obecnych tu dam i kawalerów zechce się do nas przyłączyć?

14

Człowiek jest istotą rozumną. Rozum mówi mu, że popełnia błędy. Chciałby je naprawić, ale zawsze jest na to zbyt późno. Cokolwiek by zrobił, jeśli przeoczył właściwą porę, na poprawki jest za późno, i dlatego w każdym człowieku drzemie chęć odwrócenia biegu czasu.

Gdy człowiek jest jeszcze mały i chodzi do przedszkola, pragnie wrócić do przeszłości i nie jeść tych przeklętych cukierków, za które dostał lanie. W szkole, gdy nieco wydorosłe, pragnie cofnąć się o dzień i wykuć astronomię od strony 18 do 19 i w ten sposób uniknąć dwójki.

Im dalej, tym gorzej. Człowieka zaczyna prześladować nieodwracalność nieopatrznie wypowiedzianych słów, przegapionych spotkań, mimowolnych i umyślnych oszustw, niepotrzebnych półprawd, zlekceważonych możliwości. W którymś momencie nieodwracalność przekształca się w życie, które skrzyło w niewłaściwą stronę. Dokładnie widzi się zakurzone rozdroże i ogromny kamień z napisem; "W tę stronę nie idź, tutaj się nie pchaj, tu nie zagląдай!" Ktoś inny poszedł, wepchnął się, zajrzał, nie posłuchał wskazówki na drogowskazie - i wygrał. A ty nie.

Najczęściej ludzie przyzwyczajają się, godzą z sytuacją, jakoś dociągają do grobu. Postronnemu obserwatorowi może się wydać, iż są zadowoleni z życia. A gdy zajrzeć nieco głębiej, to okaże się, że niemal każdy, gdyby tylko miał możliwość, powróciłby na rozdroże, przeżyłby swe życie od nowa, korzystając z własnych wieloletnich doświadczeń, naprawiłby błędy, odwróciłby nieodwracalne. Ludzie czynią to w marzeniach i we śnie. W języku ludzkim istnieje nawet tak zwany tryb warunkowy, posługujący się słówkiem "gdyby". Ów tryb nie trafiłby do gramatyki, gdyby ludzi

nie męczył ten odwieczny problem.

Sto tysięcy lat temu pierwszy pitekanthrop przemienił się w człowieka. Przeżył swe krótkie życie i pomyślał: gdyby zacząć wszystko od początku... i umarł. Wcześniej umarł. W owych czasach ludzie żyli bardzo krótko - rodzili potomstwo i ustępowali mu miejsca. Od tej pory ludzie nauczyli się żyć nieco dłużej i dzięki temu mogli częściej i z większą zaciekleścią powtarzać: "Gdyby... gdyby... gdyby..."

W pewnym momencie okazało się, że ludzie nie muszą pracować od świtu do nocy. W wolnych chwilach niektórzy z nich zaczęli pisać książki. Książki odzwierciedlają ludzkie pragnienia. Tak narodził się doktor Faust, odmłodzony za sprawą siły nieczystej. Dorian Gray posłużył się w tym celu portretem, inny znów bohater literacki - skórą jaszczura. A gdzieś u zarania literatury snuje się Gilgamesz w poszukiwaniu nieśmiertelności. Ale wszystko na próżno. Słodkie pierniki namalowane na szyldzie nikogo jeszcze nie nasyciły.

A tutaj, późnym wieczorem, w mieście Wielki Guslar, stolicy powiatu, zebrało się kilkoro ludzi. Powiedziano im, że można zamienić tryb warunkowy na coś bardziej realnego. Poszczęściło się im, nieprawdopodobnie się poszczęściło. Peszyła ich tylko pewność, że coś takiego jest niemożliwe. Peszył mur wzniesiony w świadomości, mur zbudowany przez ewolucję w tym celu, aby ludzie nie tracili rozsądku. Bo jeśli wierzy się w cuda, można oszaleć.

Jeśli lekkomyślnie uwierzyć w lewitację, zapagnie się skoczyć z dachu dziesięciopiętrowego budynku. Jeśli uwierzyć w niewidzialność, zapagnie się wziąć z banku cudze pieniądze. Jeśli uwierzyć w telepatię, będzie się chciało zaprzestać myślenia, aby ktoś nie podsłuchał. Właśnie do walki z łatwowiernością służy przegródka w głowie człowieka, która nosi nazwę instynktu samozachowawczego. Jedną i jej funkcji jest negowanie cudów.

- Tak więc środek składa się z trzech części - powiedział starzec imieniem Ałmaz. - Proszek mam w kieszeni. Rozpuszczalnik znajduje się w butelkach, które zabrałem z muzeum. Trzecia część składa się z różnych substancji, a recepta spisana jest w zeszycie.

Starzec Ałmaz wziął ze stołu brulion w skórzanej okładce i powachlował się nim. W pokoju zrobiło się duszno od pełnych podniecenia oddechów.

Helena Siergiejewna bębniła palcami w blat stołu, starając się odpędzić wewnętrzne zmieszanie, zagłuszyć dzwonienie w uszach. Przez gęste lepkie powietrze przebiło się ku niej czyjeś uważne spojrzenie. Podniosła głowę, napotkała wzrok Sawicza i zrozumiała, że on jej nie

widzi, że widzi teraz Lenoczke. Kastielskg, którą tak niezdarnie kiedyś kochał. Helena Siergiejewna pojęła w tym momencie, że Sawicz powie "tak". W nim to "gdyby" tkwiło przez długie lata, odbierało spokój. Zerknęła ukradkiem na Wandę Kazimirownę. Ale dziwna rzecz, ta kobieta patrzyła nie na męża, lecz w błękit za oknem. Uśmiechała się do swoich myśli, i Helena Siergiejewna przypomniała sobie, jaką efektowną rzepą była Wanda, nim utyla od siedzącego trybu życia i tłustego jedzenia.

- Byłem wyłącznym właścicielem tego sekretu i korzystałem z niego, kiedy było trzeba -

ciągnął Ałmaz. - Uważałem, że ludziom może tylko zaszkodzić. Teraz wytłumaczyłem wam, jak to wszystko wygląda, i proszę o wyrozumiałość. Nikogo me przymuszam. Natomiast mnie samemu bardzo na tym zależy, zarówno ze względu na mój sędziwy wiek, jak i ze względu na mnóstwo różnych spraw, które muszę koniecznie załatwić.

Ałmaz odłożył brulion na stół i przycisnął go kciukiem.

- To znaczy, że pan zgadza się podzielić z ludźmi? - zapytał Sawicz.

- Zgadzam się. Może w innej sytuacji bym się nie zgodził, ale teraz jest za późno. Obawiam się, że za późno.

- Z formalnego punktu widzenia nie ma pan prawa korzystać ze znaleziska, które jest własnością muzeum - powiedział Misza Standal. - Tym bardziej że naraził pan na szwank skarb państwa.

- A to jest karalne - dodał Udałow.

- Już to mówiliście - powiedziała stara pani Bakszt. - Nie zachowujcie się jak rosyjscy liberałowie. Oni zawsze wiele gadali i nigdy nic z tego nie wynikało.

Helena Siergiejewna usiłowała dostrzec w staruszce rysy pięknej perskiej księżniczki, ale oczywiście niczego nie dostrzegła, bo starcza maska była doskonale niezawodna i nieprzenikliwa.

- Nie, tak nie można - powiedział Standal. - Trzeba koniecznie odwołać się do władz i organizacji społecznych.

- Słusznie - zgodził się Udałow, którego bardzo ubodło porównanie z carskim liberałem. - Co powiedzą w Komitecie Powiatowym? W Akademii Nauk? Dopiero potem nastąpi scentralizowana dystrybucja.

- Ile czasu to zajmie? - zapytał starzec.

- Ile będzie trzeba.

- Rok?

- Może rok, może dwa.

- Nie mogę się na to zgodzić. Mam sprawy do załatwienia. Milica też nie może czekać, umrze.

Milica pochyliła ze smutkiem głowę.

- Głupstwa mówicie, towarzyszu Udałow - wtrącił się Sawicz, który chciał uwierzyć w eliksir. - Myślicie, że przyjdziecie do Komitetu Powiatowego albo nawet do Akademii Nauk i powiecie: „W tym słoiku znajduje się eliksir młodości, otrzymany przez pewnego mego znajomego w podarunku od marsjańskiego podróżnika w XVII wieku”. Wiecie, co wam na to odpowiedzą?

- Poradzą zmierzyć temperaturę - zachichotała Szuroczka Rodionowa. Dziewczyna siedziała cicho jak myszka, krępowała się, ale wyobraziła sobie Udałowa z termometrem pod pachą i nabrała odwagi.

- Gdyby taki człowiek przyszedł do mnie - powiedział Sawicz - postarałbym się go jak najszybciej izolować.

Udałow usłyszał słowo "izolować" ! zamilkł. Lepiej zmiiczeć. W każdym razie on już swoje powiedział. W razie czego ludzie to sobie przypomną.

Grubin nie wytrzymał, poderwał się na równe nogi i zaczął miotać się po pokoju, przeskakując przez nogi i krzesła.

- Rosyjscy lekarze - powiedział - wszczepiali sobie dżumę. Umierali. W złych warunkach. A nam przecież nikt nie proponuje śmierci. Bez większego ryzyka możemy okazać się bohaterami w oczach nauki i całej ludzkości.

Głos Grubina zabrzmiał wysokimi rejestrami i ucichł. Kudłacz palcami rudymi od nikotyny starał się zapiąć górny guzik marynarki, ukryć niebieski podkoszulek, gdyż odczuwał nieadekwatność swego stroju do wzniosłych słów, które właśnie wypowiedział.

- To wcale nie jest śmieszne - skarcił Sawicz chichoczącego Udałowa.

- Nie możemy zwrócić się do instytucji naukowych - ciągnął Grubin nabierając odwagi. -
Zaczną się z nas

śmiać, jeśli nie gorzej. Nie mamy prawa odmawiać udziału w doświadczeniu. W każdym razie ja nie mam prawa. Jeśli odmówimy - butelki albo zaginą w muzeum, albo towarzysz Ałmaz Bity przeprowadzi eksperyment sam i niczego się nie dowiemy.

- Jeśli doświadczenie się powiedzie - powiedział Sawicz, który chciał wierzyć - wówczas pójdziemy do uczonych, ale już nie z pustymi rękoma.

- Z metrykami i dowodami osobistymi - dodał Grubin - w których nasz ankietowy wiek nie będzie zgodny z rzeczywistym.

- Okropność! - wykrzyknęła Wanda Kazimirowna. - A jeśli to trucizna?

- Ja będę pierwszy - odparł starzec Ałmaz.

- I ja - powiedziała Milica Fiodorowna. - Dla mnie to nie pierwszyzna.

- Nikogo nie zmuszamy - oświadczył Grubin. - Uczestniczą w eksperymencie tylko chętni. Pozostali będą grupą kontrolną.

- Czy mogę o coś zapytać? - Misza Standal podniósł dwa palce do góry. - A co będzie, jeśli ja zgodzę się na udział w doświadczeniu?

- Staniesz się oseskiem - odpowiedziała Szuroczka Rodionowa. - I ja też. Zabiorą nas stąd w wózeczkach.

- A to działa od razu? - zapytał Udałow. Nie chciał się wyróżniać, ale myślał o powrocie do domu. Do małżonki.

- Nie, po pewnym czasie - odpowiedział Ałmaz. - Dekokt działa rozmaicie, ale zanim organizm go wchłonie, musi upłynąć parę godzin. Nad ranem wszystko stanie się jasne. Każdy powróci do okresu rozkwitu sił fizycznych. Dlatego młodym nic tu nie grozi. Zresztą nie warto na nich tracić eliksiru.

Ałmaz poczuł, że opinia obecnych zaczyna mu sprzyjać. Ciekawość ludzka, pasja poznawania nowych rzeczy, przekłete "gdyby", obawa, aby nie być tchórzliwszym od innych - wszystkie te przyczyny sprzyjały powodzeniu jego zamysłów. Szybko więc ustawił na środku stołu butelkę i polecił Helenie, aby przyniosła szklanki i inne naczynia oraz łyżkę wazową. Poprosił też o zwykłą, drobną sól kuchenną i kredę lub wapno, a sam pospiesznie kartkował brulion, przypominał sobie receptą. Obawiał się bowiem, że ktoś zacznie żartować, gdyż ironia w takich wypadkach jest gorsza od inwektyw i wątpliwości. Wystarczy, aby ktoś uznał, iż baśniowość eliksiru kłóci się ze zwyczajnym wyglądem saloniku i czasami, w których żyją ci ludzie - i już zabiorą butle, zanoszą je do muzeum, zamkną w kasie pancерnej. Jeśli tak się stanie, upadnie sprawa, dla której odbył tak daleką podróż, a i jego życie wrotce dobiegnie kresu. Do tego nie wolno było dopuścić, gdyż starzec, dożywając na świecie trzystu lat, dopiero teraz naprawdę zaczynał poznawać smak ludzkiego istnienia.

W czasie przygotowań, które były tak zwyczajne, jak przygotowania do południowej herbaty, zaczęły się ciche rozmowy - w dwójkę, we trójkę. Czasami rozlegał się śmiech, który jednak nie krył w sobie żadnej ironii, był nerwowy, zdławiony.

Ałmaz Fiedotowicz wsypał do miski więcej niż połowę proszku, żeby starczyło dla wszystkich. Potem odkorkował butelki z rozpuszczalnikiem, przelał do jednego naczynia, zmrużył oko i napełnił miskę ciemnym płynem. Zaczął mieszać proszek, mieszać starannie, fachowo i wprawnie, drugą ręką wyjmując z kieszeni spodni różne torebeczki i zawiniątka.

- Te wszystkie dodatki - wyjaśnił - kupiłem w aptece. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego. Zaopatrzyłem się nawet w aspirynę, w celu wzmocnienia efektu.

- Potem będziemy musieli wszystko zanotować i przekazać uczonym - powiedział Grubin.

- Nie zapomnimy - zgodził się starzec, dla którego obcowanie z uczonymi było rzeczą niezmiernie odległą i niezupełnie realną. Myślał teraz tylko o jednym - żeby zdążyć wszystko przygotować, a potem niech się dzieje, co chce.

- Poproszę kartkę papieru - zwrócił się Grubin do Heleny Siergiejewny. - Sporządzimy protokół doświadczenia. Nikt nie oponuje?

- Po co to? - zapytał Udałow.

- Przekażemy kompetentnym organom.
- A jeśli ktoś sobie rwę życzy? - zapytał Udałow.
- Wolna wola. Obserwatorzy też są nam potrzebni.

Udałow chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Grubin odebrał mu głos, powstrzymał podniesioną dłoń, wziął kartkę, długopis i wykaligrafował wielkimi literami:

”Dwunastego lipca roku 1975. Miasto Wielki Guslar w obwodzie wołogodzkiem. Uczestnicy eksperymentu mającego na celu odmłodzenie organizmu”.

Siebie wpisał na pierwszym miejscu:

”1) Grubin Aleksander Jewdokimowicz, urodzony w roku 1934”.

Potem szedł starzec Ałmaz:

”2) Bity Ałmaz Fiedotowicz - urodzony w roku 1603”.

”3) Bakszt Milica Fiodorowna”.

- Kiedy się pani urodziła?

- Niech pan napisze orientacyjnie - odparła Milica Fiodorowna. - W dowodzie osobistym figuruje rok 1872, ale to nieprawda. Proszę napisać połowa XVII wieku.

Grubin więc napisał: “połowa XVII w.”

W poczynaniach Grubina była pewność siebie oraz rzeczowość i dlatego wszyscy bez żartów, poważnie odpowiadali na pytania i dalsza część listy przybrała następującą postać: “4) Kastieiska Helena Siergiejewna, 1915 rok; 5) Udałow Korneliusz Iwanowicz, 1933; 6) Sawicz Nikita Nikołajewicz, 1914; 7) Sawicz Wanda Kazimirowna, 1924; 8) Rodionowa Aleksandra Nikołajewna, 1955; 9) Standal Michał Arturowicz, 1947”.

- Łącznie dziewięć osób - powiedział Grubin. - Dzielę je umownie na dwie grupy. Do pierwszej zaliczam tych, którzy uczestniczą w eksperymencie w nadziei na sukces. Numery od pierwszego do siódmego. Druga grupa jest kontrolna. U jej członków nie powinno być żadnych wyników, ale ryzyko pozostaje.

- Nie szkodzi - powiedział Misza. - W najgorszym razie Szuroczka może zrezygnować.

- Jeszcze czego! - oburzyła się Szuroczka.

W oczach Grubina zabłysnął święty ogień pioniera, ogień Galileusza i Giordano Bruno. Kierował eksperymentem, a Udałow bardzo chciał znaleźć się w grupie kontrolnej, chociaż i to nie ratowało go przed ewentualnymi konsekwencjami.

- Jest pan gotów? - zapytał Grubin Ałmaza, obracając się ku niemu całym ciałem i powiewając kartką protokołu niczym sztandarem.

- Można rozlewać - odparł starzec. Był prawie bez sił, wycieńczony napięciem i wysiłkiem fizycznym. Wyraźnie chwiał się na swym krześle.

- Pomóc? - zapytała Helena Siergiejewna i nie czekając na odpowiedź rozlała płyn z miski do szklanek i kubków. Dziewięć naczyń stało ciasną grupką pośrodku stołu i ktoś pierwszy powinien wyciągnąć po nie rękę.

Starzec przeżegnał się zamasyście, co było sprzeczne z naukowym nastrojem doświadczenia, lecz nie wywołało protestów, przesunął dłonią nad grupą filiżanek i wybrał sobie błękitną ze złotym szlaczkiem.

- No - powiedział obrzuciwszy pozostałych przenikliwym wzrokiem - z Bogiem!

Przymknął oczy, wlał zawartość filiżanki do gardła i przełknął z głośnym bulgotem. Potem odstawił puste naczynie na stół i powiedział ochryple:

- Dobre poiło. Heleno, daj wody do popicia.

I natychmiast cisza, która zapadła w pokoju, gdy tylko starzec wziął filiżankę ze stołu, skończyła się. Wszyscy jak na komendę ruszyli do stołu, po szklanki, jakby znajdował się w nich szampan...

Misza Standal wypił pierwszy i rozkasłał się.

- Mocne? - zapytał Grubin, który wolno sączył eliksir, aby dokładnie poczuć działanie preparatu.

- Dostało się w drugą dziurkę - powiedział Misza, nadal kaszłąc. Szuroczka, nie wypuszczając filiżanki z ręki, poklepała go po plecach i rozlała eliksir na podłogę.

- Co ty robisz! - powiedział Misza. - Podłogi nie zamierzaliśmy odmładzać.

- Rzeczywiście! - rozzłościł się Grubin.

Szuroczka zmieszała się, upiła łyk, skrzywiła się i powiedziała:

- Jakie paskudztwo! I w dodatku słone.

Grubin zamieszał resztkę płynu na dnie szklanki i powiedział, zwracając się przede wszystkim do Udałowa, który znieruchomiał ze szklanką w ręku, w ciężkiej podejrzanym zadumie:

- Dzisiaj my, a jutro cała ludzkość - wykrzyknął. - Na świecie nie będzie starców.

Wzrok Grubina zahipnotyzował Udałowa. W jego wnętrzu zaczął rosnać bohater. Bohater

objął się o żebra, trykał w serce, kopał w kolana i łaskotał w kręgosłup. I Udałow ujrzał oczami duszy, jak on, młody i smukły, jedzie na Plac Czerwony.

...Zgodnie i rytmicznie gra orkiestra dęta. Ogromne tłumy mieszkańców Moskwy i przyjezdnych stoją po obu stronach ulicy Gorkiego, którą w otwartym samochodzie sunie majestatycznie Korneliusz Udałow z butelką eliksiru w dłoniach. Z tyłu suną samochody członków rządu. Udałow ma zajęte ręce, więc nie może godnie odpowiedzieć na entuzjastyczne powitania ludu, tylko uśmiecha się szeroko i z całego serca.

Na Placu Czerwonym ustawili się w karnych szeregach uprawnieni do skorzystania z eliksiru w pierwszej kolejności.

Po prawej zasłużeń emeryci, po lewej - kaukascy matuzalemowie. Udałow wysiada z samochodu. Muzyka urywa się, tylko miarowo, niczym wielkie serce, łomocze werbel.

- Witajcie, towarzysze starcy! - mówi Udałow.

- Witaaaaa!...

Grzmia, przetaczają się nad Placem Czerwonym drżące głosy.

Udałow walczy ze łzami, napływającymi do oczu. Wyjmuje z kieszeni srebrną szklaneczkę z kompletu do golenia i ostrożnie, aby nie uronić nawet kropli - kamery telewizyjne całego świata śledzą każdy jego gest - nalewa szklaneczkę do pełna. Stoi przed nim długowieczny starzec kaukaski w wieku 142 lat, a osiemdziesięciu dwóch wnuków i prawnuków, zgrupowanych za nim, bije brawo. Matuzalem drżącą ręką podnosi szklaneczkę do wyschniętych ust, po czym oblizuje krople z brody.

Udałow nie traci czasu. Robi krok do przodu. Jeszcze jeden sędziwy starzec patrzy na niego z nadzieją i miłością...

Następnie szybkim defiladowym krokiem przecina Udałow plac po czerwonym chodniku i nalewa do pełna weteranowi trzech wojen. Weteran pije. Udałow - siewca ludzkiego szczęścia - idzie dalej i wszędzie towarzyszą mu pełne zachwytu westchnienia wdzięcznego narodu. Starcy i weterani młodnieją w oczach. Wracają na swoje miejsce przerzedzone włosy, niknie siwizna, prostują się zgarbione plecy, oczy nabierają blasku i oto Już ognista zamaszysta lezginka poderwała pierwszego matuzalema. Były starzec mknie w tańcu po kamiennej kostce, a za nim wnuki i prawnuki, równie smukli i barczyści, podzwaniający ładownicami i kindzałami, wywijający papachami. Lezginę podchwytyją weterani, krąg taneczny wciąż się rozszerza i potężnieje. Młode i piękne sprzedawczynie z GUMu na widok takiego skupiska młodzieży męskiej porzucają swoje miejsca pracy i wybiegają na plac, kokieteryjnie strzelając oczyma. A Udałow wciąż biegnie i biegnie wzdłuż spragnionych szeregów, nie ustaje, dopóki widzi chociażby jedną, wyciągającą się ku niemu pomarszczoną rękę...

- No i jak, będziemy pić? - zapytał surowym głosem Grubin, niweczając piękne widziadło.

Udałow wyprężył się, obciągnął niebieską kurtkę od pizamy, westchnął głęboko i zupełnie tak

samo, jak sędziwi starcy z jego widzenia, duszkami wypił filiżankę. Natychmiast wydało mu się, że odmłodził i usłyszał lezginę. O mało nie ruszył w tany, ale nadział się na własną gipsową rękę i zląkł się, że wypił zbyt mało eliksiru. Mogli go przecież oszukać, wykiwać. Zobaczył ledwie napoczętą filiżankę Szuroczki i ukradkiem sięgnął po nią zdrową ręką.

Grubin postawił swą szklanką i wrócił do protokołu.

- No więc, Grubin zażył - pierwsza grupa. - Kto jeszcze z pierwszej? Udałow. Standal i Rodionowa - druga grupa. Towarzysz Sawicz?

Sawicz w tym momencie wreszcie się zdecydował. Pił i starał się nie patrzeć na żonę, której nigdy nie mógł wybaczyć, że się z nią ożenił. Nie był złym człowiekiem, życzył jej szczęścia i miał nadzieję, że jeśli preparat poskutkuje, Wanda odmłodzi się i znajdzie sobie nowego męża. Jednocześnie, jako fachowiec o wykształceniu medycznym, starał się przekonać samego siebie o niemożliwości takiego baśniowego rezultatu, a gdy się już przekonał, wpadał w przerażenie, że istotnie nic się nie wydarzy. Pił wolno, usiłując odgadnąć skład, i lękał się go odgadnąć, gdyż jeśli mu się to udało, mogłoby się okazać, że starzec jest sprytnym oszustem, który usiłuje osiągnąć jakieś ciemne, podejrzone cele. Albo jeszcze gorzej - starzec jest niespełna rozumu i oni wszyscy - mój Boże, iluż dorosłych ludzi! - padli ofiarą taniego żartu. Aby już dłużej o tym nie myśleć, Sawicz szybko dopił i powiedział do Grubina:

- Niech pan postawi ptaszka przy Sawiczu.

Wanda Kazimirowna wypila swą filiżankę, gdy tylko przekonała się, że jej mąż już to zrobił. W ogóle traktowała to wszystko jako zabawę, związaną, rzecz dziwna, z niepoważnym charakterem męża, ale nie chciała ryzykować. Jeśli z takim trudem utrzymuje przy sobie podstarzałego Sawicza, to młody Sawicz rzuci ją natychmiast. Ale jeśli ona odmłodzi się...

- Pani jest ostatnia - zwrócił się starzec do Heleny Siergiejewny. - Proszę się nie lękać, zapewniam panią, że to jest zupełnie nieszkodliwe.

- Nieszkodliwe, ale i niepoważne - powiedziała Helena Siergiejewna i aby uniknąć sporów, wypila pół filiżanki. Płyn był jednocześnie słodkawy i słonawy. To połączenie byłoby dość wstrętne, gdyby nie dziwny aromat ziół i korzeni, gdyby nie miętowy chłodek, kryjący się w każdym łyeczku eliksiru.

- Koniec - powiedział Grubin. - Już po eksperymencie. Można rozejść się do domów.

- Hura! - wykrzyknął Sawicz, odczuwając przyływ sił. Zerknął na Wandę, która nieszczercze się uśmiechnęła.

- Hura!!! - powtórzył Sawicz tak głośno, że Helena Siergiejewna skarciła go odruchowo:

- Ciszej, bo obudzisz Wanę.

Krzyk obudził syjamską kotkę, która drzemała u nóg właścicielki, pociągając nosem jak staruszka. Przeraziła ją wojowniczość okrzyku, który być może nałożył się nieszczęśliwie na jakiś

koci koszmar. Syjamka otworzyła oczy - jedno niebieskie, drugie czerwone - rzuciła się między ludzkie nogi i żeby wyrwać się, uratować skoczyła w górę, pacnęła brzuchem o stół, zaczęła miotać się po obrusie, przewracając puste szklanki i kubki, uderzyła bokiem o butlę z płynem, która zaczęła się wolno chylić na bok niczym wieża w Pizie.

Butla zbliżyła się do krawędzi stołu, ale nikt nawet nie ruszył się z miejsca, wszyscy jak zaczarowani gapili się na nią i liczyli odruchowo sekundy, dzielące ich od katastrofy. Jedynie Grubin, jakby przedzierając się przez gęste błoto, zaczął przechylać się w kierunku butli.

Butla runęła ze stołu. Błysnęła i rozleciała się na zielone odłamki.

Grubin skoczył i upadł obok niej na podłogę. Po jego ciele, niczym seria pocisków z karabinu maszynowego, zabębniły odłamki szkła i krople ciemnego płynu.

- Gamonie - powiedział starzec.

Kotka zeskoczyła w ślad za butelką ze stołu, przysiadła, bijąc końcem ogona, i chleptała z czarnej kałuży rozlanej na podłodze, wypluwając odłamki szkła.

- To koniec - powiedział z podłogi Grubin ocierając twarz rękawem marynarki.

- I co teraz będzie? - zapytała Szuroczka. - A czy nie można tego odtworzyć?

- Gdyby było można, wszyscy byliby młodzi - odparł starzec. - Nie mamy jeszcze takiej techniki.

- A wedle czego niby zamierzasz odtwarzać? - rzucił się Grubin na Szuroczkę, jakby to ona była wszystkiemu winna. - Według korka?

- Tym bardziej wzrośnie nasza wartość dla nauki - powiedział Misza Standal, sprytnie odwracając w ten sposób uwagę od Szuroczki. - Będą nas badać w Moskwie.

Misza zwątpił. Nawet kotka wydawała mu się teraz częścią gigantycznej mistyfikacji.

- Został nam proszek - zwrócił się Grubin do starca, bez większej zresztą nadziei w głosie.

- Proszek to rzecz drugorzędna - odparł Ałmaz. - Z samego proszku młody nie będziesz.

Noc dobiegała kresu. Na wschodzie między dzwonicami i domami niebo już zaczynało jaśnieć, wypełniać się przejrzystym błękitem, w którym tajały pomniejsze gwiazdy. W podwórkach dźwięcznie nawoływały się koguty, a z całkiem już fantastycznej dali za rzeką dobiegł ciężki dźwięk dzwoneczków - ludzie pędzili krowy na pastwisko.

Przedranny sen miasta był mocny i spokojny. Skrzypnięcie furtki, ciche glosy ludzi nie zakłócały go, nie przerywały, lecz tylko pogłębiały.

Helena Siergiejewna stała przy oknie i nasłuchiwała,

jak nikły w oddali głosy jej nocnych gości, rytm ich kroków. Wyrazisty tupot obcasików Szuroczki. Nierówny, jakby szarpany krok Grubina, donośne, długie jak starczy kaszel szuranie podeszew Ałmaza, delikatny, koci krok Udałowa, splot niemłodego już, zgodnego marszu Sawicza i jego żony.

Kroki rozchodziły się w różne strony, oddalały się, głuchły. Jeszcze przez kilka minut, niczym dudnienie dalekiego bębna, dobiegał stukot laski starca. Wreszcie zapadła cisza.

15

Udałow uniósł rękę do dzwonka, ale cofnął ją, bo opadły go obawy. Pogrzebał w kieszeniach piżamy i wyłowił czarny portfel. W oddzielnej przegródce nosił tam okrągłe lusterko. Wyjął je, chuchnął, wytarł lusterko o nogawkę i długo się w nim przeglądał. Chociaż światło na schodach było bardzo słabe, 15-świecowe, wydało mu się, że wyraźnie odmłodniał. Nie na darmo, kiedy wszyscy denerwowali się wyczynem kotki, dopił cudze filiżanki. Przy jego niefarcie mniejsza dawka nie podziała. Pożegnaj się, postanowi, i ucieknę z domu. Zastanawiał się, czy jeśli naprawdę odmłodnieje, pozostanie zastarzały obrzęk na szyi. Byłoby dobrze, żeby zniknął. Myślał tak, sapał i dreptał pod swoimi drzwiami.

Żona Udałowa, śpiąca czujnie i niespokojnie, obudziła się na dźwięk szmerów i pomyślała, że to złodzieje dobierają się do mieszkania. Podeszła na bosaka do drzwi, nadstawiła ucha i powiedziała w dziurkę od klucza:

- Kto tam?

Zaskoczony Udałow drgnął i upuścił lusterko.

- Ja - odpowiedział, chociaż nie miał ochoty się przyznawać.

- Jaki ja? - zapytała żona, która nie poznała jego głosu, sądząc, że Udałow jest na trwale przykuty do szpitalnego łóżka boleści.

- Korneliusz - odparł Udałow i zmieszał się. Poczł się tak, jakby chciał się wedrzeć nocą do cudzego mieszkania. Rodziła się w nim jakaś obcość, dystans do starego świata.

Żona krzyknęła zduszonym głosem, natychmiast otworzyła drzwi, i ujrzała na podłodze szczątki lusterka. Odłamki błyszczały jak rozsypany brylantowy naszyjnik.

- Kto cię odprowadzał? - zapytała surowo. Podejrzewała męża nie dlatego, żeby były ku temu podstawy, lecz dlatego, że mężom w ogóle nie można ufać.

- Ja sam - powiedział Korneliusz. - Zły znak. Lusterko się zbiło.

- To znaczy, że ty nad ranem stoisz sobie na schodach i przeglądasz się w lusterku? Zachwycasz się sobą? Dobry jesteś! A ja mam ci niby wierzyć, tok?

- Nie krzycz z łaski swojej - powiedział Udałow. - Dzieci pobudzisz.

- Twoje dzieci śpią, oczy sobie wypłakały z tęsknoty za ojcem. Tylko ja sama... - w głosie żony zabrzmiały niemal prawdziwe łzy.

- Słowo honoru - powiedział Udałow. - Słowo honoru, że nikt mnie nie odprowadzał. Potrzebuję pilnie wyjechać w delegację służbową. Nawet z tej okazji wypisali mnie ze szpitala. Wpadłem tylko do domu, żeby się przebrać i wziąć niezbędne rzeczy.

Wskazał gestem swą szpitalną, niebieską piżamę:

- O, widzisz, w takim stanic...

- W delegację, powiadasz? I kiedy to cię posłali? Nocą?

- Dopiero co przyszli z Komitetu Powiatowego. Samochód czeka za rogiem.

Udałow kłamał jak najęty. Nawet obcy by to zrozumiał.

- Idź - powiedziała żona. - Idź i nie wracaj! Tylko pozbieraj odłamki jej lusterka. Nie życzę sobie...

- Ciszej, co ty mówisz, kochanie...

- To ona jest dla ciebie kochanie. Nie życzę sobie po niej sprzątać.

Zatrzasnęła drzwi i zostawiła Udałowa na schodach.

Udałow zastanawiał się nad sytuacją. Z jednej strony zwolniono go. Z drugiej zaś, nie dano odzieży i ręcznika. Chciał już zadzwonić, uspokoić żonę, ale ręka jakoś nie mogła podnieść się do przycisku dzwonka. Było oczywiste, jaką awanturę urządzi żona, kiedy czekając pod drzwiami na pełen skruchy dzwonek, ten dzwonek usłyszy.

- No i dobrze - powiedział Udałow i przykucnął, żeby pozbierać kawałki lusterka, czego nie musiał robić. Lusterko pożyczył sobie od żony, z jej starej torebki. Zaczepił gipsem o framugę drzwi i omal się nie rozplakał.

Wsypał kawałki szkła do kieszeni piżamy i ruszył w dół, ku wyjściu. Żona usłyszała oddalające się kroki, wściekła się jeszcze bardziej, rzuciła się do pokoju, otworzyła na oścież szafę i przez otwarte okno, nie patrząc, z rozgłośnymi jękami zaczęła wyrzucać rzeczy męża. Dzieci obudziły się, ale niczego nie zrozumiały. Udałow dostał butem w głowę. W kurzu poniewierały się spodnie i wędki. Z okna wciąż wyfruwały podkoszulki i kalesony, które niczym białe łabędzie unosiły się nad podwórzem. Naprzeciwko zapaliło się światło. Udałow szybko wybrał ze stosu rzeczy najpotrzebniejsze - garnitur wyjściowy, buty, skarpetki, marmurowego słonika na szczęście - i

wybiegł z podwórka. Kości zostały rzucone i nie wiadomo było, co leżało na drugim brzegu Rubikonu.

Do Grubina iść było niebezpiecznie, zbyt blisko. Tam będą go z pewnością szukać. Błękitną w rodzącym się brzasku dnia ulicą biegł Udałow w niebieskiej szpitalnej piżamie, powiesiwszy sobie na gipsowej ręce niedzielny garnitur, skarpetki i krawat. Biegł do Heleny Siergiejewny, przemykając się pod ścianami domów i wypatrując pogoni. Pogoni nie było. Żona wprawdzie rzuciła się za nim, ale widok rozrzuconego po podwórku dobytku ostudził jej zapał. Zrozumiała, że zanim ruszy w pościg, musi wszystko zanieść do domu, bo ukradną.

16

Helena Siergiejewna umieściła Udałowa w malutkim pokoiku, w którym mieszkały niegdyś jej dzieci, a teraz spał Wania. Wstawiła mu tam składane łóżko, a Udałow nieustannie dziękował jej, peszył się i nie wiedział, co ma zrobić z przedmiotami rozwieszonymi na gipsowej ręce.

Biegając przez miasto jakoś zapomniał o zbliżającym się odmłodzeniu. Był zdenerwowany i podniecony, ale głównie dlatego, że miał za sobą nieprzespaną noc i ucieczkę od żony.

- Ja - nic nie chcę - mówił. - Proszę nie zawracać sobie mną głowy. Koca nie potrzebuję i prześcieradła nie potrzebuję, ja po żołniersku, jak Suworow. Niech pani idzie spać, zaraz się rozwidni. A ja jestem na zwolnieniu i poduszki też nie potrzebuję.

Mówił tak i myślał, że należało zabrać prześcieradła z domu. Diabli wiedzą, jak długo jeszcze będzie musiał wycierać cudze kąty. Ale nawet i ta pozornie smutna myśl wypełniała jego pierś cudownym poczuciem męskiej wolności.

Helena Siergiejewna nie usłuchała Udałowa. Pościeliła prześcieradło, dała koc, poduszkę z powłoczką i wyszła.

Udałow zasnął snem sprawiedliwego, ledwie jego głowa dotknęła poduszki, i tak rozgłośnie chrapał, że Helena Siergiejewna w żaden sposób nie mogła zasnąć.

Helenie Siergiejewnie powiedziano, że może odmłodnieć. Jako mądra i wykształcona niewiasta wyobrażała sobie, jak to może się odbyć. Najwidoczniej preparat starca pobudza działalność gruczołów wydzielania wewnętrznego. To znaczy, w wariacie optymalnym, wygładzą się zmarszczki, wzmoże się obieg krwi itd. Helena Siergiejewna starała się pozostać na ściśle naukowym gruncie, obchodząc się bez cudów i wątpliwych Marsjan. Mimo wszystko bała się. Chociażby dlatego, że każdej akcji odpowiada reakcja. Za odmłodzenie organizmu trzeba zapłacić. Ale czym? Czy aby amatorzy eksperymentu nie skrócą sobie życia, zamiast je przedłużyć? Naukowcy mają jednak rację, że wszystkie doświadczenia przeprowadzają najpierw na myszach. Udałow chrapał na różne tony i coś mamrotał przez sen. A propos, kiedy nastąpi odmłodzenie? Starzec

powiedział: obudźcie się jako zupełnie inni ludzie. Czy to jest bolesne?

Helena Siergiejewna zapragnęła przekonać się, że jeszcze nic się nie stało. Podeszła na bosaka do szafy, zapaliła lampę na stole i przejrzała się. Żadnych zmian. Co prawda zaczerwieniły się powieki, ale to dlatego, że dzień był długi i męczący... Zgasiła światło, wróciła do łóżka i spróbowała zasnąć. Za oknem było już prawie widno i za jakieś trzy godziny obudzi się Wania.

Wydawało się jej, że woale nie spała. Na moment zapadła ciemność, a tu już Wania potrząsa ją za ramię...

- Babciu, wstawaj.

Helena Siergiejewna nie otworzyła oczu. Wiedziała, że Wania zaraz podrepcze do sieni, gdzie stał nocnik, i utknie tam co najmniej na dziesięć minut. W tym czasie należy rozbudzić się, wstać, narzucić szlafrok i umyć się. I jeszcze napalić pod kuchnią. Wykonała w myśli owe poranne czynności i w miarę tego, jak budził się mózg, ocknęły się, wypłynęły na powierzchnię inne myśli.

Trzeba koniecznie przejrzeć się w lustrze. Podejść do szafy i przejrzeć się. Dlaczego?

Ach, tak! Starzec, baśniowa historia, rozbita butelka...

Zrzuciła z siebie koc i usiadła na łóżku. Szafa z lustrem stała bokiem, zwierciadło przypominało wąską szczelinę, odbijającą błękit nieba.

Należało wstać i zrobić dwa kroki. Okazało się, że to jest trudne. Nawet przerażające. Nie odrywając wzroku od błękitnej szczeliny, Helena Siergiejewna - uczyniła te dwa kroki...

W nieprawdopodobnej, wręcz przerażającej przemianie, której Helena Siergiejewna uległa we śnie, nie było żadnej nauki, żadnego działania hormonalnego. Nie wygładziły się zmarszczki, nie wzmógł się krwioobieg... Po prostu dokonał się cud, antynaukowy i niewytłumaczalny, cud, od którego nie ma ucieczki i który pociąga ze sobą mnóstwo komplikacji, szarpaniny nerwów i kłopotów. Pierwszym z nich, myślała Helena Siergiejewna patrząc w lustro, poznając siebie, przyzwyczajając się do siebie od nowa, będzie spotkanie z Wanią, który w każdej chwili może wrócić z sieni. Dziecko zostało bez babci. Kim ona teraz jest? Matką? Nie, jest zbyt młoda jak na matkę. Siostrą? Helena Siergiejewna przesunęła ręką po twarzy, zaskoczona dawno już zapomnianym odczuciem świeżości i delikatności własnej cery.

Wania wszedł do pokoju i podbiegł do Heleny Siergiejewny. Zatrzymał się, z powolną zadumą włożył palec do ust i znieruchomiał. Znieruchomiła również Helena Siergiejewna. Czując głęboki wstyd wobec wnuka. Marzyła o jednym: żeby cud się skończył i żeby nastąpiło przebudzenie. To był ten rodzaj snu, którego bardzo się nie chce przerywać, ale który trzeba przerwać koniecznie dla dobra innych. Helena Siergiejewna boleśnie uszczypnęła się w ucho.

Wania dostrzegł jej gest i powiedział nie wyjmując palca z buzi:

- Babciu, jaka ty jesteś dzisiaj ładna! Nawet imłoda. A czego się szczypiesz?

- Kochany! - powiedziała Helena Siergiejewna. - Poznał mnie!

Chwyliła Wanię na ręce, przycisnęła do siebie - jaki lekki stał się przez noc! - podrzuciła do sufitu, a potem zawirowała z nim po pokoju, wciąż powtarzając:

- Kochany! Poznał!

I śmiała się. I była wdzięczna Wani.

Wania śmiał się basem, cieszył się i, żeby do maksimum wykorzystać dobry nastrój babci, krzyczał z góry:

- Kup mi rower! Kupisz mi rower?

W szaleńczym korowodzie rozwiewały się poły starego szlafroka. Helena Siergiejewna lekko i zwinnie stawiała szczupłe zgrabne nogi, a puszyste młode włosy, zburzone od szybkiego ruchu, opadały jej na oczy.

Postawiwszy Wanię na podłodze Helena Siergiejewna przypomniała sobie nagle, że ma w domu gościa. Udałowa. Pewnie jeszcze śpi, pomyślała. Ciekawe, jaki on jest? Ostrożnie uchyliła drzwi do małego pokoju.

Pościel była skłębiona, koc zwisał na podłogę, marynarka wisiała na oparciu krzesła. Niczym zrzucony kokon leżał w kącie biały gipsowy cylinder - skorupa złamanej ręki.

Udałowa nie było.

17

Stara pani Bakszt zdrzemnęła się w fotelu. To było szkodliwe w jej wieku, ale nie chciała przegapić powrotu młodości. Zupełnie zapomniała, jak to było poprzednim razem, a nie wiedziała, czy jeszcze jedno odmłodzenie nastąpi.

Drzemała nerwowo, z okresami głębokiego snu, urywanymi majakami i powrotami do półmroku pokoju, do słabej lampy osłoniętej abażurem z frędzlami. Kotka miotała się z kąta w kąt, drapała parawan.

Odmłodzenie przyszło niezauważalnie. Wydawało się, że tylko na minutę zamknęła oczy, w przelotnym koszmarze zapadła się w otchłań, poleciała ku dalekiej ziemi, a gdy otworzyła oczy, żeby przerwać koszmarny lot - ujrzała w lusterku spojrzenie dwudziestoletniej pięknej Milicy. Ciasna starcza suknia uwierała w piersiach i biodrach i doskwierał wstyd - za tę starą sukienkę i za własną niedawną starość.

- Mój Boże - powiedziała Milica Bakszt. - Jaka ja jestem ładna!

Jednym skokiem, posłuszne ciało niemal wzniosło się w powietrze, dotarła do drzwi, narzuciła haczyk, aby nikt nie wszedł, i pospiesznie, śmiejąc się i płacząc, zdarła z siebie starcze łachy, zrzuciła z pogardą wysokie, rozciapane kamaszki, zerwała z włosów idiotyczny czepiec, i stanęła przed lustrem naga i piękna.

Odmłodzona do niepoznania kotka wskoczyła na stół i różnobarwnymi oczyma - niebieskim i czerwonym - zagapiła się na panią. Milica Fiodorowna Bakszt powiedziała a'o niej wibrującym, namiętym szeptem:

- Taką właśnie kochał mnie Aleksander Siergiejewicz. Sasza Puszkina.

Zrobiło się duszno i zaczęły przeszkadzać zastarzałe wonie saloniku. Milica podbiegła na paluszkach do okna i otworzyła je na oścież. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu i strzępy pożółkłego, kruchego papieru. Bóg wie kiedy naklejonego na ramy. Skrzypnięcie okna rozległo się szeroko po uśpionym mieście, ale sen nad ranem jest najmocniejszy, nikt więc nie obudził się i nikt nie zobaczył błękitnawej w świetle brzasku nagiej piękności w oknie na pierwszym piętrze starego domu.

- "Pamiętam nagie zachwycenie" - zaśpiewała cichutko Milica i znieruchomiała, gdyż zagłuszony radosnymi przeżyciami, ale żywotny głos staruszki Bakszt przestrzegał ją, że może się przeziębici. Trzeba się oszczędzać, jeszcze tyle lat przed nią. Ale beztroska młodość wzięła górę.

- Nie szkodzi - uspokoiła się Milica. - Nic mi się nie stanie, przecież nie mam stu lat.

Narzuciła szlafroczek, roześmiała się głośno i dodała:

- Znacznie więcej.

Zachciało się jej spać. Odmładzanie to jednak duży wysiłek. Chciało się też jeść. Gdzieś powinny leżeć drożdżówki. Czerstwe.

Milica otworzyła kredens. Drzwiczki zapiszczały z oburzeniem, nie przyzwyczajone do takiego brutalnego traktowania.

Zasnęła z drożdżówką w ręku, zwinięta w kłębek na miękkim fotelu. Spała mocno, zdrowo, bez snów...

Opisywanej tu nocy wszyscy nasi bohaterowie jak nigdy dotąd znaleźli się we władzy luster. Czy wierzyli, że staną się młodszy, czy też odnosili się do tego sceptycznie, to jednak starali się nie

oddalać od luster, lusterek i zwierciadeł.

Grubin również wyciągnął zza szafy lustro, zakurzone, z odbitym rogiem. Pogardzał lustrami i nigdy się w nich nie przeglądał, nawet przy goleniu i czesaniu. Ale mimo wszystko był Grubin w pierwszym rzędzie badaczem, uczestnikiem eksperymentu, i dlatego uznał za swój obowiązek ów eksperyment obserwować.

Do świtu brakowało jeszcze około trzech godzin i należało spędzić je na nogach, aby mniej chciało się spać. Grubin podłączył perpetuum mobile do patefonu i założył płytę. Nie nastawił jej jednak na cały regulator, żeby nie budzić sąsiadów. Zarówno patefon, jak i płyta zostały zdobyte w pracy, wygrzebane spośród staroci i rozlicznych surowców wtórnych. Gdyby nie wieczny silnik, Grubin nie słuchałby w ogóle muzyki, gdyż nakręcanie silnej sprężyny patefonu było zbyt uciążliwe. Zestaw płyt również był przypadkowy. Jedna z nich miała głębokie pęknięcie. Na tej właśnie płycie popularni niegdyś komicy Bim i Bom opowiadali anegdoty. O czym te anegdoty były, Grubin nigdy się nie dowiedział - z powodu silnego szumu i trzasków. Była również pieśń "Wołga, Wołga" w wykonaniu Szalapina, ale za to bez początku, longplay "Ulubione pieśni młodzieży radzieckiej - 72" oraz przedrewolucyjna pieśń „Transvaa!, Transvaa! - kraju mój, cały w ogniu stoisz”.

Przy akompaniamencie smutnej transwaalskiej melodii zabrał się Grubin do wycinania na ziarenku ryżu "Pieśni o wieszczym Olegu". Zajmował się tą ciężką pracą już prawie dwa lata i doszedł zaledwie do drugiej zwrotki. Wiedział już, że zabraknie miejsca na ostatnie wersy, ale pracy nie przerywał, gdyż był próżny i uważał się za zdolnego do większych dokonań niż Lewsza, który pchły podkuwał.

Praca posuwała się wolno, pod okularem szkolnego mikroskopu. Grubin zmęczył się, ale nie mógł oderwać się od zajęcia, które całkowicie go pochłaniało. Lustro stało przed nim, aby mógł od czasu do czasu rzucić nań okiem, w oczekiwaniu na przemianę.

W pokoju nie było hałasu, ale też i nie było cicho. Półgłosem rozpaczał śpiewak, Grubin wtórował mu szeptem, brzęczała mikrowiertarka, kruk czochrał się o skrzypiącą nogę stołu, pod łóżkiem krzątały się myszy, sennie pluskały złote rybki w akwarium. Zbliżał się świt. Grubin kończył właśnie rzeźbienie litery "c" w słowie "czarodziej", gdy nagle coś go ukuło w serce, nastąpiła gwałtowna utrata przytomności, zawrót głowy. Grubin ocknął się po chwili i pełen podejrzeń spojrzął w lustro, ale spóźnił się.

Już był młody. Po dawnemu chudy, po dawnemu rozczochrany i dziko połyskujący oczyma, ale tak młody, jak nie był już od jakichś dwudziestu pięciu lat.

- Taak - powiedział. - Cholerne czarowniki!

Był niezadowolony. Eksperyment tak starannie przygotowany nie powiódł się. Potem jednak uspokoił się, dokładniej przejrzał się w lustrze i nawet sam sobie się spodobał.

- Tak - powtórzył zupełnie innym tonem, usiadł i zaczął rozmyślać.

Poczuł się w skórze człowieka, który wygrał dziesięć tysięcy rubli na obligację premiową. Oto

pieniądze przyniesione z kasy oszczędnościowej, gruby plik dziesięciorubłówek. Jest ich zbyt wiele, aby kupić nowy garnitur albo zapłacić zaległe komorne. Jest ich tak dużo, że chyba nie sposób ich wydać od razu na jakiś jeden bardzo cenny przedmiot. Wprawdzie w domu jest wiele wydatków, pilnych i nie cierpiących zwłoki, na które można przeznaczyć część wygranej, ale na tym właśnie polega psychologiczna perfidia okrągłej sumy, że dzielenie jej na drobne części wydaje się być poniżające i nieprzyzwoite. Kupić dom? Pojechać na wycieczkę dookoła Europy? A po co nowy dom? Po co ta Europa? I człowiek zaczyna się miotać w pułapce bez wyjścia. Pieniądze przytłaczają, uciskają i zniewalają wolnego dotychczas człowieka.

Grubin wygrał dwadzieścia lat życia. Wygrał młodość. Na co przeznaczyć te lata, które spadły z nieba? Napisać na ziarenku maku "Słowo o pułku Igora", żeby zamieścili o tym notatkę w tygodniku pod tytułem "Ogoniok"? Tak, trzy lata, nawet pięć lat można stracić na takie zajęcie. I ledwie Grubin o tym pomyślał, poczuł całkowity bezsens takiego pomysłu, odczuł go tak wyraźnie, że wygarnął spod mikroskopu zapisane ziarnko ryżu i wyrzucił je przez otwarty lufcik. Było ziarnko i nie ma ziarnka. Zdziobie go jakaś kura, nie czytając klasycznych strof. Cóż począć?

Jeszcze dwie godziny temu Grubin, nie dysponując młodością, mógł myśleć spokojnie i rozsądnie. Jeśli dostanie te lata, przeznaczy je na twórczą działalność wynalazczą. Nie będzie niczego zmieniał w swym trybie życia, tylko po prostu go przedłuży.

A teraz, zerkając w lustro na dwudziestoletniego rozczochańca, stwierdził, że byłoby zbrodnią pozwolić życiu płynąć jego starym korytem. Wszak człowiek ma tylko jedno życie, trzeba więc zacząć je od początku. Zacząć pięknie i godnie, wyciągając nauki z wszystkich popełnionych kiedyś błędów. Wznieść się na wyżyny. Nie wiedział wprawdzie, jeszcze nie wymyślił, jak tego dokona, ale niepokój, żądza czynu, która zagnieździła się w jego sercu, nie pozwala dalej siedzieć w zakurzonej pokoju przed zakurzonym lustrem. Trzeba było brać się do roboty. Grubin zaczął nowe życie od tego, że otworzył szafę i wyjął z niej czystą odświeżoną koszulę, zapasowy podkoszulek i pasiaste skarpetki. Odzież używana dotychczas wydała mu się nieprzyjemna, a co najważniejsze, brudna. Zdumiewające, że wcześniej tego nie zauważał.

19

Sawicz obudził się nie od razu. Nigdy nie budził się od razu. Najpierw sny, obfite, kolorowe, traciły wyrazistość i prawdopodobieństwo. Już można było oddzielić siebie w tych snach od innych bohaterów, wznieść się ponad akcję i zrozumieć, że chociaż jest to sen podobny do rzeczywistości, to jednak jest to rzeczywistość pozorna.

Obok niego w łóżku, do obrzydzenia znanym i rozchwierutany, cicho oddychała dziewczyna, zapomniana, świeża dziewczyna, przybyła z jakiegoś innego, starego, nieczyszczalnego snu. Sawicz niemal na jawie słyszał ten oddech i zdumiał się sennie, że majak jest tak wyraźny.

Jego ręka odszukała ramię, krągłe i delikatne, i dołek nad obojczykiem. Palce zbiegły w dół i

natknęły się na pierś. Pierś była równie świeża i jędrna, jak ramię, a twarda sutka - Sawicz we śnie widział, jak bardzo jest ona różowa - wymknęła się z palców. Dziewczyna jęknęła rozkosznie, poddając się bezwolnie pieszczocie męskich dłoni.

Sawicz obrócił się ku dziewczynie i ona również, posłusznie i nieśmiało - tak bywa tylko we śnie - zwróciła głowę w jego stronę i usta ich spotkały się. Sawicz drugą ręką przygarnął do siebie dziewczęce ciało, a dziewczyna wyszeptała: "Nie trzeba".

Sawicz bał się przebudzenia, gdyż jakiś maleńki fragmentik mózgu już czuwał i krytykował: otwórz oczy, mów, obudź się. Wanda już jest w kuchni, strzela garami, przez drzwi widać jej potężne plecy opięte pikowanym szlafrokiem. Zaraz odwróci się i powie porannym, poirytowanym tonem: "Dość tego wylegiwania, znów się spóźnisz", i zacznie się kolejny dzień.

Ale sen na szczęście był silniejszy, nie odchodził i napawał radością. Brzuch dziewczyny był płaski i silny. Broniła się jeszcze, ale już wiedziała, że się podda - pragnęła Sawicza i jej ciało walczyło z rozsądkiem. Ręce splotły się na jego karku, przyciskały coraz silniej, wargi rozwarły się... Dziewczyna nagle krzyknęła, głośno i gardłowo, bo Sawicz był jej pierwszym mężczyzną i sprawił jej ból.

Taki dziwny i cierpki sen przyśnił się Sawiczowi. I skończył się.

Skończył się dlatego, że krzyk był. To właśnie krzyk obudził Sawicza. Otworzył oczy, do reszty zaplątany w myślach i odczuciach - bowiem sen nie odchodził, choć już nadeszła jawa.

Dziewczyna dygotała w jego objęciach, jej czarne włosy

zakrywały świat, jej paznokcie rozorywały mu plecy, a twarde sutki wpijały mu się w pierś.

Dziewczyna była znajoma. Tę dziewczynę znał tysiąc lat temu. I tysiąc lat temu już tak krzyczała, gdyż on był jej pierwszym mężczyzną. Tysiąc lat temu.

A kiedy wszystko się już skończyło i dziewczyna rozplakała się, bo był jej pierwszym mężczyzną i sprawił jej ból, Sawicz zrozumiał, że jednak się obudził i nie śnił.

Wanda powiedziała:

- Co ty ze mną zrobiłeś?

I nagle uśmiechnęła się, pokazując błyszczące białe zęby, odrzuciła z oczu kosmyk włosów i rozkazała:

- Natychmiast pogładź się po łysinie.

Sawicz nie odważył się zignorować dziwnej zachcianki. Ręka dotknęła gęstych włosów. Łysiny nie było. Rozzłoszczony już uporczywością i natręctwem snu, jak dziecko uniósł rękę do oczu. To nie była jego ręka, choć właściwie ręka była znajoma, niegdyś to była jego ręka, ale teraz była to ręka cudza.

- Odwróć się - powiedziała Wanda. - I w ogóle wstawaj, trzeba zdjąć prześcieradło.

Sawicz posłusznie zamknął oczy. Wanda zeskoczyła z łóżka, pobiegła na bosaka do łazienki i krzyknęła stamtąd:

- Stary nie kłamał. Mój Boże, jak ja się cieszę! Potem głos dobiegł z sąsiedniego pokoju:

- Wielka szkoda, że nie uwierzyliśmy mu do końca. Nie spalibyśmy i moglibyśmy zobaczyć, jak to się stanie.

Roześmiała się głośno. Dodała:

- Nigdy bym ci nie pozwoliła tak zwyczajnie mnie wziąć. Mój Boże, dziewczęta całymi latami myślą o tej chwili...

Wtedy Sawicz wszystko zrozumiał. Uniósł się na rękach i zerknął w lustro. W pościeli, goły do pasa, siedział młody Sawicz, student Sawicz, rozczochrany i czerwony jak rak.

20

Starannie umyty w zimnej wodzie, z wyczyszczonymi do połysku białymi zębami, w pasiastych skarpetkach i świeżej białej koszuli szedł Grubin przez uśpione jeszcze ulice Wielkiego Guslaru, cieszył się rzeźkością powietrza, lekkością obłoczków nad rzeką, rozgłośnością ptasiego świergotu, skrzypieniem wozów ciągnących na targ i dalekim rykiem syreny statku.

Nie wiedział, dokąd i po co idzie. Niósł w sobie tajemnicę i radość, chciał się nimi podzielić z innymi ludźmi, zrobić coś dobrego, aby w ten sposób godnie uczcić początek nowego życia.

Zatrzymał się przy zapadlisku. Zajrzał przez ogrodzenie do środka, w ciemność, z której tak niedawno wyłoniło się jego nowe życie, i aż gwizdnął, zdumiony własnym szczęściem. Gdyby Udałow nie poszedł do domu towarowego, gdyby nie lękał się samotnie stawiać czoła sprzedawczyniom, siedziałby teraz Grubin w domu i niczego nie podejrzewając dziergałby "Słowo o wieszczym Olegu". Aż go zatrzęsło z obrzydzenia na myśl, że istnieją ludzie, którzy okradają siebie i ludzkość w tak idiotyczny sposób. Żałował przez chwilę, że razem z ziarnkiem ryżu nie wyrzucił mikroskopu, ale potem zawstydził się tego pomysłu - mikroskop jeszcze się może przydać do pracy, do prawdziwej pracy.

Okno na pierwszym piętrze było otwarte na oścież, a na parapecie wśród doniczek z kwiatami siedziała wytworna syjamska kotka i celebrowała poranną toaletę.

- Kiciu - powiedział do niej Grubin. - Czy ty przypadkiem nie jesteś zwierzakiem pani Bakszt?

Dopiero w tym momencie olśniła go myśl, że cudowna przemiana przydarzyła się nie tylko

jemu. Przecież tej samej nocy odmłodził również jego przyjaciel Udałow (a co z jego żoną?), odmłodziła Helena Siergiejewna i stara pani Bakszt, której przed paroma godzinami pomógł dowlec się do domu. Z tyłu, jak sobie przypomniał, dreptała ciężko stara syjamska kotka. Teraz na parapecie siedzi młoda kocica, ale też syjamska i też z różnobarwnymi oczyma. Jest mało prawdopodobne, aby w Wielkim Guslarze żyły dwie syjamskie kotki z różnobarwnymi oczyma, tym bardziej w jednym domu.

- Kiciu - powtórzył Grubin. - A gdzie twoja pani? Kotka nic nie odpowiedziała. Grubin poszukał jakiegoś przedmiotu, którym mógłby przyciągnąć uwagę staruszki, bo okropnie był ciekaw, co się jej przydarzyło w nocy, ile lat udało się jej zrzucić. A nuż nie podziałało? Zrobiło mu się szczerze żal babci stojącej nad grobem.

Podszedł do tablicy z wczorajszą gazetą, oderwał pół strony, zmiął w twardą bryłkę i z rozmachem rzucił w otwarte okno. Przerażona kotka zeskoczyła z parapetu potracając doniczkę z nasturcją. Doniczka spadła do wnętrza i narobiła hałasu.

- Ach! - wykrzyknął ktoś w pokoju. Grubin zmieszał się i chciał uciec. Zrobiłby to, gdyby w oknie nie ukazała się urocza, bajecznie piękna dziewczyna. Długie włosy o barwie kruczego skrzydła spadały jej na ramiona bujnymi falami, oczy były ogromne i promienne, nosek prosty i krótki, usta pełne i skore do uśmiechu.

- Ach! - powtórzyła dziewczyna widząc, że z ulicy gapi się na nią z zachwytem kudłaty młodzieniec w białej koszuli. Wstydliwym gestem zgarnęła na piersi stary szlafroczek i nagle perłście się roześmiała, nie lękając się obudzić całej ulicy.

- Głuptasie! - wykrzyknęła przez śmiech. - Ta doniczka stała tu od stu lat, ale wcale mi jej nie żal. Przecież pan jest Grubinem, który wczoraj odprowadzał mnie do domu. Proszę do mnie. Napijemy się dobrej herbaty.

- Pędzę - powiedział Grubin, stanął na rękach i na rękach pomaszerował przez ulicę ku drzwiom domu, bo ręce miał silne i kiedyś zdobył pierwszą klasę w gimnastyce.

...Milica podejmowała gościa ciasteczkami, konfiturami, przetworami - smakołykami domowymi, babcinymi, niedzisiejszymi. Zapomniała, gdzie co leży, i bardzo ją to śmieszyło. Wieloletnie aromaty saloniku uciekły przez otwarte okno, jakby na to tylko czekały. W pokoju było słonecznie i chłodno.

- Najpierw wyrzucę wszystkie te rupiecie - mówiła Milica. - Pomoże mi pan, Aleksandrze Jewdokimowiczu? Już dawno zamierzałam to zrobić, ale kiedy jest się tak starą i słabą, trzeba pogodzić się z rzeczami. Starzały się wraz z człowiekiem i wraz z człowiekiem umrą. Teraz wszystko będzie inaczej. Jestem niewdzięczna, prawda?

- Dlaczego? - zdziwił się Grubin. - Ja w ogóle nie miałem rzeczy. A czy to prawda, że Stiepan Razin omal pani nie wrzucił do rzeki?

- Nie pamiętam. Wiem o tym tylko z opowiadań Miłego Przyjaciela. Wydaje mi się jednak, że

by tego nie zrobił.

- Z pewnością nie chciał - powiedział Grubin, skrępowany, że on, tak nieporządnie ubrany i rozczochrany, znajduje się w jednym pokoju z piękną dziewczyną. - Kozacy go zmuszali.

- Byli zazdrośni - przytaknęła Milica, która biegając po pokoju nie zapomniała zerkać w lustro. Bardzo się sobie podobała.

Grubin zdrapał paznokciem zastarzałą plamę ze spodni, upił łyk herbaty ze staroświeckiej filiżanki i zagryzł piernikiem. Jeść również się krępował, chociaż był potwornie głodny, Milica nie mogła usiedzieć przy stole. Podrywała się, poprawiała coś w pokoju, zestawiała na podłogę doniczki z kwiatkami. Wreszcie otworzyła komodę i wyrzuciła na podłogę suknie, robiony, salopy, palta, peleryny i chusty - na chwilę w pokoju zrobiło się duszno od naftalinowego czadu, który jednak szybko ulotnił się przez otwarte okno.

- To trzeba wyrzucić, to też trzeba wyrzucić, a z tego można jeszcze coś zrobić. Kiedy otworzą kioski z gazetami, kupi mi pan żurnal?

- Naturalnie, mogę pójść choćby zaraz - odparł Grubin. - Ale u nas żurnale mój rzadko bywają.

Zdumiewało go, że Milica absolutnie wyzbyła się przeszłości. Jakby nigdy nie była staruszką. On sam czuł ciężar przeżytych lat. Niezbyt silnie, ale jednak czuł. Milica natomiast zachowywała się tak, jakby dopiero wczoraj przyszła na świat.

- Podobam się panu? - zapytała.

- Słucham? - Grubinowi nikt nigdy takich pytań nie zadawał.

- Jestem piękna? Jestem pociągającą kobietą?

- Bardzo.

- Proszę pić herbatę, jeszcze panu zrobię. Tymczasem pójdę za parawan i przymierzę suknię. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Grubin nie miał nic przeciwko temu, Był w transie, w zagadkowym słodkim śnie, w którym ludzie piją herbatę z pierniczkami.

Zza parawanu wyszła Milica, upuszczając na podłogę różne przedmioty, szeleszcząc suknią i zadając coraz to nowe pytania:

- Aleksandrze Jewdokimowiczu, zdarzyło się panu bywać w Moskwie?

- Proszę nazywać mnie Saszą - powiedział Grubin. - Bo jakoś mi niezręcznie.

- To bardzo miło z pana strony. Szalenie podoba mi się ten nowoczesny styl. A wie pan, że choć byliśmy z Aleksandrem Siergiejewiczem Puszkinem, poetą, bardzo blisko zaprzyjaźnieni, on

zawsze zwracał się do mnie - Milico Fiodarowno. Interesujące, prawda? I pan też ma na imię Sasza.

Grubin zwymyślał się w duchu za brak dobrego wychowania. Nie tyle zdumiały go znajomości Milicy Fiodorowny, bowiem te znajomości były dawne i zupełnie naturalne przy jej wieku i urodzie, ile...

- Milico Fiodorowno, trzeba będzie - powiedział oficjalnym, nieco obrażonym tonem - pójść do Heleny Siergiejewny. Poradzić się.

- Słusznie, Saszeńka - roześmiała się srebrzyście Milica. - A pan będzie mnie nazywał Miłą? Tak mi się bardziej podoba. Przecież żyjemy w XX wieku. Nie bądź zazdrosny, Puszkina już dawno zabili.

- Naturalnie - powiedział Grubin. Był nadal obrażony, co sprawiało mu wielką przyjemność. Nigdy dotąd nie obrażał się na tak piękną kobietę.

- Coś tylko dopasuję na siebie. Nic się nie nadaje, dosłownie nic. Potem pojedziemy.

- Nie ma sensu jechać - powiedział Grubin. - Przecież to dziesięć minut spacerkiem.

- Saszeńka, jesteś inżynierem?

- Skąd ten pomysł? Brakuje mi wykształcenia. Pracuję w biurze.

Grubin kłamał, ale to kłamstwo odnosiło się do przeszłości. Wiedział, że od dziś już nie kieruje punktem skupu surowców wtórnych. Dziś jest raczej inżynierem niż śmieciarzem. Przeszłość była jego prywatną sprawą. Przecież Miła też do wczoraj była sędziwą gospodynią domową. Ale to minęło.

Milica wyszła zza parawanu, niosąc na rękach suknię.

Rozłożyła ją na stole, odsuwając filiżanki z kawą na samą krawędź blatu. Wyjęła z komody nożyczki i zamyśliła się. Potem powiedziała:

- Już dawno nie interesowałam się modą. Trzeba będzie obudzić Szuroczkę.

- Tak, Szuroczka - przypomniał sobie Grubin. - Piła razem z nami lekarstwo. Żeby tylko nic się jej nie stało. Przecież ona robiła to dla żartu.

- A co się z nią może stać?

- Odmłodzenie.

- Saszeńka, jakiś ty naiwny! Przecież Miły Przyjaciół nikogo jeszcze nie oszukał. Ja i ty odmłodnieliśmy zupełnie jednakowo, chociaż poprzednio różniliśmy się wiekiem.

- Racja - zgodził się Grubin.

Przekradał się za Milicą przez wspólny korytarz i lękał się niespodzianek. A nuż Szuroczka stała się młodsza o dziesięć lat i zamieniła się w dziecko? Przecież to tragedia dla jej rodziców. Chowali ją przez dziewiętnaście lat i nagle okazuje się, że dziesięć lat - na darmo. Albo całe osiemnaście.

Grubin stanął za plecami Milicy przy drzwiach Rodionowów i nadśluchiwał z niepokojem, czy nie rozlegnie się tam płacz oseska.

- Oni bardzo wczesnie wstają - powiedziała Milica, która fałszywie odczytała niepokój Grubina. I zadzwoniła.

- Państwo do kogo? - zapytała otwierając drzwi kobieta w średnim wieku, rysami twarzy i głosem wielce przypominająca Szuroczkę, należąca do tych niewiast, które zachowują figurę i jędrność ciała przez długie lata, rodzą takie same krzepkie dzieci i, co więcej, potrafią świetnie się z nimi obchodzić, robiąc to bez zbytniego hałasu, nerwów i obawy przed przeciągami. Zza jej spódnicy wyglądało dwóch chłopczyków, również podobnych do Szuroczki.

- Do Szuroczki? - zapytała kobieta. - Ze sklepu?

- Dzień dobry - powiedziała wesoło Milica. - Pani mnie nie poznaje?

- Może gdzieś widziałam - powiedziała obojętnie matka Szuroczki. - Wejdźcie do środka, nie ma sensu stać w korytarzu. Szurka przyszła dopiero nad ranem. Gniewam się na nią.

- Dziękuję, my tylko na chwilę - powiedziała Milica, ucieszona, że nie można jej poznać.

- Córka dobrze się czuje? - zapytał Grubin z półmroku korytarza.

- A co niby mogło się jej stać? Szura! Masz gości! Matka odpłynęła korytarzem do kuchni, a za nią jak kacząta podreptali braciszkwowie Szuroczki.

- Ona mnie nie poznała! - powiedziała Milica uroczystym tonem. - A nie dalej jak dwa dni temu pożyczalam od niej sól.

Szuroczka, rozespana i zła po domowej awanturze, a poza tym taka sama jak przedtem, wyjrzała na korytarz, z powodu złego oświetlenia wzięła Milicę za jedną ze swych przyjaciółek i zapytała:

- Co cię tu po nocy przyniosło? Jeszcze się nie obudziłam.

- Nie poznała - powiedziała Milica. - Twoja mamusia też mnie nie poznała. A jego poznajesz? Saszeńka, chodź tutaj.

Grubin uśmiechnął się z zażenowaniem i zrobił dwa wielkie kroki.

- Mamusiu! - wykrzyknęła Szuroczka. - Towarzysz Grubin! Czyżby naprawdę podziałało?

- Jak pani widzi - powiedział Grubin i obrócił się dokoła własnej osi, wolno i niezgrabnie, niczym u krawca.

- A ja? - przypomniała sobie Szuroczka. - Przecież nawet nie zdążyłam się przejrzeć. Wszystko w porządku?

- Pani jest w zupełnym porządku - odparł Grubin. - Pani nie potrzebowała się zmieniać.

- Bardzo dobrze. A jak reszta?

Szuroczka rozmawiała z Grubinem, a na Milicę nawet nie spojrzała.

- Reszta? - Grubin zachichotał i mrugnął do Milicy. - Nie wiem jak pozostali, ale tutaj stoi pewna pani znajoma.

- Jaka znów znajoma?

Szuroczka zmarszczyła czoło, poprawiła grzywkę i przypatrzyła się uważnie Milicy. Nie mogła jednak w żaden sposób jej rozpoznać.

- Albo mnie nabieracie, albo całkiem zgłupiałam - powiedziała wreszcie.

- Jestem twoją sąsiadką, Milicą Fiodorowną - szepnęła Mila. - Jesteś mi potrzebna. Jako rówieśnica.

- Boziu! - wykrzyknęła Szuroczka. - To niemożliwe. Jeśli mnie nie nabieracie, zaraz padnę tu trupem!

- Kochanie, daj spokój - powiedziała Milica. - U mnie w pokoju wiszą na ścianach akwarele, na których bardzo jestem podobna. Chodźmy, nie ma czasu. Trzeba wyjść na miasto, a ja nie mam żadnej kiecki. Przecież nie będę chodziła po ulicach w robionie. Muszę uszyć sobie coś ze starych łachów.

- Cuda - powiedziała Szuroczka. - Niech pani się pokaże do światła.

W tym momencie z wielkiego podniecenia zupełnie przestała wymawiać wielkie litery i znaki interpunkcyjne.

- Zaraz weźmiemy jakąś moją sukienkę - roztrajkotała się, prowadząc Milę do okna, aby lepiej się jej przyjrzeć. - To naturalnie pani ja i stąd widzę że na akwareli to też pani ale towarzysz Grubin zmienił się znacznie mniej teraz nauka uczyni ogromny krok naprzód i starców w ogóle nie będzie a z sukienką coś wymyślimy weźmie pani moją proszę tu poczekać a ja ściągnę jedną na pewno będzie pasowała nie ma sensu zajmować się teraz szyciem byle tylko mama nie zobaczyła...

Szuroczka wyparowała, znikła, tylko jej słowa jeszcze przez kilka sekund pozostały w pokoju.

- No tak - powiedziała Milica. - Czyż ona nie jest u rocza ?

- Obie jesteście urocze - palnął Grubin, zmieszał się i podszedł do okna. Przypomniał sobie nagle, że Mila jest bądź co bądź perską księżniczką i znała kiedyś Puszkina.

- Dziękuję za komplement - odparła Milica wrzucając stare suknie do szafy. - Potrafisz prowadzić auto? W naszej nowej sytuacji auto może się przydać.

- Obejdziemy się - zbagatelizował sprawę Grubin. - Skąd niby weźmiemy to auto?

- Czy nie mówiłam ci, że mój zmarły mąż interesował się techniką i kupił auto? U progu nowego wieku. Ale przystaw zabronił mu jeździć, żeby przechodnie i psy nie wpadali w panikę. Dlatego nie jeździliśmy. A potem pan Bakszt zmarł.

- No i co z tego?

- Ono nadal stoi w szopie.

- Co stoi?

Grubin poczuł, że zatrząsnęły mu się ręce. Słowa Mili, nawet w ten rano obfitujący w nieprawdopodobne wydarzenia, poruszyły go do głębi. Poruszyły go tak bardzo, że cała reszta odeszła na plan dalszy. Samochód, obojętnie jaki, był marzeniem Grubina. W mieście było niewiele samochodów, a już o prywatnych szkoda mówić. Samochód śnił się Grubinowi. Samochód stał w szopie.

- Przecież z pewnością już je ukradli albo zepsuli - powiedział. Powiedział tak umyślnie, żeby nie zauroczyć, żeby nie spłoszyć szczęścia.

- Wątpię - odparła Mila. - Gdzie się ta Szuroczka podziała? Całkiem niedawno zaglądałam do szopy. Gdzie ja wsadziłam klucz? Znajdziesz sam, czy mam ci pomóc? Moja szopa stoi po prawej stronie. Jest najstarsza ze wszystkich, na pewno ją poznasz.

Szuroczka przybiegła z sukienką i powiedziała od drzwi:

- Moja stara ciągle mi wymyśla podejrzewa że coś zmalowałam jako panienka trzeba będzie zwęzić i skrócić.

- Nigdy w życiu nie nosiłam takiej krótkiej sukienki - powiedziała Milica zerkając na odkryte kolana Szuroczki. - To wypada?

- Co pani teraz wszystkie tak chodzą nawet na wsi a jaka pani jest młoda nawet młodsza ode mnie!

- Idę - powiedział Grubin ściskając w spoczonej dłoni klucz od szopy. - Popatrzę.

- Nie zobaczysz go od razu, bo jest przykryty workami i różną starzyzną. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

- Gdzie on idzie? - zapytała Szuroczka.

- Do szopy, musi odnaleźć pewną rzecz. To niespodzianka.

Grubin popędził schodami na podwórko, przeskakując po pięć, a czasami nawet po sześć stopni naraz, znalazł bez trudu najbardziej sędziwą szopę i nie troszcząc się o to, czy ktoś go zobaczy z okna, wsunął klucz do kłódki. Klucz obrócił się lekko. Staruszka była gospodarna i nie pozwalała, żeby jej dobro rdzewiało.

Promienie porannego słońca przez rozwarte na oścież drzwi wtargnęły do szopy w ślad za Grubinem i pozłociły kłęby kurzu, W szopie nie było żadnego samochodu, były natomiast niezliczone kufry, kosze i skrzynki, poniewierały się nóżki od krzeseł, drzwi zmarłych ze starości szaf, dywany pogryzione przez mole i szczury, drewno opałowe i łopaty.

Chwileczkę, uspokajał się Grubin. Szopa nie jest mała i za workami, jak mówiła Mila, za workami, tylko spokojnie, Grubin, spokojnie, zaraz odsuniemy drewno. Chwycił za krawędź sągu i rozsypał go z łoskotem karabinu maszynowego. Nie pozwalając hałasowi ucichnąć, z pasją poszukiwacza skarbów kontynuował wykopaliska. Musiał odsunąć wielki i niezmiernie ciężki kufer, później zagrzebać się w strzępy portiery, za którą ukazało się coś, co było przykryte brezentem. Skraj brezentu uniósł się do góry i spod niego błysnął reflektor przypominający oko ważki. Maszyna stała na miejscu.

Hałas, jakiego Grubin narobił w szopie, dotarł nawet do uszu Milicy i Szuroczki, Dziewczęta śmiały się z zapału Saszeńki, ale nie poszły mu pomagać, były bowiem zajęte dopasowywaniem sukienki. Inni mieszkańcy domu akurat się budzili i nie podejrzewali niczego złego. Ranek był na to zbyt słoneczny i miły.

Wyzwoliwszy automobil spod zwałów rupieci, Grubin wreszcie obejrzał go dokładnie i zdumiał się. Zbyt słabo znał historię przemysłu motoryzacyjnego, aby ocenić rzadkość i cenność maszyny, która ukazała się jego oczom.

Twórca auta, starając się zaspokoić wyrafinowane gusty ówczesnych bogatych konsumentów, oparł się w swej konstrukcji na znanych kształtach landa, luksusowej karety, weneckiej gondoli, a może nawet pucharu św. Graala.

Groźnie połśniewały miedziane, złoczone, srebrzone i stalowe detale, błyszcząły niezliczone szprychy wysokich kół, których obręcze płonęły krwistą czerwienią. Zielonozłota karoseria kołysała się na wysokich resorach, a siedzenia z miękkiej angielskiej skóry, gdzieś pogryzione przez myszy, kusily obietnicą wielkiej wygody. Chciałoby się utonąć w nich i wolno płynąć pod niebem Paryża Polami Elizejskimi i naciskać na klakson - gramofonową tubę z lewatywową gruszką na końcu. Pojazd miał niezmiernie wytworny kształt, peszył jedynie komin z boku i miedziany kocioł. Nie musiało się być biegłym w technice, aby zrozumieć, że automobil wyposażono w silnik parowy.

Grubin pokręcił głową, odpędzając falę dojmującego rozczarowania, A jednak był to samochód. Automobil starej marki. Grubin poczuł, jak wzbiera w nim coś w rodzaju bolesnej ojcowskiej czułości, uczucia, jakie żywią rodzice do głupiego, brzydkiego, ale swojego i w dodatku

jedynego dziecka. Kto inny na miejscu Grubina spaliłby się ze wstydu na samą myśl, że czymś takim wyjedzie na ulice rodzinnego miasta. Grubinowi nawet nie przyszło to do głowy. Odszukał w szopie stare wiadro, poszedł do studni, napełnił kocioł, ułożył drewno w palenisku i uruchomił samochód.

Starzy rzemieślnicy robili solidne, niezniszczalne rzeczy. Samochód kichnął, tłok drgnął z głośnym sapnięciem, nad podwórkiem uniósł się kłęb niebieskiego dymu i Grubin, szczęśliwy pogromca maszyny, z szybkością sześciu mil na godzinę wyjechał, rozpędzając kury, na ulicę i nacisnął klakson pod oknami pięknej Milicy.

Wcześni przechodnie z przerażeniem i zdumieniem gapili się na antyczny aparat. Ich zdziwienie osiągnęło szczyty, gdy z domu wybiegły dwie piękne dziewczyny i z głośnym śmiechem usadowiły się na tylnej kanapie wozu, za plecami rozczochranego szofera. Ekwipaż ruszył na miasto.

Obok niego dreptały psy i obszczekiwały z zapalem pojazd, a dzieci spieszące do szkoły zatrzymywały się i sypały żarcikami. Po mieście, już i bez tego podnieconym niezwykłymi wydarzeniami, rozeszła się plotka, że z Moskwy przyjechała grupa filmowców i kręci historyczny serial telewizyjny.

Sawicz w roztargnieniu mieszał łyżką owsiankę i myślał, że jeśli jest porządnym człowiekiem, to powinien ożenić się z Wandą, a właściwie zostać z nią, ponieważ poślubienie własnej żony, nawet odmłodzonej o trzydzieści lat, nie było konieczne.

- Nie mam zielonego pojęcia, jak ja się pokażę w sklepie - mówiła tymczasem Wanda. - Wyobrażasz sobie chyba, jaką tam zrobię furorę. Dzień dobry, jestem waszą kierowniczką! A one mi na to: możemy ewentualnie zatrudnić jako uczennicę. Wyobrażasz sobie? Ale jedz, jedz.

Wanda była pełna czułości dla młodego męża. Przeżyła z nim wiele lat, nie zauważając, jak się starzeje, i nie zastanawiając się nad tym, czy się w ogóle starzeje. Natomiast teraz, kiedy znów stał się młody i silny, pomyślała nie wiedzieć czemu, że nie popełniła błędu zgadzając się zostać jego żoną, a właściwie wymuszając na nim zgodę na ożenek.

- Trzeba zachować daleko idącą ostrożność - powiedział Sawicz. - Jeśli sąsiedzi nas zobaczą, zacznie się niepotrzebna gadanina. Należy udać się do Heleny Siergiejewny, bo tam z pewnością już zebrali się wszyscy nasi. I ustalić sposób postępowania.

- A niby po co mamy iść do Kastielskiej? - zaproponowała Wanda. - Może tylko nam się poszczęściło?

- Tym bardziej należy iść. Zapomniałaś, że jesteśmy uczestnikami eksperymentu, doświadczenia.

- Ale czemu właśnie do Kastielskiej?

I w tym samym momencie Wanda wyobraziła sobie młodą Kastielską. Pamiętała ją jako młodą i nie lubiła za to. Od wielu już lat z satysfakcją szukała i znajdowała u Kastielskiej oznaki starzenia się, a każdą zmarszczkę w głębi serca uważała za własną zasługę. Jej zazdrość wobec pechowej,

niby pokonanej rywalki wcale nie mijała z upływem lat, gdyż Wanda podejrzewała męża o chroniczną wierność tej kobiecie. Wierność niewybaczalną u żonatego mężczyzny.

- Może ona została staruszką - powiedziała. - To całkiem możliwe. - I popatrzyła na męża w nadziei, że przyzna jej rację. Sawicz naturalnie przytaknął.

- A jednak mimo wszystko należy pójść do Heleny Siergiejewny - powiedział. - W przeciwnym razie możemy znaleźć się w głupiej sytuacji.

- Jak chcesz - odparła Wanda otulając się szlafrokiem. - W końcu jestem od niej młodsza prawie o dziesięć lat.

- Naturalnie, pamiętam o tym.

Wanda długo się ubierała i malowała oczy. Nuciała przy tym tango z czasów swej młodości, a Sawicz stał przy oknie i myślał.

Jeśli to, co mu się przydarzyło, nie jest autohipnozą i złudzeniem, nagą powłoką młodości na starym ciele, to starość oddaliła się od niego. Ale czy warto ją było oddalać? Sawicz odwrócił się, popatrzył na młodą żonę i pomyślał z nieoczekiwaną irytacją: Ach ty, rzepo, energii nigdy ci nie brakowało. Teraz jeszcze mocniej weźmiesz mnie pod pantofel.

Ranek zaczął już wyłacać promieniami słońca szczyty drzew i kopuły cerkwi. Za ścianą poruszył się sąsiad.

- Pospiesz się - powiedział Sawicz. - Sidor Iljicz już wstaje.

- Zabawne - odezwała się Wanda. - Jeśli on mnie zobaczy, to pomyśli, że sobie sprowadziłeś na noc dziewczynę. A jeśli zobaczy najpierw ciebie, pomyśli sobie brzydko o mnie.

- Gdyby tylko pomyślał! - westchnął Sawicz. - On również powie, i to nie tylko nam.

- Dobra, zaraz będę gotowa - powiedziała Wanda i roześmiała się. - Dziewczyny sobie sprowadzasz? Zestarzałeś się. A jak ja pójdę do fryzjera?

- Nie wiem - odparł Sawicz. - Może wszyscy będziemy musieli na razie wyjechać do Wołogdy. Albo nawet do Moskwy. Jak długo można na ciebie czekać? Dawniej się tak nie guzdrałaś.

- Dawniej było co innego, a dziś mam święto.

Sawicz i Wanda ostrożnie wyszli na korytarz. Wanda cichutko chichotała i szczypała Sawicza w łokieć, a w ciemnej sieni nawet pocałowała go w policzek i ugryzła w koniuszek ucha. Sawicz bez przekonania bronił się przed jej karesami, a potem otworzył drzwi i pierwszy wyslizgnął się na ulicę w chłodną przezroczyść poranka.

Szli ulicą i Sawicz modlił się w duchu, żeby nie spotkali znajomych, a jednocześnie serce kołatało mu jak oszalałe na myśl, że już wkrótce zobaczy Helenę. Było to doznanie niemal

doszczętnie już zapomniane i dlatego w trójnasób dojmujące.

Gdzieś w tyle, dopędzając ich, sapał jakiś samochód i Sawicz, aby uniknąć ewentualnego spotkania ze znajomymi, odwrócił się plecami do jezdni. Samochód przesunął się wolno do przodu, spowijając go w kłęby dymu. Pojazd był ogromny i niezmiernie staroświecki, ale dym przeszkadzał tak bardzo, że Sawicz nie zdołał dojrzeć żadnych szczegółów i odczytać marki samochodu. Odwrócił się i skoncentrował ponownie na myśli o spotkaniu z Heleną, ale kobieta siedząca na tylnej kanapie kabrioletu uniosła się, odwróciła i krzyknęła do kierowcy:

- Saszeńka, zatrzymaj się, moim zdaniem, to są nasi znajomi.

Automobil brzęknął, wypuścił syczący strumień pary i znieruchomiał. A kobieta - młoda, czarnowłosa i niezmiernie zgrabna - zapytała głośno, jakby nie lękała się obudzić całego miasta:

- Czy państwo Sawiczowie? Idziecie do Kastielskiej? Kierowca uniosł się, osłonił dłonią oczy i uważnie przypatrywał się Sawiczom.

- Oczywiście, że to oni. Popatrz, jak Wanda Kazimirowna odmłodziła.

Druga kobieta w samochodzie okazała się Szuroczką Rodionową. Wówczas Wanda, która szybciej niż mąż zorientowała się, że wehikuł ma coś wspólnego z nocnymi wydarzeniami, zapytała:

- Czyżby mnie można było rozpoznać?

- Bardzo trudno, Wando Kazimirowno - odparła Szuroczka. - Ale jednak można. Przecież widywałam panią niemal codziennie.

W tonie Szuroczki nie było ironii ani zawiści i Wanda była jej za to wdzięczna.

- Siadajcie - powiedział Grubin. - Miejsca starczy dla wszystkich.

- A jak pozostali? - zapytał Sawicz pomagając żonie wsiąść do auta. Miał na myśli Helenę Siergiejewną, ale nikt poza Wandą nie pojął tego.

- Mogę przysiąc - powiedziała czarnowłosa dziewczyna - że mnie pan nie poznał. Jestem Mila Bakszt. Milica Fiodorowna.

21

Helena Siergiejewna odgarnęła jasny pukiel włosów, zmrużyła oczy i wsypała do rondelka dokładnie pół szklanki kaszki manny, nabranej z niebieskiej kwadratowej puszki z napisem "cukier". Mleko wzburzyło się, jakby kaszka okrutnie je oparzyła, ale Helena zdążyła je zamieszać srebrną łyżką, którą trzymała w pogotowiu.

Ruchy były wczorajsze, zrutynizowane i było rzeczą interesującą patrzeć na własne ręce. Były znajome i zarazem obce.

- Nie chcą twojej kaszki, babciu - powiedział z przyzwyczajenia Wania. - Zapomniałaś ją posolić.

- Rzeczywiście zapomniałam - roześmiała się Helena Siergiejewna.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili do kuchni wszedł nieznajomy młody człowiek ogromnego wzrostu. Wypełniał ciasną marynarkę tak dokładnie, że rękawy nie ukrywały bicepsów, a guziki z najwyższym trudem utrzymywały się w dziurkach.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział znajomym niskim głosem. - Drzwi były otwarte, więc pozwoliłem sobie wtargnąć bez zaproszenia. Dzień dobry.

Po gospodarsku rozsiadł się przy stole, odsunął maselniczkę i powiedział:

- Poczęstowałabyś herbatką, Heleno.

Helena Siergiejewna musiała przez kilka minut wpatrywać się w twarz gościa, zanim domyśliła się, że jest nim Ałmaz Bity.

- Poznałaś? - zapytał Ałmaz. Zdobył gdzieś nowe pantofle i dzinsy. - Stało się tak, jak powiedziałem. Obudziłaś się i nie poznałaś samej siebie. A trzeba przyznać, że ładna z ciebie dziewczyna. Nie tak ładna, jak moja Milica, ale całkiem do rzeczy. Teraz wydamy cię za męża.

- Proszę nie żartować - powiedziała Helena Siergiejewna, ukradkowym gestem wskazując na znieruchomiałego ze zdumienia Wanię. - W moim wieku...

Ałmaz roześmiał się. Na ulicy coś groźnie załomotało. Hurkot zbliżał się stopniowo, aż wreszcie pod otwartym oknem zgrzytnęły hamulce i podniosła się chmura sinawego dymu.

- Jest tam kto? - zapytała czarnowłosa piękność, wsuwając głowę do wnętrza. - Ojej, zmieniła się pani nie do poznania! A my do pani w gości.

- Oto i Milica - powiedział Ałmaz podrywając się zza stołu. _ Przecież mówiłem, że jest ładna. Mam rację, Heleno?

- Zaraz przyniosę herbatę - powiedziała Helena i wybiegła do pokoju Wani. Wybiegła tak szybko, że Ałmaz uśmiechnął się pobłaźliwie - pomyślał, że Helena nie chce uznać przewagi Milicy.

W rzeczywistości Helena zobaczyła w samochodzie młodego Sawicza i zrozumiała, że opuścił ją zaledwie na tydzień, nie więcej, że ich głupia sprzeczka się skończyła. Okazało się, że przez cały ranek czekała na to spotkanie, że dziesiątki lat przeżyte na całkiem innej drodze zupełnie się nie liczyły. Lata przeszły i wszystko powróciło na swoje miejsce.

Nogi ugięły się pod nią, w oczach zaszczypało. Zatrzasnęła za sobą drzwi i całym ciałem

przyłgnęła do chłodnych kafli pieca, odpędzając od siebie miraż, przekonując się o czymś, perswadując coś sobie niezrozumiale, jakby myślała w nieznanym języku.

W sąsiednim pokoju przekrzykiwały się zżywieniem młode, znajome, nie słyszane od dawna głosy. Helena rozejrzała się w panice dokoła, szukając kryjówki, i wtedy spostrzegła, że łóżko, na którym spał Udałow, nie jest posłane. Pochyliła się więc nad nim i zaczęła składać pościel. Ręce dopominały się o jakieś zajęcie.

- A gdzie jest Helena Siergiejewna? - pytał za drzwiami Grubin.

- Poszła zrobić herbatę.

- W kuchni jej nie ma. - Weszła tutaj.

- No to ją tam zaraz dopadniemy.

Głosu Sawicza wśród innych nie było. Helena jednak czuła jego oddech za drzwiami i kiedy Grubin nie pukając, na prawach starego przyjaciela, wtargnął do pokoju, podniosła poduszkę do twarzy, lękając się za plecami Grubina napotkać wzrok Sawicza, który by natychmiast wszystko, do ostatniego słowa, wyczytał z jej oczu.

- Pokaż się, pokaż - powtarzał Grubin.

Wyrwał jej z rąk poduszkę, zaczął ze wszystkich stron oglądać Helenę Siergiejewnę i cieszyć się, że jest taka młoda i ładna. Potem wciągnął ją za rękę do dużego pokoju i zademonstrował z dumą obecnym, jak swoją narzeczoną. A Ałmaz pośmiał się ze wszystkimi i powiedział, jak ktoś od dawna zadomowiony:

- Heleno, gdzie herbata? Goście są głodni.

Helena Siergiejewna wzięła się w garść, podniosła głowę i wokół niej, jak na szkolnym balu, zawirowały roześmiane twarze. Nawet Wania roześmiał się na widok jej zmieszania. Stopniowo wracała jej pewność siebie, wracał spokój. Spostrzegła, że tylko Sawicz na nią nie patrzy, zagapiony w kwiatuszki tworzące ornament filiżanki - zupełnie tak samo, jak trzydzieści lat temu... Helena nie wyczula w nim poczucia winy i rozterki, uznała więc, że jego również opanowała radość ze spotkania, zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

- Herbata zaraz będzie. Nastawimy duży samowar.

- Pomogę - poderwał się Ałmaz. - Będę w twym domu pełnił obowiązki gospodarza.

- Dobrze - odparła Helena, chociaż miała nadzieję, że to N i kit a zaproponuje jej pomoc. Albo wejdzie, niby przypadkiem, do kuchni, wsunie się boczkiem, stanie pod ścianą i podejmie nie dokończoną rozmowę.

Wania pomagał Helenie i Ałmazowi rozpalić samowar, przy czym ciągle pytał, dlaczego wszyscy są dzisiaj tacy młodzi i weseli? Ałmaz zdumiał się, że dzieciak potrafi wszystkich

rozpoznać. Rozpoznał nawet staruszkę Milicę w pięknej perskiej księżniczce. Ałmaz bardzo się Wani podobał ze względu na swoje bajeczne wymiary i poważny stosunek do niego, to znaczy do Wani.

Misza Standal dyskretnie zapukał i wszedł do mieszkania. Był starannie ubrany, dystyngowany i nieco przypominał młodego Czechowa, przynoszącego do redakcji pierwsze opowiadanie.

- Czy zastałem Helenę Siergiejewnę? - zapytał Helenę Siergiejewnę.

Wania ogromnie ucieszył się z ignorancji gościa, szturchnął babcię w bok i powiedział:

- Ale głupi, babci nie poznał!

- Sensacja - powiedział cicho Standal. - Sensacja stulecia.

Chwycił się za nasadę nosa, jakby chciał zdjąć czechowowskie pincenez.

- Ho, hol - ryknął Ałmaz. - To ma być sensacja? Prawdziwa sensacja jest w tamtym pokoju!

Standal spojrział na Almaza jak Hamlet na ducha swego ojca.

- I pan też? - zapytał.

- Ja też. Idź, idź. Szuroczka też tam jest. Na szczęście nie zmieniła się ani na jotę.

- A ja nie wziąłem aparatu! - zmartwił się Standal. - Wie pan, w głębi duszy...

- Szurał - zagrzmał Ałmaz. - Młody człowiek do ciebie!

Misza uchylił drzwi do pokoju i natychmiast do kuchni wtargnął różnobarwny wodospad dźwięków. Standala powitano niczym spóźnionego, długo wyczekiwanego gościa, który nareszcie przybył na spotkanie absolwentów.

- Młody człowiek! Młody człowiek! - śmiała się dźwięcznie Milica. - Masko, znam cię, a teraz ty zgadnij, kim ja jestem!

- Trzeba nas nakarmić - powiedział Ałmaz zamykając drzwi za Miszą. - Tyle narodu. Masz kartofle?

- Zaraz przyniosę - odparła Helena.

- Sam to zrobię - powiedział Ałmaz. - Siła mnie rozpiera.

Wydostał worek z komórki i wycisnął go trzy razy jak sztangę, co wprawiło Wanię w nieopisany zachwyty.

Ałmaz zajrzał do dużego pokoju i przerywając na moment zabawę powiedział:

- Michał, masz tu dziesiątkę. Weź ją i skocz z łaski swojej do sklepu. Kup kiełbasy i co tam

jeszcze trzeba na śniadanie. Pozostali nie powinni raczej włączyć się bez potrzeby po ulicach. Żeby, znaczy, nie było tej sensacji.

- Pójdę z tobą - powiedziała Szuroczka. - Bo jeszcze kupisz nie to, co trzeba. Mężczyźni zawsze kupują nie to, co trzeba.

Grubin podał Miszy jeszcze jedną dziesiątkę.

- Nie oszczędzaj - powiedział. - Weź jakąś flaszkę, bądź co bądź mamy dziś święto.

- W żadnym razie - powiedziała Szuroczka. - Już ja dopilnuję, żeby tego nie było.

W jej głosie zabrzmiał suchy, ostrzegawczy ton, pewnie podsłuchany u matki.

- Kupcie szampana - powiedziała Helena Siergiejewna.

- Mam pieniądze - zwrócił się Misza do Grubina. - Nie trzeba.

Szuroczka i Misza wzięli wszystkie siatki i torby na zakupy, jakie tylko znalazły się w domu, i wyszli. Ałmaz obierał ziemniaki szybko i fachowo.

- Gdzie pan się tego nauczył? - zapytała Helena Siergiejewna. - W wojsku?

- Miałem trudne życie - odparł Ałmaz. - Przy okazji opowiem. Już od trzystu lat obieram kartofle po więzieniach.

Helenie Siergiejewnie wydało się, że za drzwiami rozległ się śmiech Sawicza.

Drzwi na dwór pozostały uchylone, bo "młodzi ludzie", wybiegając po zakupy, zapomnieli je zatrzasnąć. Przez szparę wpadały promienie słoneczne, wąskim prostokątem kładły się na podłogę, i Helena dokładnie widziała każdą nierówność, każdą szczyrbę w deskach. Do wnętrza wpadła osa i wirowała, połyskując skrzydełkami, tuż przy samych drzwiach, jakby nie mogła się zdecydować, czy warto ryzykować wyprawę w głąb ciemnej kuchni. Nagle osa wyprysnęła do góry i zniknęła, spłoszona ruchem za drzwiami. Świetlisty prostokąt na podłodze rozszerzył się i słońce dotarło do nóg Heleny.

W drzwiach ukazała się malutka sylwetka. Pod słońce nie można było dojrzeć, kto przyszedł. Helena Siergiejewna pomyślała już, że to któreś z sąsiedzkich dzieci, chciała więc podejść i zagrozić mu drogę, bo jeszcze się przecież nie umówili, jak będą się zachowywać.

Malutka figurka zdecydowanie weszła do środka, a słońce przez moment złociło chłopięcy wicherek na czubku głowy. Dziecko zrobiło jeszcze jeden krok i nagle zamachnęło się nogą w wielkim buciorze i kopnęło wiadro z obranymi kartoflami. Wiadro przewróciło się, woda zalała kuchnię, a kartofle rozprysnęły się po kątach.

- Jak ci przyłożę! - powiedział groźnie Wania.

Ale niegrzeczny chłopczyk go nie słuchał, tylko biegał po kuchni i miażdżył buciorkami ziemniaki, które pękały z głośnym chrzęstem i zamieniały się w białą maź. Chłopczyk płakał przy tym z wściekłości, a kiedy trafiał na słońce, jego prześwitujące uszy zamieniały się w malinowe łopaty.

- Kto za to będzie odpowiadał? - wykrzykiwał chłopczyk, starając się mówić basem. - Kto poniesie konsekwencje?

Ałmaz wolno wyprostował swe dwumetrowe ciało, bez pośpiechu, precyzyjnie i zwinnie wyciągnął rękę, chwycił dzieciaka za kołnierz, uniósł do góry i zbliżył do światła. Dzieciak wymachiwał nogami, a zawinięte rękawy koszuli opadły, zasłaniając mu dłonie, jakby ubrany był w bojarski kaftan szyty na wyrost.

- Popatrz, Heleno - powiedział Ałmaz, wolną ręką odwracając twarzyczkę chłopczyka do słońca. - Przyjrzyj mu się uważnie.

Chłopczyk zachłystywał się płaczem, z szeroko rozwartych ust wydobywały się urwane, niewyraźne, żalosne dźwięki, a różowy języczek dygotał jak w febrze.

- Poznajesz? - zapytał Ałmaz, a kiedy Helena pokręciła przecząco głową, powiedział: - Paskudna historia. Albo źle obliczyłem dawkę, albo on ma nietypowy organizm.

- To jest Udałow? - zapytała Helena, zaczynając w jasnowłosej główce rozpoznawać mięsistą męską twarz.

- A kto za to odpowie?! - darł się chłopczyk wyrywając się z rąk Ałmaza.

- Jesteś Korneliuszem? - zapytała Helena i poczuła, że zaraz się roześmieje. Żeby do tego nie dopuścić, nie naigrawać się z ludzkiego nieszczęścia, udała napad kaszlu.

- Nie poznaje mnie pani? - płakał chłopczyk. - Mnie teraz rodzona mama nie pozna! Postaw mnie na podłodze, bo dostaniesz! Kto za to będzie odpowiadał? Zaraz pójdę na milicję.

Gniew chłopczyka na nikim nie zrobił wrażenia, gdyż każdy widział przede wszystkim cieniutką dziecięcą szyjkę i wielkie uszy przeświecające w promieniach słońca.

- Grubin! - krzyknął Ałmaz. - Gdzie masz twoje protokoły? Trzeba ten wypadek odnotować.

- To okrutne z pana strony, Ałmazi Fiedotowiczu - powiedziała Helena.

Grubin już wszedł do kuchni i stanął tuż przy progu. Za nim, nie spędziwszy jeszcze uśmiechów z twarzy, wbiegli pozostali. Udałow na widok ich młodości i urody rozpaczliwie załkał.

- A ty znów miałeś pecha, Korneliuszu - powiedział ze współczuciem Grubin.

Kiedy Korneliusz mówił, że pójdzie na milicję, nie była to czcza pogroźka. Już był w komisariacie.

Obudził go promień słońca, który przebił się przez zamknięte powieki i przyniósł ze sobą dojmujący niepokój.

Udałow otworzył oczy ! przez chwilę leżał nieruchomo, gapił się na wymagający od dawna malowania sufit i usiłował zorientować się, gdzie jest i co się z nim dzieje. Potem, jak na taśmie filmowej puszczanej od tyłu, ujrzał swe przyjście do Heleny Siergiejewny, następnie kłótnię z żoną, a wreszcie opowieść starca i paskudną historię z zapadliskiem.

Obrócił się na bok. Połówka skrzywnęła, zachwiała się. W kącie obok pieca posapywał w swym łóżeczku malutki Wania... Udałow uniósł zagipsowaną rękę, a wtedy ku jego zdumieniu gips lekko zsunął się z niej i upadł na podłogę.

Ręka była malutka, cieniutka, dziecinna i słabiutka.

Z początku uznał to za sen, zamknął więc oczy i ponownie otwierał je wolniutko, powtarzając w duchu, że nie trzeba wierzyć snom. Ręka była na miejscu, tak samo maleńka.

Udałow zeskoczył na podłogę i ledwo zdołał utrzymać się na nogach. Postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że wykonuje jakiś taniec wojenny - unosi ręce i nogi, wyrzuca je gorączkowo na boki, obmacuje kończyny i całe ciało - przy czym bezgłośnie i rozpaczliwie łka. W rzeczywistości Udałowowi nie tańce były w głowie, lecz po prostu takim dziwnym i nerwowym sposobem uświadamiał sobie nieszczęście, jakie tej nocy przytrafiło mu się z winy staruszka i całej pozostałej bandy.

Wania powiedział coś przez sen, a przerażony Korneliusz znieruchomiał na jednej nodze. Nagle ogarnął go strach, pragnienie wyrwania się z zamkniętego pomieszczenia, gdzie mogą go zobaczyć, zdziwić się, stwierdzić przemianę solidnego mężczyzny, ojca dzieciom w szczuplutkiego ośmioletniego blondaska. Zastanowić się nad sytuacją można będzie później...

Dziecięce ciało marzło w spadającej z ramion koszuli i w spodniach od pizamy, które trzeba było przytrzymywać ręką, aby zupełnie nie spadły.

Udałow wygrzebał spod łóżka swoje buty i utopił w nich nogi. Pantofle były strasznie ciężkie i trzeba było końce sznurowadeł zawiązać pod kolanami. Najwięcej kłopotu sprawiały niebieskie spodnie. Jak by ich nie podwijając, wciąż były za długie, za obszerne i okropnie śmieszne. Korneliusza opanowało uczucie kompletnego osamotnienia na tym świecie.

Wania znów poruszył się w swym łóżeczku, a zza ściany dobiegło senne westchnienie Kastielskiej.

Udałow przystawił krzesło do okna, przepelznął na brzuchu przez parapet i zwałił się w łopiany pod ścianą...

Długo i bez celu włóczył się po pustych, chłodnych ulicach śpiącego jeszcze Guslaru. Kiedy wyprzedzały go rzadkie ciężarówki lub autobusy wyjeżdżające na trasę, przyciskał się do płotów, dawał nura w bramy i otwarte furty. Szczególnie pilnie strzegł się przechodniów. W głowie kłębiły mu się mgliste, zawzięte i niekonkretne myśli. Należało kogoś pociągnąć, żeby ktoś poniósł konsekwencje i zaprzestał...

Udałow ukrył się wreszcie na skwerze obok cerkwi Paraskewy Płatnicy, w której mieściło się archiwum powiatowe. Tam zebrał myśli. Siedział w krzakach, niewidoczny z ulicy, i usiłował opracować plan działania. Wstające razem ze słońcem pracowite owady ufnie siadały mu na głowie i ramionach. Najbardziej ufne i nieostrożne Udałow rozgniewał, i myślał. Nisko przeleciał rozkładowy AN2 do Wołogdy. W kierunku bazaru przejechał źle nasmarowany wóz z prosiętami pokwikującymi w workach. Udałow myślał dalej. Można było wrócić do Heleny Siergiejewny j zagrozić zdemaskowaniem. A co będzie, jeśli oni odżegnają się od niego, jeśli to wszystko było z góry ukartowane? A skoro tak, to po co? A więc i zapadlisko było ukartowane? Ukartowane jako część gigantycznego spisku z udziałem Marsjan? Udałow poszedł na pierwszy ogień, a potem zaczął się przekształcanie w dzieci działaczy powiatowych, wojewódzkich i wreszcie funkcjonariuszy organów centralnych... Pójdzie tam, a oni wyprą się lub nawet zlikwidują niewygodnego świadka! Kto będzie szukał chłopczyka bez rodziców i meldunku? Przecież żona nie zechce rozpoznać w nim ślubnego małżonka. Może podnieść alarm? Pobiec na milicję? W takim stroju?... Pytań było wiele, ale odpowiedzi na razie brakowało.

Udałow zbił na ziemię przelatującą w pobliżu pszczołę, która przed śmiercią zdążyła jeszcze wbić mu żądło w dłoń. Dłoń spuchła. Ból, wędrując włóknami nerwowymi, dotarł do mózgu i po drodze przekształcił się w ślepy gniew, który uniemożliwiał trzeźwe myślenie i doprowadził do powzięcia nierozsądnej decyzji: natychmiast zawiadomić kogo należy, uderzyć w dzwon alarmowy. Wtedy oni będą się mieli z pyszna. Udałowa pozbawiono rzeczy mu najbliższej i najcenniejszej - ciała, które teraz będzie musiał ponownie hodować przez wiele lat, pokonując znużające szczeble dzieciństwa i młodości.

Udałow podniósł się gwałtownie z ziemi, przy czym opadły mu spodnie od piżamy. Pochylił się, aby je podnieść, i wtedy spostrzegł, że alejką o parę kroków od niego idzie chłopczyk w tym samym, co on obecnie wieku, z odstającymi uszami i perkatym nosem. Chłopczyk był ubrany w granatowe spodenki do kolan, a w ręku miał siatkę na motyle. Chłopczyk był zdumiewająco znajomy. Chłopczyk był Maksymkiem, rodzonym synem Korneliusza Udałowa.

- Maksym! - powiedział Udałow rozkazującym tonem. - Chodź no tutaj!

Jednak głos zawiódł Udałowa. Nie był głośny - był cienki.

Maksymek zdziwił się i przystanął.

- Chodź tutaj - powtórzył Udałow senior.

Chłopiec nie widział ojca zasłoniętego krzakami, ale w wołającym go głosie usłyszał ton człowieka dorosłego i nie ośmielił się sprzeciwić. Jak zahipnotyzowany zrobił krok w stronę

krzewów.

Udałow wyciągnął rękę, chwycił za sterczący do przodu kijek od siatki i przebijając rękami, choć spuchnięta dłoń bolała i piekła, zbliżył się do dziecka, jakby wspinał się po linie.

- Co ty tu robisz o tej porze? - zapytał pozbawiwszy syna możliwości ucieczki.

- Wybrałem się na motyle - odparł Maksymek.

Gdyby tę scenę obserwował ktoś postronny, kto w dodatku potrafiłby unieść się w powietrze, mógłby stwierdzić zdumiewające podobieństwo chłopców, trzymających za dwa końce siatki. Ale nikogo w pobliżu nie było.

- A gdzie matka?

W duszy Udałowa przebudziły się uczucia rodzinne, zrodzone przez wspomnienie aromatu porannej kawy i skwierczenia jajecznicy.

- Matka płacze - powiedział spokojnie Maksymek. - Ojciec od nas uciekł.

- Tak - mruknął Udałow i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że syn nie traktuje go jak ojca, że rozmawia z nim jak z rówieśnikiem, i że w ogóle nie ma już dawnego Udałowa. Jest po prostu niczyje dziecko. Zdał więc sobie z tego sprawę i ponownie zapłonął sprawiedliwym gniewem. Aby dać mu ujście, musiał złożyć ofiarę z syna.

- Zdejmuj spodnie - powiedział do chłopca.

Nie podtrzymywane już spodnie od piżamy znów opadły na ziemię i Korneliusz stał teraz przed synem w długiej koszulce gimnastycznej, podobnej do sarafanu lub nocnej koszuli.

- Idź sobie - powiedział chłopiec niepewnym tonem do swego sobowtóra. Nikt go dotąd ani razu nie obrabował i dlatego nie wiedział, co należy w podobnej sytuacji mówić.

Udałow senior westchnął i rąbnął syna w nos twardą piąstką. Nos natychmiast poczerwieniał, spuchł i uronił kropelkę krwi, która spadła na białą koszulkę.

- A co będzie ze mną? - zapytał dzieciak, który pojął już, że spodenki trzeba będzie oddać.

- Weźmiesz moje - odparł Udałow. - Moje są większe. Majtki też ściągaj.

- Bez majtek nie można chodzić - upierał się chłopczyk.

- Jeszcze ci mało? Zapomniałeś, jak ci przedwczoraj dałem w skórę?

Maksymek zdziwił się. Przedwczoraj od nikogo, poza ojcem, w skórę nie dostał.

Biała koszulka sięgała Maksymkowi tylko do pępka, wobec czego zasłonił się podniesionymi z

ziemi, zwiniętymi spodniami od piżamy.

- Z tych spodni zrobimy ci trzy pary - powiedział łagodnie Udałow zakładając granatowe spodni. - A teraz leć i powiedz Kseni, żeby się nie martwiła. Wróć. Jasne?

- Jasne - odparł Maksymek, który niczego nie zrozumiał. Osłaniając się od przodu zwiniętą piżamą pobiegł ulicą, a jego bielutkie pośladeczki żałośnie podrygiwały przy każdym kroku wyzwalając w ojcu gorzkie uczucie osierocenia.

23

Dyżurny oficer komisariatu popatrzył na kobietę, która nieśmiało oparła się biustem o drewnianą, rozklekotaną barierkę. Łzy zostawiły na jej policzkach iskrzące się kryształki soli.

- Syna mi obrabowali - powiedziała interesantka. - Dopiero co. I mąż uciekł. Udałow. Z przedsiębiorstwa budowlanego. W jasny dzień, na skwerze.

- Zbadamy sprawę - powiedział oficer. - Tylko proszę po kolei.

- On ma złamaną rękę, w gipsie - powiedziała kobieta patrząc na dyżurnego wzrokiem domagającym się natychmiastowego działania. Słonymi drózkami popłynęły nowe strumienie łez.

- Kto ma złamaną rękę? - zapytał oficer.

- Korneliusz. Mam tu zdjęcie, przyniosłam ze sobą. Kobieta podała oficerowi amatorską, szarą fotografię.

Na zdjęciu można się było domyślić, że stojąca w centrum postać to ona. Oprócz niej był tęgi, zamazany mężczyzna i dwoje dzieci.

- W jasny dzień - kontynuowała kobieta. - Akurat wybierałam się do was, bo sąsiedzi poradzili, a tu nagle przylatuje Maksymek, bez spodni, granatowe były. I to przynosi.

Kobieta szerokim gestem siewcy rzuciła na barierkę spodnie od męskiej piżamy.

Oficer popatrzył na nią wzrokiem zaszczutego zwierzęcia.

- Może to pani wszystko napisze? - zaproponował. - Po kolei. Gdzie, kto, co komu zabrał, kto dokąd uciekł. Po kolei, tylko proszę się nie denerwować.

Mówiąc to podszedł do karafki z przegotowaną wodą, nalał do musztardówki i podał interesantce.

Kobieta piła i natychmiast wylewała wodę w postaci obfitych łez, nie chciała niczego pisać i wciąż usiłowała opowiedzieć dyżurnemu co bardziej malownicze szczegóły, pomijając sedno sprawy.

Po jakichś dziesięciu minutach oficer wreszcie zorientował się, że dwa tragiczne wydarzenia, które dotknęły rodzinę Udałowów, nie mają ze sobą żadnego związku. Mąż zaginął wieczorem, a właściwie w nocy, przyszedł ze szpitala, powołał się na pilną delegację i zniknął w piżamie. Syna natomiast obrabowano rankiem, dopiero co, na skwerze przy cerkwi Paraskewy Piatnicy, a rabunku dokonał małoletni przestępca.

Uzyskawszy te informacje, dyżurny zadzwonił do szpitala.

- Macie tam pacjenta nazwiskiem Udałow? - zapytał.

Począł na odpowiedź, podziękował. Pomyślał chwilę, a potem zadał jeszcze jedno pytanie:

- A nie mieliście zamiaru go wypisać? Ach, tak. W nocy? O dwudziestej trzeciej? Rozumiem.

Następnie zwrócił się do Kseni:

- Prawdę powiedzieliście, obywatelko. Wasz małżonek uciekł ze szpitala i udał się w niewiadomym kierunku. Personel medyczny przypuszczał, że do domu. A wy sądzą, że nie?

- Tak właśnie myślę - odparła Ksenia. - W dodatku syna obrabowali. Piżamę mu zostawili.

Oficer rozłożył spodnie od piżamy na biurku.

- Pochodzą z dorosłego człowieka - powiedział. - A wy mówicie, że dzieciak rabował.

- Sama tego nie rozumiem - zgodziła się Ksenia. - A synek jest taki prawdomówny. Cichy i posłuszny. Spodenki były zupełnie nowe. Całkiem jak na tym tu.

Obywatelka Udałowa wskazała palcem chłopca w granatowych spodenkach, który właśnie wszedł do środka i w popłochu cofnął się na jej widok.

Ksenia nie poznała swego męża. Nie poznała też spodenek, należących dawniej do Maksyma, gdyż na Korneliuszu leżały one jak ulał.

- No to jak, napiszecie swoją skargę? - zapytał oficer.

- Napiszę. Wszystko napiszę - powiedziała Ksenia. - Tylko polecę do domu i tam napiszę. Dzieciaki muszą najpierw nakarmić.

Słyszając taki dowód troski żony o pomyślność rodziny Korneliusz omal nie zalał się łzami skruchy, ale opanował łkanie, nie chcąc przedwcześnie zwracać na siebie uwagi.

- Czego chcesz, chłopcze? - zapytał oficer, kiedy Udałowa wyszła pisać meldunek i karmić

dzieci.

Udałow, drapiąc się w spuchniętą dłoń, podszedł do barierki. Jego jasnowłosa główka ledwie wystawała znad przegrody i musiał wspiąć się na palce, żeby porozmawiać z oficerem dyżurnym.

- Nie czego chcesz, tylko czego pan sobie życzy - poprawił go. Kiedy był zajęty czymś innym, jakoś zapominał o swoich prawdziwych wymiarach.

- No dobrze, czego pan sobie życzy - zgodził się oficer. - Gadaj, smarkaczu.

- Sprawa najwyższej wagi państwowej - powiedział Udałow i poczuł skrępowanie.

- Zuch - powiedział dyżurny. - To dobrze, kiedy dzieci myślą o wielkich sprawach. Popatrzcie, sierżancie, my w jego wieku interesowaliśmy się wyłącznie futbolem.

Sierżant siedzący w przeciwległym kącie zgodził się ze swym zwierzchnikiem.

- Ja chcę bliżej - powiedział Udałow. - Za barierkę.

- Właż, siadaj i zaczynaj - zezwolił oficer. - Zaczynaj, bo mi się dyżur kończy. Pora do domu. Żona czeka, rozumiesz?

Udałow znakomicie to rozumiał i ze współczuciem skinął głową.

Oficer popatrzył na chłopczyka z takim samym współczuciem. Nie miał dzieci, ale je bardzo lubił, i chociaż sprawa chłopczyka dotyczyła na pewno jakiejś drobnej niesprawiedliwości, nie miał zamiaru go lekceważyć i chciał wysłuchać jak dorosłego.

- Istnieje spisek - powiedział Udałow. - Nie wiem jeszcze, kto go finansuje, ale całkiem możliwe, że to wcale nie Marsjanie.

- Ale zalewa - powiedział sierżant wstając z krzesła i podchodząc bliżej.

- Szpiega widziałeś? - zapytał łagodnie oficer.

- Proszę mnie wysłuchać! - wykrzyknął chłopczyk i w jego oczach ukazały się łzy. - Powiadam, że jest spisek. Sam jestem tego dowodem.

Dyżurny mrugnął ukradkiem do sierżanta, ale chłopczyk zauważył to i powiedział surowym tonem:

- Tylko proszę bez mrugania, towarzyszu lejtnancie. Oni teraz omawiają dalsze plany. Mnie załatwili, a co będzie dalej, aż strach pomyśleć. Całkiem możliwe, że teraz przyjdzie kolej na czołowych funkcjonariuszy administracji powiatu i województwa.

- Ale zalewa - powiedział sierżant zupełnie cicho. Pomyślał, iż życie toczy się w coraz szybszym tempie, i jeśli uważnie czytać prasę, to można stwierdzić, że w krajach zachodnich choroby

psychiczne nabrały alarmującego zasięgu. Teraz zabierają się do nas. A dzieciaka szkoda.

- No, a jak się nazywasz, chłopcze? - zapytał oficer.

- Udałow - odparł chłopiec. - Korneliusz Udałow. Mam czterdzieści lat.

- Taak - przeciągnął lejtnant.

- Jestem żonaty - powiedział Udałow i jego malutka twarzyczka zaróżowiła się. - Mam dwoje dzieci. Syn Maksynek chodzi już do szkoły.

W tym momencie Udałowa nawiedziły wspomnienia o przestępstwie, jakiego dopuścił się wobec własnego syna, i zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Taak - powtórzył lejtnant. - A więc też Udałow. Nieoczekiwanie jego wzrok stał się ostry i przenikliwy.

Pomilczał chwilę, a potem zapytał ostrym tonem:

- A spodnie w parku z ciebie zdjęli?

- Jakie spodnie?

- A twoja mamusia przychodziła na skargę?

- Przecież ona mnie nie poznała! - wykrzyknął Udałow błagalnym tonem. - Dlatego że nie jestem jej synem, tylko mężem. Ale zamienili mnie w dziecko, w chłopczyka. Właśnie o tym mówię. A wy nie wierzycie. Gdybym był synem, to by mnie poznała. A ja jestem mężem, więc mnie nie poznała. Jasne?

- Ale zalewa - powiedział sierżant i ruszył wolno ku drzwiom, aby z drugiego pokoju zadzwonić po pogotowie.

- Lepiej idź do jego matki. Ona zostawiła tu adres - powiedział lejtnant domyśliwszy się zamiarów sierżanta. - Zresztą poczekaj, dzieciaka trzeba najpierw umieścić w izbie dziecka.

- Nie! - wrzasnął Udałow. - Ja tego nie zniosę! Ja mam dowód osobisty, co prawda, nie przy sobie. Ja wam opowiem takie intymne szczegóły ze swego życia! Jestem dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego!

Oficer opuścił wzrok, aby nie patrzeć w oczy chorego dziecka. Cóż mógł powiedzieć poza banalnymi słowami współczucia? Zresztą nawet te słowa mogły jeszcze bardziej zdenerwować dzieciaka, który ubzdurał sobie, że jest Udałowem.

Sierżant zrobił krok w kierunku chłopczyka, ale Udałow głośno płacząc i wykrzykując niejasne groźby, że potrafi dotrzeć do Wołogdy, a nawet do Moskwy, zeskoczył z krzesła, załomotał ciężkimi buciorami, prześlizgnął się między rękoma sierżanta, uskoczył przed lejtnantem i wymknął się za

drzwi, a następnie oderwał się od pościgu między stertami gruzu i rozmaitego budowlanego śmiecia, zalegającymi podwórko pracowni konserwacji zabytków...

Umiejętność ścisłego myślenia jest zjawiskiem rzadkim i niekoniecznie cechującym uczonych. Ta właściwość zakłada obiektywizm wewnętrzny i pragnienie dotarcia do prawdy. Udałow nie dysponował taką umiejętnością, gdyż stać się chłopczykiem, kiedy człowiek nastroił się na przekształcenie w pełnego sił młodzieńca, jest zbyt krzywdzące i wstydlive. Dlatego wyobraźnia Udałowa, bogata, lecz nieco rozwichrzona, zamieniła doświadczenie na spisek, a ów spisek potężniał w miarę tego, jak zasapany Korneliusz biegł coraz dalej w miasto, płosząc po drodze kury i gęsi. Niebawem już zaczęło mu się wydawać, że spiskowcy w czarnych maskach podkradają się do węzłowych punktów sieci wodociągowej i trucizna przenika do wody, piwa, wódki, a nawet do kropli na katar.

Budzi się kraj rano i stwierdza, że nie ma w nim już ludzi dorosłych. Jedyne dzieci, płacząc się w spodniach i sznurowadłach, wychodzą z płaczem na ulicę. Komunikacja została sparaliżowana, gdyż dziecięce nóżki nie mogą dosięgnąć pedałów hamulca. Zatrzymały się obrabiarki, bowiem dziecięce rączki nie potrafią udźwignąć ciężkich detali. Jakiś chłopczyk rozpaczliwie łka na rogu - dziś miał zamiar przejść na emeryturę, a co teraz? Płacze dziewczynka - miała dzisiaj wyjść za mąż, a co teraz? Płacze inna dziewczynka - chciała jutro lecieć w kosmos. Płacze inny chłopczyk - jeszcze wczoraj podrzucił sztangę wagi dwustu kilogramów, a dzisiaj nie może podnieść nawet dwudziestu. Chłopiec-milicjant usiłuje dwiema rączkami unieść pałeczkę, którą jeszcze wczoraj regulował ruch. Dziewczynka-baletnica nie może wspiąć się na palce, chłopczyk-bas, śpiewak operowy, tylko piszczy... A wrogowie złośliwie chichoczą, szepczą z podstępą satysfakcją: "Teraz nie dacie rady wgramolić się do czołgów i obronić przed nami waszej ojczyzny"...

Wtedy właśnie, w miarę tego, jak w jego wyobraźni płowiał i rozsypywał się straszliwy obraz totalnego odmłodzenia, Udałowa zaczęła opanowywać nowa myśl: a może już się zaczęło? Może on nie jest jedyną ofiarą podstępnego starca? Może oni wszyscy - i Kastielska, i Szuroczka Rodionowa, i przyjaciel Grubin, i nawet podejrzana staruszka Bakszt - stali się dziećmi? Zdziecinnieli i z płaczem pukają do drzwi Kastielskiej...

Nowa myśl uderzyła Udałowa swą prostotą i oczywistością, podpowiedziała metodę dalszego postępowania.

Do domu Kastielskiej zbliżał się z całą ostrożnością i bawiącym się na chodniku dzieciom przypatrywał się z obawą i nadzieją - każdy dzieciak mógł okazać się Heleną Siergiejewną lub jego przyjacielem Saszą Grubinem. Zresztą w ogóle dzieci w mieście było bardzo dużo, więcej niż wczoraj. Ten fakt Udałow skłonny był również złożyć na karb spisku starca z Marsjanami, a nie na karb ładnej pogody, jak było w istocie.

Ale wystarczyło wejść do sieni, aby wszystkie iluzje rozwiały się jak dym. Ucierpiał tylko Udałow.

Przed Udałowem stał kubek kakao i bułka grubo posmarowana wołogodzkiem masłem. Na talerzu pośrodku stołu piętrzył się cukier w kostkach. W głębokiej misce parowały kartofle.

O Korneliusza troszczono się, współczuły mu piękne kobiety, które częstowały go szampanem w naparstku, mężczyźni zaś leciutko poklepywali po plecach, żartowali i też współczuli. Tutaj nikt przynajmniej nie powątpiewał w tożsamość Udałowa. Udałow wziął się w garść i poczuł się niczym samotny zwiadowca w jaskini podstępного wroga. Każdy nieostrożny krok groził wyspą. Udałow uśmiechał się powściągliwie.

- Czyżby nie było żadnego remedium? - szeptała Milica do Grubina, który zerkał pytająco na Ałmaza, Ałmaz zaś rozkładał nad stołem swe potężne ręce. Może gdzieś, na dalekiej gwiazdzie, taka odtrutka już dawno została wypróbowana i można ją kupić w każdej aptece. A na Ziemi na razie nie jest potrzebna. Ałmaz czuł się trochę winny, ale zbytnio nie żałował Udałowa: dostał człowiek dodatkowe dziesięć lat życia. Potem zrozumie to, uspokoi się. Innemu powinno to szczęście przyspaść w udziale, serdecznie by za nie podziękował.

- Nie przedawkowałeś? - zapytał Grubin.

- Nie - odparł Ałmaz myśląc tymczasem o czymś zupełnie innym, o tym, jak siedział w celi na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Razem z nim siedział były student, który chodził w lud. Ałmaz bardzo rwał się wówczas na wolność, bo chciał napoić studenta, człowieka skrajnie wyczerpanego, gruźlika, dać mu eliksir, zwrócić życie i zdrowie. Ale student umarł, spalił się, wypluł płuca...

- A po ile trzeba? - dopytywał się Grubin.

- Zajrzyj do zeszytu, tam wszystko jest zapisane - odpowiedział Ałmaz.

Grubin kartkował brulion poruszając bezdźwięcznie wargami, a potem znów zapytał:

- A nie pomyliłeś się przypadkiem?

- Nalałem mu tyle samo, co i pozostałym - odparł Ałmaz.

- A może on sam? - zapytała Szuroczka.

- Wypiłem tylko swoją filiżankę - powiedział szybko Udałow i poczuł, że ma wypieki. Czerwienił się zawsze, gdy kłamał. Dopił porcję Szuroczki, pozlewał resztki z pozostałych naczyń, gdyż obawiał się, że go oszukano, że jego porcja będzie za mała.

- Wisienkę zjadłam, a pestkę wyplułam za okno - powiedziała Szuroczka. Szybko przywykła do myśli, że Udałow jest tylko dzieciakiem, i odpowiednio go traktowała.

- Przecież mówię, że nie piłem - powiedział Udałow i nieoczekiwanie się rozplakał. Uciekł zza stołu, rozmazując łzy piąstkami. Helena Siergiejewna popatrzyła na Szuroczkę z wyrzutem,

pokręciła głową. Ałmaz zauważył to i uśmiechnął się pod wąsem, gdyż gest Heleny Siergiejewny należał do przeszłości i zupełnie nie pasował do jej obecnego wyglądu.

Grubin wciąż przeglądał brulion staruszka. Interesował go skład dekoktu, chociaż z notatek dokonanych przed wieloma laty trudno się było czegokolwiek dowiedzieć. Sawicz zerkał z ukosa na Helenę i od czasu do czasu przeciągał dłonią po włosach, jakby gładził łysinę. Sawicz był zakłopotany, gdyż całkiem niedawno, wczorajszej nocy pozwolił sobie na iluzję, że gdy tylko odmłodnieje, natychmiast rozpocznie nowe życie, odejdzie od Wandy, wróci do Heleny i powie jej: "Przed nami nowe życie, Lenoczka. Spróbujmy zapomnieć o wszystkim, wszak jesteśmy sobie nawzajem potrzebni". Albo coś równie pięknego. Teraz zaś, obudziwszy się rano w szerokim łóżku, ujrzał obok siebie jędrną, młodą i różową Wandę, tę samą, dla której przed wieloma laty porzucił Helenę, i znów znalazł się w ślepych zaułku. Co powiedzieć Helenie? Z pewnością czeka na jakieś jego słowa. A Wanda? Kto mógł przypuścić, że ona również odmłodnieje? A poza tym jest przecież jego małżonką.

I Sawicz poczuł złość do staruszka Ałmaza, który postawił go w tak niezręcznej, dwuznacznej sytuacji.

Helena też zerkała na Sawicza, ale myślała o czymś innym. Myślała o tym, że transformacja, jakiej ulegli, jest oszustwem. Oszustwem wprawdzie nie oczywistym, lecz jednak najprawdziwszym w świecie. Przecież w istocie nikt z nich, z wyjątkiem być może staruszki Milicy, która niemal zupełnie zdziecinniała i straciła pamięć, nie stał się naprawdę młody. Pozostała pamięć o przeszłości, pozostały przyzwyczajenia nabierane od lat, pozostały rozczarowania, smutki i radości, od których nie można się uwolnić nawet wtedy, gdy człowiek wygląda na osiem lat, jak Udałow.

Na przykład Sawicz. Siedzi, a w oczach poczucie krzywdy i zagubienia. Ale owo poczucie krzywdy i zagubienia nie cechowało Sawicza-młodzieńca, lecz narastało stopniowo, jako skutek wiecznego niezadowolenia z siebie, ze swej pracy, swego mieszkania, tyranii własnej żony. I nawet gest, którym Sawicz przygląda włosy, zjawił się wraz z łysiną, wraz z goryczą i obawą przed zbyt szybkim i okrutnym upływem czasu.

Jeśli trzydzieści lat temu można było siedzieć we dwójką na ławeczce, całować się., patrzeć w rozgwieżdżone niebo, zdumiewać się pięknnością świata i świeżością swoich uczuć, to teraz coś takiego było nie do pomyślenia. Choćby nie wiem jak starała się oszukać samą siebie, nigdy nie wyzwoli się od obrazu tęgiego, wciąż zasapanego, łysiego prowizora.

Odmłodzenie było iluzją, ale Helena nie potrafiła jeszcze dociec, na ile ta iluzja była potrzebna i komu była potrzebna. Na razie przyszłość ją przerażała. Nie tyle ze względu na konieczność przeżycia dodatkowych kilkudziesięciu lat, ile z powodu życiowych komplikacji wynikających z odmłodzenia.

- Dziewięć osób zażyło eliksir - powiedział rzeczowo Grubin zatrzaszkując brulion. - Kontrolna dwójka, jak było do przewidzenia, pozostała bez zmian. Reszta odmłodziła. Jeden nawet za bardzo.

Udałow zaniósł się głośnym płaczem. Nawet Wania go pożałował, wziął piłkę i poszedł do małego pokoju pocieszać smutnego chłopczyka.

- Mimo wszystko procent jest wysoki - zauważył Sawicz.

- Najważniejsze jednak, że eksperyment się udał. A to otwiera przed ludzkością szerokie perspektywy, na nas zaś nakłada wielkie obowiązki. Przecież butla się rozbiła.

- Wątpię, żeby nam uwierzono - powiedział Sawicz. - To wszystko jest zbyt nieprawdopodobne.

- Z pewnością nam uwierzą - zaproponował Grubin. - Jest nas dziewięcioro. Poza tym mamy dokumenty, mamy własne wspomnienia, mamy ludzi, których możemy powołać na świadków. Przecież my, starzy, gdzieś się podzieliśmy. Nie, będą musieli nam uwierzyć.

- Nie uwierzą - powiedział Udałow, który tymczasem wszedł do pokoju, aby pozbyć się poniżającego towarzystwa dzieciaka z piłką. - Powiem prawdę, już byłem na milicji. Nie uwierzyli. O mało nie oddali mnie mamie, to znaczy mojej żonie. Trzeba było uciekać.

Udałow skruszonym tonem zrelacjonował swe przygody. Po wysłuchaniu pełnego pasji monologu Grubin zrozumiał nagle, że Korneliusz padł ofiarą pomyłki, ofiarą swego wyjątkowo złośliwego pecha.

- Ech, Udałow, Udałow... - powiedział wreszcie Grubin. - Kiedy ty wreszcie dorośniesz?

- Za jakieś dziesięć lat - powiedziała Szuroczka i zachichotała.

- Szuroczka! - skarciła ją Helena.

- Tylko byście się z człowieka nabijali - powiedział Udałow. - A ja zostałem bez pracy i bez rodziny. Jak mam wykonywać swoje obowiązki służbowe i rodzinne? Utrzymywać żonę i dzieci, składać sprawozdania zwierzchności?

- Tak - powiedział Grubin. - Trudna sprawa, i na milicję teraz nie można pójść, nie można poprosić o pomoc. Udałow im tak zamieszał w głowach, że natychmiast zadzwonią po pogotowie i sanitariuszy z kaftanami bezpieczeństwa. Inne organy też z pewnością zostały uprzedzone. Musimy jechać do Moskwy, wprost do Akademii Nauk. Wszyscy razem.

- Już? - zapytała Milica z rozczarowaniem w głosie. - A ja chciałam trochę pożyć bez kłopotów, chciałam użyć życia.

- W Moskwie będziesz miała większe możliwości - powiedział Ałmaz. - Tylko będziecie musieli obejść się beze mnie. Dobiję do was później, a tymczasem muszę wrócić do swojej pracy.

- Jakże to tak? Bez ciebie nie da rady niczego naukowo objaśnić.

- Moje objaśnienia nie mają nic wspólnego z nauką.

- A co to za sprawy, jeśli nie sekret? - zapytała nagle Helena.

- Pytasz tak, jakbym przez te trzysta lat dochrapał się co najmniej stanowiska ministra. Muszę cię rozczarować. Osiadłem na Syberii i pracuję tam w inspekcji rybackiej. Jest tam pewna fabryka, która zatruwa rzekę, spuszcza do niej rozmaite paskudztwa. Niedługo nie będzie ani jednej ryby. Kiedyś, wolniejszym czasem, opowiem, jaką walkę toczę z nimi już od czterech lat. Dotarłem nawet do KC, ale wiek dawał mi się we znaki, starcza niemoc. Teraz ich zniszczę. Będą tańczyć, jak ja im zagram. Naczelnym inżynier albo założy filtry, albo pójdzie do piachu zamiast mnie. Jestem człowiekiem bezwzględny, życie mnie tego nauczyło...

Ałmaz położył rękę na ramieniu Heleny, która nie miała nic przeciwko temu. Ręka była ciężka, gorąca, silna. Sawicz odwrócił się, bo ten gest sprawił mu przykrość.

- Powinien się pan uczyć, Almazie Fiedotowiczu - powiedziała Milica. - Wówczas może zostanie pan ministrem.

- To nie jest wykluczone - zgodził się Ałmaz. - Ale najpierw naczelnemu inżynierowi zaleję sadła za skórę i was wszystkich zaproszę na znakomitą zupę rybną. Zgoda?

Grubin, który tymczasem uklęknął pod stołem i usiłował oderwać drzazgę przesyconą eliksirem, zapytał stamtąd:

- A za czyje pieniądze mamy jechać do tej Moskwy?

25

Nikt już nie wątpił, że trzeba jechać do Moskwy. Słowo “trzeba”, gdy już raz padło, opanowało wszystkie umysły. Ludzie żyli, starzeli się, zajmowali się własnymi sprawami i nie wiązali swych losów z losami ludzkości. Nawet wtedy, kiedy wyrażali zgodę na udział w niezwykłym eksperymencie, robili to z najrozmaitszych powodów, które jednak nie miały nic wspólnego z przyszłymi losami ludzkości. Kiedy jednak okazało się, że tajemniczy eliksir rzeczywiście działa, na ludzi spadł nagle ciężar odpowiedzialności, bez względu na to, czy tego chcieli, czy też nie. Zresztą, co można zrobić, jeśli podobny sekret nagle wpada do rąk? Wyjechać do innego miasta, żeby spokojnie przeżyć jeszcze jedno życie? Ałmaz do tej pory tak właśnie robił, chociaż kolejne życia przeżywał niespokojnie, w stałym napięciu i gorączkowej działalności. Nie mógł jednak zwrócić się do ludzi, podzielić się z nimi tajemnicą. Lękał się to uczynić, gdyż zniszczyliby go, zabrali tajemnicę, pobili się o nią. Tak mówił Przybysz. Wtedy jednak Ałmaz był sam, a teraz był jednym z dziewięciorga.

Słowo “trzeba”, skoro nie jest narzucone z zewnątrz, lecz rodzi się samo, składa się z nader różnych słów i myśli, tak różnych, że czasem trudno dotrzeć do jego źródeł. Grubin na przykład od pierwszej chwili traktował wszystko jako czysto naukowy eksperyment i nie zmienił swego zdania. Jednak, kiedy odmłodził i uświadomił sobie całą nędzę swego poprzedniego życia, obudził się w nim prawdziwy uczonec, dla którego istota odkrycia tkwi w możliwości jego spożytkowania.

Udał się do Moskwy, przyczynił się do powstania stanu konieczności, gdyż był przekonany, że w Moskwie są bardzo dobrzy lekarze. Jeśli zdoła do nich dotrzeć, to wyleczą go z dzieciństwa, przywrócą mu prawdziwą postać. Jego "trzeba" było czysto egoistyczne.

Sawicz nie miał ochoty stać się królikiem doświadczalnym, tym bardziej że przez swoje gapiostwo dopuścił do objęcia kierownictwa eksperymentu przez Grubina. Stało się tak, gdyż z początku myślał wyłącznie o spotkaniu z młodą Heleną. Spotkanie nie wiadomo czemu nie doszło do skutku, ale to jeszcze nic straconego. Zresztą nie zamierzał wracać do swej guslarskiej apteki.

Helena Siergiejewna nie była zbyt zadowolona z wyników doświadczenia, ponieważ uważała, że życie ma już za sobą i zaczynanie go od początku jest niepoważne. Jednak jako człowiek przywykły do odpowiadania za swe czyny, była nawet bardziej niż pozostali skłonna poddać się wszelkim badaniom, nie bacząc na niewygody i przykrości, aby przynieść korzyść społeczeństwu. Swoje obowiązki zawsze, najpierw w szkole, a potem w muzeum, starała się spełniać jak najrzetelniej.

Szuroczka i Milica, mimo różnicy wieku, myślały mniej więcej jednakowo. Dla nich wyprawa do Moskwy była przede wszystkim pasjonującą przygodą. Wyprawą do Moskwy właśnie. O całej reszcie decydowali ludzie mądrzejsi i bardziej od nich doświadczeni.

Wanda gotowa była jechać wszędzie, pod warunkiem, że pojedzie tam Sawicz. Sądziła bowiem, że nocne odmłodzenie było jeszcze jedynym dowodem na to, iż w swoim czasie nie popełniła błędu zwiąawszy swe losy z Sawiczem. Zabawna historia: matka przez całe życie besztala ją za zły wybór, a w końcu wreszcie Sawicz spełnił pokładane w nim nadzieje i podarował jej drugi miodowy miesiąc. Jeśli naturalnie ta Kastielska nie zacznie znowu intrygować. No, wtedy się zobaczy.

Wreszcie Misza Standal... Misza Standal poprawił okulary, upodobił się do młodego Czechowa odjeżdżającego w bohaterską ekspedycję na wyspę Sachalin i powiedział:

- Pieniądze można zdobyć.

- Jak? - zapytał Grubin zmęczonym głosem. - Liczymy już od pół godziny i wciąż wychodzi, że wszystkie nasze kapitały nie wystarczą na bilety. Nawet jeśli znajdzie się jakiś dureń, który kupi mój mikroskop, album z wierszami Puszkina należący do Milicy Fiodorowny i naszą odzież. Jak na złość wypłata dopiero za trzy dni, żadnych oszczędności, a Wanda Kazimirowna nie chce dać pieniędzy...

- Przecież mówię, że nie mam ani grosza - wykrzyknęła rozpaczliwie Wanda Kazimirowna. - Wszystko rozpozyczyłam.

No i nie staliśmy się młodzi, pomyślała Helena. Wanda była kiedyś zawołaną rozrzutnicą, bez troski i wesoło wydającą wszystko, co do grosza. Była, ale nie jest. Tamta Wanda nie łgałaby, nie wymyślałaby nie istniejących pożyczek, bo nie znała jeszcze smaku pieniędzy.

- Odłożymy wyjazd? - zapytał Sawicz.

- Nie można - odparł Grubin. - Przecież sam pan wie.

Wygramolił się już spod stołu z garścią trocin, zeszkrobanych z podłogi w miejscach, gdzie rozlał się płyn z rozbitej butli. Zamierzał je zbadać, określić skład cieczy.

- Przecież pan wie - powtórzył - że z każdą chwilą ślady eliksiru coraz bardziej wchłaniane są przez naszą krew. Za dzień lub dwa nic nie zostanie. Na podstawie czego moskiewscy uczeni będą pracować? Każda chwila jest droga. Albo wyjedziemy nocnym pociągiem, albo nie ma sensu w ogóle ruszać się z miejsca.

- Właśnie mówię - powiedział Standal - że pieniądze można zdobyć i to zupełnie oficjalną drogą. Zaczniemy od tego, że dotyczące nas bezpośrednio wydarzenia miały miejsce nie gdzie indziej, lecz właśnie w mieście Wielki Guslar. A kto słyszał o naszym mieście? Historycy? Statystycy? Geografowie? A dlaczego? A dlatego, że Moskwa zawsze przywłaszczała sobie sławę innych miast. Ja sam pochodzę z Leningradu, ale dzisiaj uważam się już za guslarczyka. I wiecie, jaka jest sytuacja? W Teatrze Kirowa nie ma już prawie baletnic, bo zabrała je Moskwa. Drużyna piłkarska "Zenit" nie może odnieść żadnego sukcesu, bo Moskwa skaperowała co lepszych graczy. A dlaczego metro zbudowano u nas później niż w Moskwie? Bo wszystkie środki zabrała Moskwa. A Guslar w ogóle nie może marzyć o współzawodnictwie. A niby dlaczego nie mielibyśmy porywalizować? Zwróćmy się do naszej gazety!

- Słusznie, Misza - powiedziała Szuroczka. - A dawniej, w szesnastym wieku, Guslar prawie nie ustępował Moskwie. Iwan Groźny o mało nie przeniósł tu stolicy.

- Pięknie mówisz - odezwał się Ałmaz. - Miasto porządne, ale trochę za małe. Nawet jeśli ktoś odkryje tu środek na nieśmiertelność, to i tak nie da rady konkurować z Moskwą.

- Gazeta da nam pieniądze - kontynuował Standal - opublikuje pilny materiał, i w ten sposób będziemy już mogli pojechać do Moskwy. To chyba oczywiste, i Guslar zapisze się złotymi zgłoskami na kartach historii.

- No cóż - powiedział Ałmaz. - Spróbuj.

Standal błysnął okularami, omiatając wzrokiem audytorium. Zatrzymał wzrok na Milicy i powiedział:

- Milico Fiodorowno, pójdzie pani ze mną? Wzielibyśmy pani album.

- Och, z prawdziwą przyjemnością - odparła Milica. - A redaktor jest młody?

- W średnim wieku - powiedział Standal powściągliwie.

Grubin uruchomił kabriolet, zabrał Sawicza i ruszył do domu, gdzie zamierzali zanalizować przesycone eliksirem drzazgi z podłogi. Razem z nimi pojechała Milica ze Standalern do redakcji i Szuroczka do pracy, do domu towarowego - i tak już spóźniła się o pół godziny. Lękała się gniewu kierowniczkini działu, groźnej Walerii Lwowny, chociaż Wanda obiecała ją usprawiedliwić.

Zdjęcia, które fotoreporter przyniósł z fermy drobiarskiej, były do niczego. Należało je właściwie wrzucić do kosza, żeby redakcyjne myszy mogły zgadywać, gdzie jest rekordowa nioska, a gdzie tablica honorowa. Malużkin tak mu właśnie powiedział. Fotoreporter obraził się. Maszynistka zrobiła osiem skandalicznych literówek w pisemku, które trafi na biurko pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego. Malużkin porozmawiał z nią, maszynistka obraziła się, i teraz jej łkania dobiegające zza cienkiego przepierzenia bardzo go rozpraszały. Stiepan Stiepanow z wydziału rolnictwa, konsultant do spraw kultury, sprawdzał artykuł o malarzach-krajanach. Przepuścił straszliwego knota: artykuł informował, że Roerich był batalistą. Malużkin porozmawiał ze Stiepanowem i Stiepanow się obraził. Tuż przed przerwą obiadową połowa redakcji była śmiertelnie obrażona na naczelnego, co wypełniło serce Malużkina dojmującą goryczą. Sytuacja człowieka, mającego prawo służyć obrażać podwładnych, wywyższa go i pozbawia prawa do ludzkich słabości. Malużkin sam zapragnął się na kogoś obrazić, aby zrozumieli, jak mu jest trudno.

Dzień był potwornie upalny. Zepsuł się wentylator, niedawno pomalowany parapet iskrzył się w słońcu i oślepiał, woda w karafce nagrzała się i nie gasiła pragnienia. Przed domem zahamował jakiś samochód. Kto to mógł przyjechać?...

Malużkin był patriotą gazety. Przez całe swe świadome życie był patriotą gazety. W szkole ciągle łapał dwójki, gdyż wieczorami przepisywał kaligraficznie listy do redakcji gazetki ściennej, w których zachęcał kolegów do dobrej nauki. Na wyższej uczelni często opuszczał randki i wykłady, bo właśnie w tym czasie dokarmiał pierożkami z marmoladą niedbałych grafików. Każdy nowy numer gazetki wywieszał osobiście, łamał w zdenerwowaniu pineski i długo wystawał w kącie, patrząc, czym i jak interesują się koledzy. Nowa płachta gazety wisząca w korytarzu była dla Malużkina najlepszą, najbardziej upragnioną nagrodą, która co prawda miała tę dziwną właściwość, że po jakimś czasie przestawała cieszyć, traciła swą wartość, wymagała zamiany. Malużkina można było porównać z mężczyzną, który stale i wiernie kochał kobiety w ogóle, ale nie potrafił zadowolić się jedną z nich, chociażby najlepszą.

Czasami wieczorem, kiedy uczelnia tajemniczo milkła i tylko na korytarzach gdzieś palły się słabe żarówki, Malużkin zakradał się do pokoju rady zakładowej, gdzie za kasą pancerną starzały się zakurzone zwoje zeszłorocznych gazetek, wydobywał je, zdmuchiwał kurz, rozwijał na długim stole, przyciskał rogi ciężkimi przedmiotami, przyklejał odlepione brzegi notatek i przypominał wtedy donzuana, przeglądającego kolekcję ofiarowanych mu kiedyś fotografii z dedykacjami: “ukochanemu” i “jedynemu”.

Już wówczas, w młodości, Malużkin nauczył się obrażać na ludzi za to, że nie podzielają jego pasji, i obrażając się, obrażał podporządkowane mu na mocy decyzji rady uczelnianej dziewczyny, obrażał za niedostateczną miłość do gazety. Kiedy zaś przez fabryczną wielonakładówkę przebił się do prawdziwej prasy, nie utracił miłości do gazety i dlatego jeszcze częściej obrażał innych.

Z ludzi pokroju Malużkina wyrastają albo święci, luminarze nauki i dobroczyńcy ludzkości, albo drobni tyrani, drewniane piły, inkwizytorzy - wielkimi tyranami nie stają się nigdy, bowiem wielki tyran nie może mieć własnych pasji, gdyż tylko w takim wypadku możliwa jest prawdziwa, wielkość.

Przed obliczem redaktora stanął publicysta Standal.

- To ty przyjechałeś samochodem? - zapytał Malużkin. - Jakoś nie widziałem cię od rana.

- Może pan przyjąć, że uczestniczyłem w naradzie - powiedział Standal i usiadł na rozchwierutany krześle.

- Posyłałem cię? - zapytał Malużkin.

- Nie. Ja sam.

- A szkic do materiału o sobotnich pracach społecznych przygotowałeś?

- Nie.

- To znaczy, że ja mam za ciebie pracować, tak?

Malużkin poczuł wzbierającą w nim długo oczekiwaną falę krzywdy. Standal skrzywdził go tym, że zamiast pisać niezbędny gazecie artykuł włóczył się nie wiadomo gdzie.

- Mam bardzo ważną sprawę - powiedział Standal.

- Ważna sprawa jest tu - powiedział Malużkin i pokazał niedopisany wstępniak o przygotowaniach szkół do nowego roku szkolnego. - Niestety, nie wszyscy to rozumieją.

Malużkin przyłożył palec do ust, następnie zatoczył łuk w powietrzu i stuknął w przepierzenie. Zza przepierzenia dobiegał przytłumiony szloch. Standal zrozumiał, że maszynistka znów narobiła literówek.

- A więc? - zapytał Malużkin, który miał skłonność do niezbyt gramatycznych zwrotów.

- A więc trudno w to uwierzyć, ale przyniosłem prawdziwą sensację.

- Różne bywają sensacje - powiedział Malużkin sucho. Samo słowo "sensacja" miało dla niego nieprzyjemny posmak, kojarzyło się z pejoratywnymi epitetami. - Tylko bez tanich sensacji! W pewnej gazecie centralnej wydrukowano informację o śnieżnym smoku i co? - Malużkin gwałtownym ruchem przeciągnął dłonią po szyi, ilustrując tym gestem los redaktora. - Ale mów, nie obrażaj się.

- Mamy szansę stać się pierwszą, najbardziej znaną gazetą świata. Interesuje to pana?

- Zobaczymy - odparł Malużkin.

Maszynistka za przepierzeniem przestała łkać i nadstawiła ucha.

- Ale w każdym razie - kontynuował Malużkin - będę musiał skończyć artykuł wstępny. Przecież nie potrafisz go za mnie dopisać?

Malużkin zamknął na chwilę oczy j nieco pochylił siwiejącą głowę. Czekał na pochwały.

- Wstępniak do kosza. Na pierwszą kolumnę damy coś innego - powiedział nieuprzejmie Standal.

Malużkin uśmiechnął się pobłaźliwie. Zawsze potrafił wychwytywać rzeczy najważniejsze, na czasie. Wygląd Standala powiedział mu, że młody człowiek przyszedł z jakimś głupstwem. Pojawszy to, redaktor zajął się obmyśleniem artykułu wstępnego.

- Wczoraj - powiedział Standal - w naszym mieście miało miejsce epokowe wydarzenie, sensacja stulecia, po raz pierwszy przeprowadzono pomyślny eksperyment mający na celu generalne odmłodzenie organizmu ludzkiego. Uroczyście słowa, na co zresztą liczył Standal, łatwiej przenikały do mózgu Malużkina, który jednak słysząc je nie zastanawiał się nad ich sensem, lecz starał się wykorzystać je do prawdziwej roboty, do układania wstępniaka. "Po raz pierwszy w kraju przeprowadzono pomyślny eksperyment - powtarzał w myśli Malużkin - mający na celu całkowite objęcie dorastającego pokolenia siecią szkolnictwa ośmioletniego". Myśląc tak Malużkin odruchowo podtrzymywał rozmowę ze Standalem.

- W szpitalu, powiadasz, przeprowadzono ten eksperyment? - zapytał. - Mamy tam zdolną młodzież.

Z własnego zdania wybrał do artykułu słowa "zdolna młodzież". Musiał jeszcze znaleźć dla nich stosowną otoczkę.

- Nie, nie w szpitalu, w mieszkaniu prywatnym.

- Nie biegaj po gabinecie, siadaj - powiedział Malużkin. Biegający, podniecony, wymachujący rękami, przecierający okulary Standal nie pozwalał mu się skupić.

- Kilku ludzi - powiedział Standal siadając na brzeжку krzesła i przebierając nogami - uzyskało możliwość opanowania tajemnicy wiecznej młodości.

Stosowna otoczka dla "zdolnej młodzieży" znalazła się. "Zdolna młodzież zyskała możliwość opanowania tajemnic nauki." Malużkin zanotował w myśli to zdanie.

- Tak, tak - odezwał się. - Już o tym czytałem.

- Gdzie? - Standal z wrażenia przestał nawet poruszać nogami. - I nic pan nie powiedział?

- Gdzie? - zdziwił się Malużkin. - "Nauka i Życie" pisało. - Redaktor był przekonany, że nie można mu dowieść kłamstwa, bowiem czasopismo "Nauka i Życie" pisało już o wszystkim. - Były takie doświadczenia w Stanach. U nas też. Na psach.

- Jasne - powiedział Standal. Zrozumiał, że redaktor wcale go nie słuchał. - I pan by mógł! - krzyknął nieoczekiwanie.

Malużkin zapomniał wszystkie zdania, przygotowane do swego wstępniaka. Przestraszył się.

Za ścianą rozległo się gromkie westchnienie maszynistki.

- I pan mógłby stać się młodym! - wrzeszczał Standal. - Każdy może stać się młodym! Wczoraj starzec, dziś - młodzieniec. Rozumie pan?

- Tylko spokojnie - powiedział Malużkin. - Denerwujesz się. Cezarze, a więc nie masz racji.

Machnął ręką w stronę przepierzenia i kontynuował szeptem:

- Za ścianą są ludzie, rozumiesz? Zaczną się plotki. A ty nie sprawdziłeś i już krzyczysz. Są świadkowie? Kontrola była?

- Sam jestem świadkiem - powiedział Standal, również przechodząc na szept i pochylając się nad biurkiem. Siedzieli teraz jak dwaj kosiarze, omawiający plan obrabowania banku.

- Mam jeszcze jednego świadka - wymamrotał Standal. - Zawołać?

- Dobra - zgodził się z westchnieniem Malużkin, bo artykuł wstępny musiał i tak zaczynać od początku.

Standal wychylił się przez okno i krzyknął:

- Mila, bądź łaskawa wejść na górę. Pokój numer pięć. Zresztą wyjdę po ciebie.

Gdy tylko Standal odszedł od biurka, Malużkin natychmiast zajął się wstępniakiem. Standała to zirykowało, chwycił więc kartkę, podarł i wrzucił do kosza.

- Zwariowałeś - powiedział Malużkin. Znów poczuł się skrzywdzony.

- Zaraz tu przyjdzie kobieta, która ma minimum trzysta lat - powiedział Standal. - Znała Aleksandra Puszkina!

Wybiegł z pokoju.

- Kobiety - myślał Malużkin pochylając się nad koszem na śmieci. - Wszędzie kobiety. Wszystkie znały albo Puszkina, albo Jewtuszenkę, a żadnej nie można wierzyć.

Za drzwiami rozległ się głos Standała:

- Tutaj, Milico. Naczelnny na nas czeka.

- Dziękuję - odpowiedział srebrzysty głosik.

- Teatr - pomyślał Malużkin. - Pokazówka.

Drzwi otworzyły się i zjawiała się bogini. Królowa nocy, piękna dziewczyna w sarafanie z albumem w rękach. Tej dziewczyny dawniej nie było i być nie mogło. Tę dziewczynę można było zobaczyć tylko raz w życiu i do końca swoich dni o niej marzyć.

- Dzień dobry - powiedziała dziewczyna i podała Malużkinowi rękę. Trzymała ją wyżej, niż to jest przyjęte, i dlatego dłoń znalazła się w pobliżu warg redaktora. Malużkin nieoczekiwanie dla siebie ucałował smukły, atlasowy przegub i usiadł oblewając się pąsem.

- Czy ja również mogę usiąść? - zapytała dziewczyna.

- Bardzo mi miło - odparł Malużkin. - To znaczy bardzo miło mi panią poznać. Proszę siadać, naturalnie. - Redaktor zapragnął mówić wytwornym stylem, chociażby takim, jakim posługiwali się bohaterowie Lwa Tołstoja. - Czuję się niezmiernie zaszczycony - zakończył.

- Miszeńka z pewnością już o mnie mówił - uśmiechnęła się dziewczyna, a z jej oczu wytrysnęły ostre, promienne strzały. - Nazywam się Milica Bakszt i mieszkam w Wielkim Guslarze od ponad stu lat.

- To niemożliwe - powiedział Malużkin przyglądając włosy na skroniach - zapamiętałbym z pewnością pani cudowne oblicze...

Po redakcji rozeszła się już plotka, że u naczelnego siedzi jakaś nieznana piękność. Wszyscy myśleli, że należy do ekipy filmowej, kręcącej film historycznorewolucyjny. Mężczyźni udali się na korytarz, żeby zapalić. Palili obok drzwi gabinetu szefa.

- Przecież pan mnie nie może znać - powiedziała Milica. - Jeszcze wczoraj byłam okropną staruchą, chodziłam o lasce. Potworny widok, zapewniam pana. Rozumie pan to, prawda?

- O, tak - powiedział Malużkin.

Milica zwinnie poderwała się z krzesła, obróciła się na obcasach tak zamaszyście, że sarafan zawirował i odsłonił zgrabne nogi, po czym zgarbiła się, oparła się na nie istniejącej lasce i szurając nogami postąpiła z trudem parę kroków.

Malużkinowi zrobiło się wesoło i radośnie na duszy, więc powiedział:

- Jest pani aktorką, utalentowaną aktorką, powinna pani zagrać w filmie.

Maszynistki, które usłyszały te słowa przez ścianę, wyniosły na korytarz potwierdzenie plotki: nieznajoma była istotnie aktorką filmową, naczelny ją chwali. Stiepanow przypomniał sobie dwa filmy, w których ją widział. Wielu z obecnych również ją sobie przypomniało.

- Bardzo dobrze to robisz - powiedział Standal. - Tak to mniej więcej wyglądało. Sam pamiętam.

- Wierzy mi pan? - zapytała Milica znów siadając na krześle. Jej oczy znalazły się tak blisko twarzy Malużkina, że redaktor poczuł zawrót głowy i powiedział:

- Wierzę pani we wszystkim, w wielkim i małym.

- Milu. pokaż mu dowód osobisty - powiedział Standal.

- Nie trzeba - zaproponował Malużkin. - Nie trzeba pokazywać żadnego dowodu. Misza zaraz przygotuje materiał, a pani niech nas nie opuszcza, błagam. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co, jak i kiedy. Natychmiast do drukarni.

- Zamiast wstępniaka - powiedział Standal, który był jeszcze bardzo młody i wierzył w triumf dobra.

- Zamiast wstępniaka - potwierdził Malużkin.

- Miszeńka - powiedziała Milica. - Wygląda na to, że on się we mnie zakochał. Najwyraźniej traci rozsądek. Co teraz zrobimy? Zakochał się pan we mnie?

- Chyba tak - wyszeptał redaktor. Nie śmiał zaprzeczyć, ale nie chciał, żeby podwładni dowiedzieli się o tym.

- No, to ja zabieram się do pisania? - powiedział Misza pytającym tonem.

- Naturalnie. A pani... - w głosie Malużkina zabrzmiała żałosna prośba. - A pani posiedzi tu ze mną, prawda?

- Posiedzę, pewnie, że posiedzę. Przecież nie wychodzisz na długo, Misza?

- Nie potrzebuję wychodzić, napiszę tutaj, na parapecie. Mam już gotowy szkic.

- No więc - powiedziała Milica - poznaliśmy się i teraz możemy swobodnie porozmawiać. Czyż to nie cudowne, że wczoraj byłam staruszką, a dzisiaj jestem młoda?

- Cudowne - powiedział Malużkin. - Pani ma cudowne zęby.

- A fe, takie rzeczy mówi się tylko brzydkim dziewczynom, żeby im nie było przykro - powiedziała Milica i roześmiała się tak srebrzyście, że drżenie przebiegło po palących w korytarzu mężczyznach, a maszynistki spoważniały i zachmurzyły się.

- Ależ nie, cóż za pomysł! Pani ma piękne ręce i włosy, i nos - powiedział Malużkin. Chciał kontynuować tę wyliczankę, ale zadzwonił telefon i redaktor, który nie chciał z nikim rozmawiać, aby nie zniweczyć wspaniałego nastroju, podniósł jednak słuchawkę i powiedział ostro, żeby się od niego odczepili:

- Mam naradę.

Słuchawka zabulgotała odległym ludzkim głosem i Malużkin, który jej na czas nie odłożył, zaczął słuchać. Misza mrugnął do Milicy, sądząc, że sprawa jest załatwiona, a dziewczyna odmrugnęła mu, bowiem była zadowolona ze swej urody.

- Tak - powiedział uprzejmie Malużkin. - Naturalnie. W jutrzejszym numerze, towarzyszu Biełow. Osobiście się tym zajmę... Doskonale sobie zdaję z tego sprawę, że to nasze zaniedbanie, towarzyszu Biełow.

Głos w słuchawce wciąż coś mamrotał i stopniowo twarz Malużkina przybierała swój normalny, rzeczowy wyraz, a włosy, które jeszcze przed chwilą zwijały się w cygańskie kędziory, w oczach prostowały się karnie opadały, układając się po obu stronach przedziałka.

- Odzwierciedlimy, naturalnie, wszystko będzie w największym porządku - powiedział wreszcie odkładając słuchawkę.

- No tak - mruknął patrząc na Milicę i pocierając palcem koniec nosa. - Dajemy artykuł wstępny na temat przerywki i pielenia. Jasne, Standal? Na temat pielenia, a nie o przygotowaniach do nowego roku szkolnego. Ze szkołami jeszcze się nie pali. Nasz błąd. Sami powinniśmy się domyślić. Wezwijcie tu do mnie Stiepanowa, ale na jednej nodze. Niech weźmie ze sobą harmonogram przerywki.

- Jak to? - zapytał Standal. - Artykuł?

- Tak, tak - powiedział Malużkin. - Bardzo mi było miło. Zawsze rad będę panią widzieć. Standal, na co czekasz? Nie ma czasu. W pracy redakcyjnej najważniejsze jest zachowanie spokoju. Jasne?

Malużkin mówił to z takim naciskiem, że Standal nie śmiał mu się sprzeciwić. Wyszedł na korytarz i znalazł Stiepanowa. Stiepanow zadawał pytania dotyczące dziewczyny, ale Standal opędzał się od niego jak od natrętnej muchy.

- Idziemy - powiedział. - Będzie pan pisał wstępniak. Proszę zabrać dane dotyczące pielenia. Na jednej nodze. Polecenie szefa.

- Ja naprawdę odmłodniałam - przekonywała Milica redaktora, kiedy Standal wrócił do gabinetu. Malużkin podniósł na Misze oczy skrzywdzonego dziecka, bo przeszkadzano mu w pracy. - Żebyś mi jutro był punktualnie w redakcji! - zwrócił się do podwładnego.

- Ale mnie przecież Aleksander Puszkina wpisał do albumu - powtórzyła Milica. - tylko mnie. I nigdzie go nie drukował. Był we mnie bez pamięci zakochany.

- Bardzo interesujące - powiedział Malużkin. - Proszę zostawić album, przejrzymy go sobie. Zamieścimy w rubryce "Z historii naszych okolic". Dobrze? A więc jesteśmy umówieni. To bardzo dobrze, żeście ten wierszyk wyszukali.

Malużkinowi, który całkowicie przełączył się na pielenie, wydawało się, że bardzo dobrze potraktował interesantów.

- Panienko, proszę się nie obawiać, nie zagubimy wierszyka, bo doskonale sobie zdajemy sprawę z jego wartości.

- Pan mnie wzywał? - zapytał Stiepanow wchodząc do gabinetu i gapiąc się na Milicę Bakszt.

Malużkin zerknął w tę stronę i jakieś niejasne wspomnienie poruszyło się w jego duszy. Powiedział:

- Chodź tu, Stiepanow, siadaj. Wzięłeś dane na temat pielenia? Dzwonili do mnie w tej sprawie, więc trzeba jak najszybciej, sam rozumiesz...

- No, to my pójdziemy - powiedział smutno Standal.

- Naturalnie, naturalnie - powiedział Malużkin patrząc zakochanym wzrokiem na wykresy w ręku Stiepanowa. Malużkin kochał gazetę i kochał pracę redakcyjną. Poczucie krzywdy zniknęło.

- Nie spóźnij się! - krzyknął do wychodzącego Standala i zapomniał o nim.

27

Trzasnęły drzwi, zakłósały się tiulowe firanki w oknie. Stiepanow pożałował, że dziewczyna wyszła, bo w taki upał nie miał najmniejszej ochoty pisać o pieleniu. Miał ochotę pójść na plażę. Przysunął sobie pozostawiony przez gości na redaktorskim biurku otwarty album w safianowej okładce. Pismo na pożółkłej karcie było znajome. Obok tą samą ręką był narysowany profil dziewczyny, która przed chwilą wyszła z gabinetu.

- To jej album? - zapytał Stiepanow.

Malużkin zdziwił się, ale odpowiedział:

- Powiada, że to jej Puszkina wpisał - i zachichotał. - W "Czerwonym Sztandarze" wszystkie maszyny stoją, a w sprawozdaniu zawyżają. Co o tym myślisz?...

Oczywiście, że to było pismo Puszkina. Albo zdumiewający, najdoskonalszy pod słońcem falsyfikat, który powinien znaleźć się w moskiewskim Muzeum Puszkina.

- ... "Uwolnij mnie, perska księżniczko" - przeczytał Stiepanow. - "Uwolnij mnie, perska księżniczko" - przeczytał jeszcze raz, na głos.

- Ciszej - skarcił go Malużkin. - Zostaw te wiersze! Bierz się do roboty.

Stiepanow nie słyszał, bo poruszając wargami czytał wiersz dalej. Tego utworu nie znał. I nikt

nie znał. Stiepanow był pierwszym puszkinistą na świecie, czytającym wiersz zaczynający się od słów: “Uwolnij mnie, perska księżniczko”.

- To przecież odkrycie - powiedział. - Sensacja na skalę światową. Trzeba napisać do Moskwy! Andronnikow jutro tu przyleci.

- Jakbyście się wszyscy zmówili! - oburzył się Malużkin. - Stiepanow, bądź człowiekiem! Skończymy wstępniak i będziemy dzwonić do Andronnikowa, Lwa Tołstoja, Puszkina, wypijemy po kuflu piwa, zrobimy wszystko, na co będziesz miał ochotę. A teraz posłuchaj: “Pełną parą idzie pielenie na kolchozowych polach naszego powiatu”. Czy to nie jest banalne?

Ale Stiepanow nie słyszał, podobnie jak kilka minut wcześniej Malużkin przestał widzieć i słyszeć Milicę Bakszt.

Stiepanow Stiepanowicz był zwariowany na punkcie Puszkina. Jego idee fixe była ambicja dowiedzenia się wszystkiego o wielkim poecie, poznania każdego słowa, odtworzenia każdego dnia jego życia. Gdy to już niemal osiągnął, cierpliwie czekał, aż los zlituje się nad nim i podaruje mu odkrycie w dziedzinie puszkinistyki, odkrycie przypadkowe, gdyż wszystkie pozostałe zostały już dokonane.

Minęło trzydzieści lat od chwili, gdy Stiepan Stiepanow znalazł na strychu starego domu pierwodruk “Eugeniusza Oniegina” i stał się żołnierzem małej międzynarodowej armii puszkinistów. Przez ten czas postarzał się, zdiagnozował, dorobił się dolegliwości wątroby i zadyszki, pochował żonę, sam wychował córkę Ludę i teraz zamierzał wydać ją za mąż, a odkrycia wciąż nie było. Ani sam Puszkina, ani jego krewni, ani przyjaciele dekadencji nie bywali w Wielkim Guslarze i nie zostawili tam pamiętników, dzienników i ustnych wspomnień. Ale Stiepanow wciąż szukał, odwiedzał zapomniane, zakurzone strychy, wydawał ostatnie grosze na bibliofilskie rarytasy, korespondował z Herakliuszem Andronnikowem i pastorem Gruenwaldem ze Szwajcarii, nauczył się dwóch języków zachodnioeuropejskich, nie zrobił kariery służbowej, a odkrycie wciąż nie przychodziło.

I oto teraz leżał przed nim nieznanym wiersz Puszkina, który bez najmniejszych starań z jego strony wpadł mu w ręce.

Stiepanow ciężko podniósł się z krzesła i trzymając w wyciągniętym ręku album w safianowej okładce podszedł do okna, do światła, aby w słońcu przekonać się, że szczęście istotnie go nawiedziło, że jedno z największych odkryć w puszkinistyce w drugiej połowie wieku dwudziestego było właśnie jego udziałem.

- Siadaj - dopędził go głos Malużkina. - Posłuchaj: “Jednak w niektórych gospodarstwach tempo pielenia jest nie dość wysokie”... Albo może napisać po prostu: „niewysokie”? lub “niskie”?

- Kim jest ta dziewczyna? - zapytał Stiepanow.

- Jaka dziewczyna?

- Dziewczyna, która była u ciebie z Miszą Standalem.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Sam ją zapytaj. Nie znam żadnej dziewczyny.

Malużkin też był człowiekiem pochłoniętym idee fixe. Jego ambicją życiową było uczynienie ze swej gazety najlepszego organu powiatowego w województwie.

- Tak - powiedział Stiepanow, strzepnął popiół i łupież z wygniecionych spodni, z trudem dopiął je na tłustym brzuchu i głośno śpiewając: "Uwolnij mnie, perska księżniczko", wyszedł z gabinetu redaktora naczelnego, po czym, wciąż przyśpieszając kroku, słoniowym truchtem przebiegł korytarz i wypadł na ulicę.

Malużkin popatrzył za nim i śmiertelnie się obraził.

28

Milica ze Standalem dowlekli się do budki z piwem, przy której pod różnobarwnymi parasolami plażowymi stały chwiejne stoliki z błękitnymi plastikowymi blatami. Misza postął w kolejce i postawił na stoliku dwa kufle z wianuszkami ciepłej piany. Był rozczarowany do życia i stracił ideały.

- Wygląda na to, że nasza misja nie zakończyła się sukcesem? - zapytała Milica.

- Popełniłem błąd taktyczny - powiedział Standal nie wiedząc jeszcze, na czym ów błąd polegał.

- Z początku bardzo mu się spodobałam - powiedziała Milica.

Standal, krzywiąc się niemiłosiernie, pił piwo.

- Trzeba będzie jechać wprost do Moskwy - powiedział. Wielki Guslar pozostanie nikomu nie znanym, zabitym deskami miasteczkiem. A oni będą sobie pluć w brody. Niech plują.

- Trochę jednak zaśnie - powiedziała Milica. - Przecież tu mieszkałam.

Uśmiechnęła się. Żartowała, bo chciała trochę Misze rozweselić. - Wszystko się ułoży - powiedziała.

- I nikt nie wierzy - ciągnął Standal. - Udałowowi nawet na milicji nie uwierzyli. A mnie w gazecie. Jakbyśmy byli jakimś aferzystami. Na przykład Grubin popędził robić doświadczenia, żeby niczego nie zaniedbać, a i pani myśli nie tylko o sobie, prawda?

- O, tak! - powiedziała piękna Milica. - Proszę spojrzeć, tamten śmieszny pan do nas biegnie.

Przez plac, kręcąc na wszystkie strony głową, biegł bardzo tęgi mężczyzna, którego naga czaszka wyglądała z wianuszka szarych włosów, jak orle jajo z gniazdka. Miał mięsiste, aktorskie wargi i nos rzymskiego cesarza z okresu upadku imperium. Pod pachą ścisnął wielki album. Cała jego postać, od brudnych butów poczynając, za co Malużkin wielokrotnie dawał mu reprimendy, a na obsypanej popiołem marynarce kończąc, stanowiła zdumiewającą mieszankę niepewności, nieśmiałości i nieposkromionej woli zwycięstwa.

- Niesie mój album - powiedziała Milica.

- To Stiepan Stiepanow! - wykrzyknął Misza Standal. - Nareszcie się zorientowali. Zrozumieli i teraz nas szukają. - Tutaj! - zawołał i zaczął machać ręką. - Tutaj jesteśmy, Stiepanie Stiepanyczu!

Ucieszony Stiepanow przytruchtał do stolika.

- A ja was szukam - powiedział opadając na krzesło. - Właściwie panią. Już bałem się, że nie znajdę, że to wszystko tylko mi się przyśniło.

- Jednak Malużkin pana przysłał - zapytał Standal twierdzącym tonem.

- Jaki znów Malużkin? Nic podobnego. On gwałtownie protestował. On sobie niczego nie uświadamia. Panienko, skąd pani ma ten album?

- To jest mój album - odparła Milica. Stiepanow drżącą ręką przysunął sobie kufel Standala i w zdenerwowaniu upił trochę piwa.

- A czy pani wie, co się w nim znajduje? - zapytał mrużąc swoje i tak już maleńkie oczka.

- Wiem, wpisywali się do niego przyjaciele i znajomi. Tiutczew, Fet, Dzierżawin, Sikomorski, Puszkina i jeszcze jeden taki, zapomniałam nazwiska.

- Puszkina, powiada pani? - Stiepanow był surowy i bezwzględny w dążeniu do prawdy. - A pani go czytała?

- Naturalnie. Miszeńka, czy w waszej redakcji wszyscy są tacy dziwni?

- Jeśli Stiepanyczu nie zdoła przekonać naczelnego, to nikt tego nie potrafi zrobić - powiedział Misza, w którym obudziła się nadzieja.

- Nawet nie będę próbował - powiedział Stiepanow. - A czy panienka wie, że ten wiersz nie był nigdzie publikowany?

- Oczywiście! - wykrzyknęła Milica. - On przecież sam mi go napisał. Siedział, gryzł pióro, potrząsał czupryną. Nawet się z niego śmiałam. A wiersz pokazywałam tylko przyjaciołom.

- Tak - powiedział Stiepanow, sapiąc i dopijając piwo Standala. - A poważnie? Skąd pani enka ma ten album?

- Proszę mu wytłumaczyć - powiedziała Milica. - Ja już nie mam siły do dzisiejszej młodzieży.

- Album to tylko mała częśćka tego, co usiłowaliśmy wbić do głowy Malużkinowi - powiedział Standal przysuwając sobie kufel Milicy. - Tu wcale nie chodzi o album.

- Misza, nie gadaj głupstw - powiedział Stiepanow.

- Chodzi właśnie o ten album. Nie może być rzeczy ważniejszej od niego.

- Stiepanie Stiepanyczu - powiedział Standal. - Przecież pan wie, jak bardzo pana szanuję. Nigdy z pana nie żartowałem. Proszę uważnie posłuchać i nie przerywać. Bardzo pana proszę, niech pan dosłucha, a potem dzwoni do domu wariatów albo po karetkę pogotowia...

Kiedy Standal zakończył opowieść o cudownych przemianach, na stoliku stała już cała bateria pustych kufli. Kupowała je i przynosiła Milica, która się nudziła, współczuła mężczyznom, była poczciwa i usłużna. Kioskarka już do niej przywykła i sprzedawała piwo bez kolejki, a żaden z mężczyzn stojących na słońcu nie oponował. Byłoby dziwne, gdyby ktoś zaoponował, bo przecież nikt przedtem nawet nie potrafił sobie wyobrazić takiej pięknej dziewczyny.

- A co z albumem? - zapytał Stiepanow, kiedy Misza zamilkł.

- Album zabierzemy do Moskwy w charakterze dowodu rzeczowego - odparł Misza. - Jak tylko zdobędziemy pieniądze na bilety.

- Do Andronnikowa?

- Zobaczymy na miejscu, może i do Andronnikowa.

- On dostanie go ode mnie - powiedział Stiepanow. - Jadę z wami.

- Czyżby? - zdziwił się Standal. - Czyżby pan nam uwierzył?

- Będę z panem zupełnie szczery - powiedział Stiepanow, gładząc safianową okładkę. - Aby rozwiać ostatnie wątpliwości, chciałbym spotkać się z Heleną Kastielską. Mam honor być jej znajomym od czterdziestu lat. Jeśli ona potwierdzi, moje wątpliwości odpadną.

- Może pan jej nie poznać - zauważył Standal. - Ma teraz dwadzieścia lat, tak samo jak ja.

- Zadam jej parę pytań. Na przykład, kto poza nią głosował w ubiegłym roku za udzieleniem kredytów na konserwację cerkwi św. Serafina. Ja też nie jestem głupi.

- Jestem świecie przekonana, że to pan głosował, szanowny panie - powiedziała Milica. - Macie jeszcze ochotę na piwo?

- Ja - przyznał się zdumiony Stiepanow. - Dziękuję, nie. Pójdziemy?

- A czy nie wydaje się panu - zapytał Standal. który znów nabrał optymizmu - że to wszystko

jest bajeczne, nieprawdopodobne, tajemnicze i wręcz podejrzane?

- Młody człowieku - odparł Stiepanow z godnością. - Na moich oczach narodziły się telefon i radio. Na własne oczy widziałem fotokopię listu Puszkina, odnalezionego niedawno w niewielkim miasteczku nad Amazonką. Dlaczego miałbym nie wierzyć godnym szacunku ludziom tylko dlatego, że moje oczy i pozostałe zmysły nie chcą w to wierzyć? Zmysły ludzkie są zawodne i nie potrafią dotrzeć do sedna zwyczajnej teorii względności, natomiast rozum jest wszechmocny. Zaufajmy więc mu i wtedy wszystko wróci na swoje miejsce. Wówczas istnienie wiersza zyskuje niezwykle wprawdzie, ale jednak wytłumaczenie, a to już coś znaczy.

29

Ałmaz pomógł zmyć naczynia, a potem zaproponował Helenie i Wandzie, jako że tylko one zostały w domu:

- Chodźmy, dziewczyny, na spacer, pokażemy się na mieście w nowej postaci.

- Co pan? - przestraszyła się Helena. - A jeśli ktoś nas pozna?

- Wtedy powiesz, że się pomylił.

Helena nie potrafiła znaleźć argumentu, więc spróbowała wymówić się pretekstem:

- Jakże mogę Wanię zostawić?

- Wania powinien pójść spać - odparł Ałmaz. - Przecież dzieci w ciągu dnia też śpią?

To pytanie skierował do Wani, który patrząc nań wzrokiem pełnym uwielbienia nie ośmielił się zaoponować.

- Idę - powiedziała jak japoński kamikadze.

Wanda już kilka razy chciała się pożegnać, ale wciąż nie wychodziła.

Kiedys zburzyła już życie Heleny na tydzień przed jej ślubem. Zobaczyła Nikitę u kogoś w gościach, Nikitę spokojnego, urzędzonego, posłusznego Helenie, i bez chwili namysłu postanowiła go odbić. W pamiętniku przyjaciółki wyczytała czyjś aforyzm: "W miłości, podobnie jak na wojnie, żadne reguły nie obowiązują". Aforyzm leżał w zapasie przez trzy lata, a teraz się przydał. Uprzejmy, dobrze wychowany Sawicz powinien należeć właśnie do niej, jędrnej, zdrowej, skorej do śmiechu dwudziestolatki, a nie do więdnącej już, deskowatej starej panny!

Po co zresztą grzebać się w przeszłości? Została ona w pamięci tylko trojga aktorów dramatu, a innym nic do tego. Wanda natychmiast wyczuła w Sawiczu słabe miejsce, jego gotowość do

podporządkowania się i niezdolność powiedzenia “nie”. Wyczuła też słabość Heleny, słabość płynącą z nadmiernej dumy. Ta szczapa kierowała się jakimiś zasadami, nie przekraczała ich i myślała, że inni również je uszanują.

Wanda zwyciężyła w ciągu trzech dni. Teraz wydawało się dziwne, że aż tak szybko, chociaż te dni były bardzo długie. Od tej pory Sawicz stał się jej bezwzględna własnością, co jednak powodowało stałą niepewność, bo przecież Sawicz pozostał ten sam. Co gorsza, zjawiał się rodzaj skruchy i jakaś wstydliva, śmiesząca samą Wandę tęsknota do Heleny.

Tak, potrafiła trzymać Sawicza w garści, nawet na odległość, ale zawsze pamiętała, że “nie ma reguł”, a skoro nie ma dla niej, to nie ma również dla innych. Teraz, gdyby to od niej zależało, wprowadziłaby takie reguły i chociaż z upływem lat konkurentek było coraz mniej, nie osłabiała chwytu.

Dzisiejsze przebudzenie ożywiło stare niepokoje, ale również nadzieję, że Helenie się nie poszczęściło. Zawiodła się. Helena stała się jej rówieśnicą, właśnie taką, jaką po raz pierwszy ujrzał Nikita Sawicz.

Wandzie ścisnęło się serce, kiedy rano weszła do domu Kastielskiej: Helena stała plecami do słońca i jej platynowe lekkie włosy tworzyły świetlistą aureolę. Co prawda, była tak samo chuda, jak w starości. Może dla innych smukła, ale w oczach Wandy po prostu chuda. Zresztą i to było niewielką pociechą.

Zmieszanie Nikity też trudno było znieść. Tak ją ono zabolalo, że omal nie chwyciła go za rękę i nie wyprowadziła z domu.

I nagle, w którymś momencie, jakby pękła szyba i powiało świeżym wietrzykiem. Wanda zrozumiała, że trzydziestoletnie wychowywanie, dobrowolna niewola jest silniejsza od starych uroków Heleny. Nikita jej unika, jak spłoszony zając zerka na żonę, czy aby się nie gniewa, i jeszcze jedno: Helena została wierna swoim zasadom i nie przyswoiła sobie starego aforyzmu.

Mój Boże, jak ci biedacy się oszukali, pomyślała Wanda. Może ona sama nie zmańdrzała przez te trzydzieści lat, ale za to nabrała doświadczenia, nauczyła się kwalifikować ludzi. Gdyby się nie nauczyła, pierwszy lepszy rewizor z obwodu zjadłby ją w kaszy. Jeszcze wczoraj wydawało się im, że można przebudować życie, odpokutować za swoje grzechy i błędy, przywrócić czas, w którym jeszcze nie było jej, dzisiejszej Wandy. Ale przeszłości nie można zatrzeć, nie można przed nią uciec, jak przed własnym sumieniem.

Niepokój znikł.

Po raz pierwszy od trzydziestu lat mogła popatrzeć na Helenę spokojnie, inaczej niż w czasie przypadkowych spotkań na ulicy, kiedy dostrzegała jedynie nowe zmarszczki, siwe włosy i wytarte rękawy pałta.

I Helena jej się spodobała tak, jak może podobać się młoda kobieta innej młodej kobiecie, jeśli nie ma między nimi rywalizacji, nie ma mężczyzny i zazdrości. Chyba zresztą i Helena to

zrozumiała, bo choćby nie wiem jak się człowiek odmładzał, dawnej młodości nie zdoła przywrócić.

Dlatego Wanda została w domu Kastielskiej nawet wtedy, kiedy pozostali wyszli, sprawnie pomagała jej w zajęciach domowych, głośno się śmiała, kokietowała Ałmaza, trącała go wysoką pierśią, bez żadnych zresztą zamiarów, po prostu z rozpierającej ją dziewczęcej pustoty.

- Dobra myśl, Lenoczka, chodźmy na spacer! - poparła projekt Ałmaza. Ta "Lenoczka" po trzydziestu latach oficjalnej znajomości nie zrobiła dobrego wrażenia. Helena Siergiejewna uznała, że jej była rywalka lęka się jej, ochrania męża i w udawanej familiarności szuka obrony. Pomyślała, że jednak nie warto odpychać Wandy.

- Chodźmy - powiedziała.

Wanda przyglądała się, jak Kastielska usiłuje swe puszyste, platynowe włosy zwinąć w babciny kok.

- Zostaw je - powiedziała. - Daj spokój z tym kokiem, tak ci bardziej do twarzy. - I dodała z zawiścią: - Ty to masz szczęście, figura niemal wcale ci się nie zmieniła. Możesz nosić wszystkie swoje sukienki.

Helena miała na sobie starą, ciemną sukienkę z białym kołnierzykiem. Teraz jednak wyglądała w niej nie jak nauczycielka, lecz jak uczennica przed balem maturalnym. Wanda natomiast musiała założyć elastyczną bluzkę, a spódnicę spiąć agrafką.

- Tylko że twoje pantofle to po prostu coś okropnego. Dzisiaj nikt już takich nie nosi.

- Czy to nie wszystko jedno?

To powiedziała stara Kastielska, młoda zaś zaczęła się usprawiedliwiać:

- Kiedy byłam młoda, nikt nie myślał o pantoflach.

Na ulicy Ałmaz wziął kobiety pod rękę, wcale nie ukrywając, jaką przyjemność sprawia mu spacer z takimi młodymi i pięknymi dziewczynami. Helena wciąż spotykała znajomych i sąsiadów, którzy gapili się na nią ze zdumieniem, i tylko z największym trudem powstrzymywała się od tego, aby się nie przywitać, nie zapytać ich o zdrowie, o szkolne sukcesy dzieci. A jednocześnie wciąż pamiętała, że ma na nogach stare kapcie, że wszyscy to widzą i mają za złe.

Za mostem Ałmaz kupił im obu lody "Eskimo", sobie też wziął porcję, po czym usiedli na ławce w cieniu. Wanda powiedziała nagle:

- Chodźmy do mnie, do domu towarowego.

Była teraz dobra i przychylna ludziom. W tamtej, prawdziwej młodości nigdy w sobie takiej dobroci nie czuła.

- Po co?

- Mam na zapleczu francuskie pantofle. Siódemkę. Akurat dla ciebie.

- Ależ po co, nie trzeba! - powiedziała Helena i nagle zdała sobie sprawę, że wręcz marzy o tym, aby zobaczyć, potrzymać w ręku, założyć francuskie pantofelki, których istnienie było równie abstrakcyjne, jak istnienie Antarktydy, na którą latają wyłącznie młodzi, niezwykli ludzie.

- Ależ nie bój się - Wanda nie zrozumiała nastroju Heleny i postanowiła ją uspokoić. - One są już zapłacone. U mnie lada moment powinien być remanent, wobec tego kupiłam je.

To była półprawda, ale nie będziemy się teraz wdawać w subtelności pracy dyrektorki domu towarowego w mieście Wielki Guslar, nie będziemy też dyskutować o obliczu moralnym Wandy Kazimirowny, która w kwestii najważniejszej nie kłamała: w magazynku podręcznym istotnie leżała para francuskich pantofelek, właściwie trzy pary. ale to już zupełnie inna historia.

- Nie, coś ty - opierała się Helena, ale Ałmaz zrozumiał kobiece rozterki i przeciął spór:

- Pantofle to niezły pomysł. Kto po nie pójdzie?

- Sama pójdę - powiedziała Wanda. - Nikt przecież jeszcze nie pozbawił mnie stanowiska.

- Tak sądzisz? - Ałmaz bezceremonialnie obejrzał Wandę od zadartego noska i sokolich brwi aż do krągłych kolan. - Jak to wytłumaczysz swoim pracownikom?

- Wymusztrowałam je - powiedziała Wanda podrywając się z ławki.

- Może jednak poprosimy Szuroczkę?

- Szuroczka nie jest zorientowana - ucięła Wanda. - Dam sobie radę.

Odezwała się w niej dyrektorka.

Wanda poprowadziła ich przez podwórko zastawione stertami pustych skrzynek, obok ciężarówki z pojemnikami, do tylnego wejścia. Za ciężarówką palili konwojenci. Wanda przystanąła i zapytała dyrektorskim głosem:

- Przywieźliście garnitury?

- Garnitury, Wando Kazimirowno - odparł głos konwojenta.

- Zajrzyjmy do mojego gabinetu - powiedziała Wanda wspinając się wąskimi schodami na pierwsze piętro. - Muszę się dowiedzieć, czy aby nie zaczął się remanent.

- A co cię to może obchodzić? - zdziwił się Ałmaz. - Możesz uznać, że jesteś na zwolnieniu.

- Ty tego nie rozumiesz...

Wanda była tak pewna siebie, tak niezłomna, że Ałmaz i Helena, ludzie przecież dorośli i

poważni, szli za nią jak przywiązani, chociaż najchętniej by się wycofali do wyjścia.

- Dokąd to, młodzi ludzie? - rozległ się energiczny głos. - Tutaj obcym wstęp wzbroniony.

- To ja, Wanda. Nie poznajesz, Walerio Lwowno? Przejście zagroziła im kwadratowa, barczysta kobieta w średnim wieku, ubrana w granatowy fartuch z podwiniętymi do łokcia rękawami, o mocno wymalowanej twarzy i z dziwną fryzjerską konstrukcją na głowie, przypominającą ulubioną koafiurę tragicznie zmarłej królowej francuskiej Marii Antoniny.

Jeden tylko niedostatek niweczył groźne wrażenie, które wywoływała ta postać, ale ów niedostatek ujawnił się dopiero wtedy, kiedy młodzi ludzie weszli na podest i stanęli obok niej. Kobieta była tak niska, że mimo butów na wysokich obcasach i baszty na głowie sięgała Wandzie ledwie do ramienia.

- Czego? - zapytała niepewnie kobieta.

- Trzeba znać swoją szefową - odpowiedziała Wanda. - Nikt nie dzwonił, nikt nie przychodził?

Waleria Lwowna milczała i trzepotała uczernionymi rzęsami. Zastanawiała się. Kiedy jednak Wanda chciała przejść dalej, zagroziła jej drogę.

- Ty nie jesteś Wanda - powiedziała zdecydowanie. - Dzisiaj Wandy Kazimirowny nie ma.

- Nie, to ja - upierała się Wanda. - Nie zwracaj uwagi na mój wygląd. Byłam u kosmetyczki, zrobiłam masaż.

- Kosmetyczka, powiadasz? - nadciągała burza. Pierwsze podejście zakończyło się fiaskiem.

Wanda zrozumiała to i natychmiast zmieniła ton. Teraz nie rozkazywała, lecz prosiła:

- Jestem siostrzenicą Wandy Kazimirowny. Ludzie mówią, że jestem bardzo podobna do cioci.

- Siostrzenica? Wątpliwości pozostały.

- A co z ciotką?

- Zachorowała na grypę. Leży w łóżku.

- A ci są z tobą?

To ostatnie pytanie odnosiło się do Heleny i Ałmaza, którzy stali z boku.

- Ze mną - odparła Wanda swym dawnym głosem. Takim tonem zwraca się do biletera sławny bas operowy wprowadzając swych przyjaciół bez biletów na atrakcyjny spektakl.

- Czego chcesz, siostrzenico?

- W magazynku podręcznym - odpowiedziała Wanda - leży w szafie para francuskich pantofli, siódemek. Przynieś je tutaj.

Waleria Lwowna znów zamarła. Głos był dyrektorski, a wygląd młody. Żądanie - pochyłe. Słysząc było, jak pod strzelistą koafiurą odbywa się proces myślowy.

- Nie wolno - powiedziała wreszcie. - Nie ma tam żadnych francuskich pantofli. Nie dostaliśmy w tym miesiącu.

- Jak to nie dostaliśmy? Jak chcesz, to ci powiem, gdzie leży faktura.

- Głupoty - odparła zastępczyni Wandy. - Nie dostaliśmy.

Zrozumiała, że ma przed sobą zamaskowanych rewidentów.

- A ty skąd je masz? - zapytała Wanda.

- Gdzie?

- Na nogach.

- Na których?

- Na twoich. Może to nie są francuskie czarne czółenka na obcasie, siódemki za czterdzieści trzy pięćdziesiąt.

Waleria Lwowna wykonała dziwne taneczne pas, jakby zamierzała, nie siadając, podciągnąć pod siebie nogi. Ale podczas gdy nogi mimo woli się poruszały, nie przestawała myśleć i wreszcie uznała, że jedynym ratunkiem jest trzymanie się swego. Sięgnęła niedbale do kieszeni fartucha, niby po chustkę do nosa, ale wyjęła z niej gwizdek milicyjny, półgłosem, jakby na próbę powiedziała: "Bandydzi!", a następnie wydała straszliwy, świdrujący w uszach gwizd.

- Wycofujemy się! - krzyknął Almaz pociągając Helenę ku drzwiom. - Niech szlag trafi te pantofle.

- Ja ci to jeszcze przypomnę! - krzyknęła w biegu Wanda.

Waleria Lwowna nie pobiegła za nimi, tylko gwizdała z góry, niczym przerażony świstak. Zatrzymali się dopiero na przeciwległej stronie ulicy.

- Nie trzeba było tam chodzić - powiedziała Helena, kiedy wreszcie znowu przybrali wygląd spacerowiczów i weszli do pachnącego kurzem i lemoniadą parku miejskiego. - Jakoś do tej pory żyłam bez pantofli, to i nadal się bez nich obejść.

- Nie! - znów podnieciła się Wanda. - Ja swojego zawsze dopnę!

Tak właśnie się zachowała, kiedy zobaczyła Nikitę, pomyślała nagle Helena i już nie chciała

żadnych pantofli.

- Pora wracać do domu - powiedziała. - Wania na pewno się już obudził.

- Idźcie, a ja wrócę do sklepu - odparła Wanda.

- Zwariowałaś! - oburzył się Ałmaz. - Wszystkim nam zaszkodzisz. Ona już tam z pewnością urządziła zasadzkę i schwyta cię jak złotą rybkę.

- Nie ma żadnego ryzyka - warknęła Wanda. - Co ja bym była warta, gdybym nie znała swoich ludzi? Masz notes?

- Mam.

- Daj mi go.

Wanda napisała krótki liścik, wyrwała kartkę i zwróciła notes Ałmazowi, który wzruszył ramionami i pomyślał, że każdy robi to, co uważa za stosowne. Po czym poszedł z Heleną do jej domu, a Wanda przed wejściem do parku zamknęła się w budce telefonicznej. Zadzwoiła do swojego gabinetu.

Telefon odebrała Waleria Lwowna.

- To ty, Lera? - zapytała Wanda.

- Ja.

- Poznajesz swoją dyrektorkę?

- Już nie wiem, kogo mam poznawać. Tu byli jacyś kanciarze. Chcieli francuskie pantofle, na ciebie się powoływali. Już pomyślałam, że masz kłopoty, rozumiesz?

- Niczego nie rozumiem - ucięła Wanda. - Jestem chora, leżę w domu. Zresztą nie o to chodzi. Wysłałam do ciebie siostrzenicę, a ty ją wyгнаłaś.

- Bo myślałam, że ona się podszywa.

- Rozumiem i wybaczam. Teraz ona wróci, a ty jej dasz parę pantofli, które są już załatwione. Pamiętaj, gdzie leżą?

- Jak mam nie pamiętać?

- No to świetnie. Co poza tym słyszeć?

- Nic specjalnego. Szurka Rodionowa z działu zabawek spóźniła się pół godziny i jeszcze chce się po obiedzie zwolnić.

- Zwolnij ją. Ma dziś egzaminy. Do zobaczenia.

- Nie choruj za długo.

Wanda Kazimirowna powiesiła słuchawkę i spokojnie wróciła do domu towarowego. Weszła na piętro do swojego gabinetu, gdzie siedziała Waleria Lwowna.

- Jeszcze raz dzień dobry - powiedziała głosem uprzejmym, ale nieco urażonym, jakim powinny mówić niesłusznie skrzywdzone krewnie wielkiego człowieka.

Na biurku stało już przygotowane pudełko z pantoflami.

Człowiek niedoświadczony mógłby pomyśleć, że Waleria opętana magią telefonicznego rozkazu będzie rozplływać się w uprzejmości. Nic biedniejszego. Waleria udała, że jest pochłonięta studiowaniem faktur, na sekundę tylko oderwała od nich oczy, zakołysała koafiurą i powiedziała sucho:

- Kartkę!

Wanda uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdyż słusznie przypuszczała, że bez liściku żadnych pantofli nie dostanie.

Bez słowa podała kartkę.

Waleria przeczytała ją, przez dłuższą chwilę demonstracyjnie badała podpis zwierzchniczki, potem w milczeniu przesunęła pudełko w kierunku Wandy, i opuściła wzrok.

- Dziękuję ci, Walerio - powiedziała Wanda cofając się ku drzwiom, i nie potrafiąc oprzeć się chęci zakpienia dodała: - Jak twój chłop? Kiedy wczoraj przyszedł do domu?

Waleria popatrzyła na nią zdumionymi, a nawet nieco przerażonymi oczyma.

Wanda pożałowała swego żartu, bo Waleria znów mogła sięgnąć po swój gwizdek. Dlatego dodała pośpiesznie:

- Ciocia prosiła, abym się dowiedziała.

- Spotkamy się z nią, to pogadamy - powiedziała Waleria i długo patrzyła na wychodzącą siostrzenicę. Kiedy jej kroki umilkły na schodach, starannie schowała kartkę od Wandy: przyda się.

Helena omal nie zepsuła Wandzie jej triumfu, gdy kategorycznie odmówiła przymierzenia pantofli.

Ałmaz powiedział:

- Daj spokój, zakładaj, przecież nie będą leżały w szafie. A pieniądze oddasz później.

Wanda lekceważąco machnęła ręką.

Kiedy Sawicz zobaczył, że obie jego ukochane chodzą w jednakowych pantoflach, uznał to za igraszkę losu, a o prawdziwej przyczynie nigdy się nie dowiedział.

30

- Heleno Siergiejewno - powiedział Standol od drzwi, przepuszczając przodem Milicę i Stiepanowa - proszę powiedzieć z łaski swojej, kto poza panią głosował w ubiegłym roku za udzieleniem kredytów na konserwację cerkwi św. Serafina?

- Stiepanow - odpowiedziała Helena Siergiejewna.

- Poznałem - powiedział Stiepanow. - Nawet bez tego bym poznał. Pani w ogóle mało się zmieniła. Dzień dobry, Heleno Siergiejewno. Gratuluję reinkarnacji.

- Stiepanie Stiepanowiczu, jakże się cieszę! - powiedziała Helena. - Przynajmniej jeden żywy człowiek. Bo znaleźliśmy się w jakiejś fałszywej sytuacji.

- Poza dobrem i złem - powiedział Ałmaz Bity z podłogi. Akurat razem z Wanią budował kolejkę linową z nici, pudełek po zapalkach i najrozmaitszych drobnych przedmiotów. Nogi Ałmaza opierały się o ścianę i w ogóle było mu niewygodnie, ale inaczej nie dałby sobie rady z budową.

Stiepanow wypełnił pokój swym ogromnym ciałem i położył album na stole.

- Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia - powiedział. - Dopiero co byłem świadkiem kolejnego niepowodzenia naszych młodych przyjaciół w redakcji. Co innego marzyć o kanarku na dachu leżąc na tapczanie, co innego zaś domyślić się, że to właśnie on sfrunął na parapet i wyciągnąć po niego rękę.

- Bity - powiedział Ałmaz podnosząc się z podłogi jak młody lew, wolno prostując potężne członki. - Jeden z winowajców tego zamieszania. Ale wcale nie żałuję.

- Pewnie, pewnie - zgodził się Stiepanow. - To bardzo szlachetne z pańskiej strony, że zgodził się pan podzielić z innymi takim interesującym sekretem.

- Z początku nie chciałem - powiedział Ałmaz. - Myślałem, że z tego mogą wyniknąć tylko kłopoty.

- A teraz? - zapytała Helena.

- Teraz za późno żałować. Ale kto mi odpowie, czy ludziom potrzebna jest nowa młodość? Do niej też trzeba się przyzwyczaić.

- A pan się przyzwyczaił?

- Nie od razu - odparł Ałmaz. - Prawdziwa młodość bywa tylko raz, dopóki się nie wie, co po niej nastąpi.

- Racja - zgodziła się Helena.

- Ale ty się nie martw - powiedział Ałmaz. - Zabiorę cię na Syberię, a tam znajdzie się odpowiednie zajęcie., Proszę mi powiedzieć - zwrócił się do Stiepanowa. - , Skoro pan już wie wszystko o naszych przygodach, czy zgodziłby się pan, jeśli zostałyby jeszcze nieco eliksiru, przyłączyć się do nas?

- Nie wiem - powiedział z namysłem Stiepanow. - Chyba jednak nie. Jestem zupełnie zadowolony z mojego wieku. Może tylko chciałbym nieco schudnąć. Nadmierna waga przeszkadza.

- To żaden kłopot - wtrącił Standal. - W Moskwie umieścimy pana w Instytucie Żywienia. Stanie się pan smukły jak Apollo. Będziemy mieli znakomite kontakty w świecie lekarskim. W ogóle wszystkie wielkie odkrycia z początku spotykały się z niedowierzaniem i oporami, wywoływały dyskusje, spory i tak dalej. Może, kiedy zjawimy się w Moskwie z receptą na wieczną młodość, z niepełną receptą, nie wszyscy nam uwierzą. A nawet ci, którzy uwierzą, uwierzą nie od razu.

- Ale ja przecież uwierzyłem! - wykrzyknął Stiepanow. - Co więcej, znając wasze przejściowe trudności finansowe, jestem gotów wam pomóc. Mam trochę oszczędności. Oddacie mi później, kiedy sytuacja się polepszy.

- To lubię - powiedział Ałmaz.

- Stiepan Stiepanycz jest puszkinistą - wyjaśnił Standal. - Uwierzył nam, kiedy obejrzał album.

- Tak, interesuję się twórczością Puszkina.

- Milica go znała - zauważył Ałmaz.

- Wie pan, że jakoś trudno mi było w to uwierzyć - wyznał Stiepanow. - Ale uwierzyłem.

- A ja jakoś się z nim nie zetknąłem - powiedział Ałmaz. - Chociaż byłem w owym czasie w Petersburgu i mógłbym uratować Puszkina.

- Cooo?! - Stiepanow opadł ciężko na krzesło, a Wania odskoczył do kąta, obawiając się, że krzesło natychmiast się rozpadnie i jego szczątki zbombardują obecnych.

- Zwariować można - powiedział Stiepanow. - Nigdy by mi coś takiego nie przyszło do głowy.

- Szkoda, że nie spotkaliśmy się wczoraj - odparł Ałmaz. - Byłem wtedy o wiele starszy.

- Ale proszę mi opowiedzieć o Puszkynie - błagał Stiepanow. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi! Pan wspomniał o możliwości jego uratowania, prawda? Czy to był żart?

- Nie, to nie był żart - odpowiedział Ałmaz. - Tylko teraz mamy zbyt mało czasu na tę długą historię.
- Proszę opowiedzieć - odezwała się Helena. - Dla Stiepana Stiepanowicza to jest bardzo ważne.
- Heleny usłucham - powiedział Ałmaz. - Helenie nie potrafię odmówić, bo ona pojedzie ze mną na Syberię.
- Proszę nie mówić głupstw przy dziecku - oburzyła się Helena.
- Pojedziesz - powiedział Ałmaz z przekonaniem. - W styczniu roku 1837 wracałem z Paryża do Rosji. Miałem w Sankt Petersburgu spotkać się z pewnym człowiekiem, przekazać mu listy i pieniądze. A człowieka tego poznałem na Placu Pałacowym w roku dwudziestym piątym...
- Ma pan na myśli powstanie dekabrystów? - zapytał Stiepanow.
- Naturalnie - powiedział Ałmaz.
- Zwariować można - powtórzył Stiepanow.

31

Nie każdemu jest dane dokonać odkrycia. Gdyby było inaczej, dawno już byśmy utonęli w morzu odkryć i wynalazków, nikt nie nadażyłby z ich realizacją i przy pogłębiającej się dewaluacji tych szlachetnych poczynań ludzkość mogłaby zabrnąć w ślepy zaułek: jeśli wszyscy będą dokonywać wynalazków, to kto będzie administrował, kto będzie realizował i kto wreszcie będzie przeszkadzał w realizowaniu?

Grubin czuł się odpowiedzialny wobec ludzkości. Zbudzone rankiem powołanie domagało się konkretnego działania, wobec czego Sasza rzucił się na robotę, jak głodny na kromkę chleba.

Potem szczęśliwa myśl pobrania krwi od wszystkich uczestników eksperymentu, zeszkrobania wilgotnych drzazg z podłogi doprowadzi do odkrycia, które zmieni oblicze ziemi, ale imię Grubina zagubi się wśród trzydziestu trzech laureatów rozlicznych nagród, przyznanych za niezwykle osiągnięcia w dziedzinie nauk biologicznych. Może zresztą jego imienia na liście nagrodzonych w ogóle nie będzie, ale Grubin już nigdy nie wróci do dawnego trybu życia, do pracowitego lenistwa minionych dni.

- Sawicz, co tam widzisz za oknem? - zapytał Grubin zauważywszy, że jego kompan przestał myć szkiełka przedmiotowe. - Czas ucieka.
- Aha - powiedział Sawicz. Jego ręce poruszały się z fachową zręcznością, ale robiły to bez

zapału, automatycznie. Umysł Sawicza był pochłonięty gorączkowym procesem myślowym, poszukiwaniami własnego miejsca w nowym życiu. Poszukiwania nie dawały rezultatów. Chciał pójść do Heleny, wszystko wytłumaczyć i wszystko powiedzieć, a może razem znaleźć wyjście z sytuacji. Ale nie można było skrzywdzić Wandy.

Kruk dreptał wokół akwarium, zaglądał przez szybę, postukiwał w nią dziobem: straszyl rybki i usiłował ściągnąć z akwarium marynarkę, ale robił to bez większego przekonania, bo w gruncie rzeczy doskonale wiedział, że Grubin jest bardzo do rybek przywiązany. Po prostu żartował.

Pośrodku pokoju leżał słoik po majonezie, a spod łóżka dobiegał jakiś chrobot. Po chwili wysunęły się stamtąd trzy duże myszy, zerknęły na kruka, wytoczyły ćwierćlitrową butelkę po wódce i gdy tylko kruk obrócił dziób w ich stronę, prysnęły z powrotem pod łóżko. Kruk sfrunął na podłogę, uniósł dziobem koc, zajrzał pod łóżko i wrócił do rybek.

- Ma pan tu myszy - powiedział Sawicz.

- Ach - odparł Grubin. - Ciężar właściwy: trzy przecinek dwa. Jak sądzisz, ta prasa się nada?

- Do czego? - zapytał Sawicz.

- Do wytłaczania cieczy z drewna.

- Nie wiem.

- A może przemyć drzazgi wodą? Uzyskamy roztwór wodny.

- Jak chcesz - powiedział Sawicz. - Dlaczego nie wykladasz trutki na myszy?

- Co? Przecież one są oswojone. Przynoszą mi opakowania szklane, a ja im za to płacę. Według cennika, jak w zbiornicy. Dwanaście kopiejek za półlitrówkę.

- Nie gadaj głupstw - powiedział Sawicz. - Po co myszom pieniądze?

- Jak to po co? Kupują sobie coś, oszczędzają, zresztą nie wiem. Wiem tylko, że one bardzo lubią pieniądze i za darmo niczego by nie przyniosły. Tylko nie potrafią odróżnić całej butelki od wyszczerbionej. Nie mam pojęcia, jak im to wytłumaczyć, i w ogóle one tu, kiedy będą w Moskwie, zupełnie się rozpuszczą.

- Pan nie żartuje? - zapytał Sawicz.

- Prrrawda, prrrawda - powiedział kruk.

- A po co miałbym żartować? Nie żarty mi w głowie. Po prostu potrafię nawiązać kontakt ze zwierzętami. No to jak, zrobimy wyciąg wodny? Obawiam się, że drzazgi zupełnie wyschną, że wszystko wyparuje.

- Niech pan robi. Preparaty krwi już gotowe, może je pan obejrzeć.

- Najpierw niech pan sam obejrzy, bo ja przecież nie odróżniam leukocyta od erytrocytu. W razie czego proszę mnie zawołać. Mam nadzieję, że w krwi coś się znajdzie. Zapomniałem tylko dla porównania pobrać krew zdrowego człowieka.

- Nie szkodzi, potrafię znaleźć jakieś wyraźne odstępstwa od normy - powiedział Sawicz. - I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Obaj zajęli się pracą i nie odrywali się od niej przez jakąś godzinę. Słońce przesunęło się teraz ku horyzontowi i świeciło wprost w okno, w pokoju zrobiło się gorąco, a z podwórka dobiegały głosy mężczyźni, którzy obsiedli chwiejny stolik pod krzakiem bzu i rozstawiali na nim kamienie domina.

Sawicz podszedł do okna i spostrzegł wchodzącego nieśmiało na podwórko chłopczyka w krótkich spodenkach, w którym natychmiast rozpoznał nieszczęsnego Udałowa.

- Popatrz - powiedział do Grubina. - Przestępcę ciągnie na miejsce zbrodni.

W tej samej chwili któryś z graczy zapytał głośno:

- Jak tam twój chłop, Ksenia? Jeszcze się nie znalazł?

Z okna wprost nad głową Sawicza rozległ się surowy, zimny głos kobiety:

- Niech tylko spróbuje się pokazać. Za wszystko odpowie. Milicja go przyprowadzi. Na komisariacie taki sympatyczny oficer osobiście mi to obiecał.

Grubin, trzymając się z boku, aby go nie było widać z podwórka, wyrzwał na zewnątrz i wyszeptał:

- Jak tego idiotę nasi puścili?

Nie wiedział, że nękany tęsknotą za domem i poczuciem winy wobec najbliższych Udałow dokonał drugiej ucieczki w ciągu dnia. Gotów był ponieść najsroższą karę, gdyż zrozumiał, iż jedynym człowiekiem, który mógł mu pomóc, była Ksenia. Helena nie od razu spostrzegła nieobecność Udałowa, gdyż akurat wtedy wszedł Stiepanow.

- Ksenia! Ksiusza! - zawołał Udałow zatrzymując się na środku podwórza.

Gracze w domino przestali na moment stukać kamieniami. Z okna naprzeciwko żeński głos pomógł Udałowowi:

- Ksenia, jakiś dzieciak cię woła. Może przyniósł wiadomość?

- Ksenia! - ryknął jeden z graczy. - Wyrzyj przez okno.

- Ksiusza - powiedział miękko Udałow ujrzawszy w oknie ukochane oblicze. - Wróciłem,

- Czego chcesz? - zapytała Ksenia z irytacją.

- Wróciłem, Ksenia - powtórzył Udałow. - Zupełnie do ciebie wróciłem. Przyjmiesz mnie?

Gracze zaczęli się śmiać, bo w słowach dzieciaka było coś niepojętego, a jednocześnie niezmiernie śmiesznego.

- Jest coś od Korneliusza? - zapytała Ksenia.

- Jestem od Korneliusza - odparł chłopczyk. - To właśnie ja jestem Korneliuszem. Nie poznajesz mnie?

- On! - krzyknął nagle inny dziecięcy głosik. To wyglądający przez okno Maksymek, syn Udałowa, poznał swojego porannego prześladowcę. - To on mi zabrał spodnie! Mamo, wołaj milicję.

- Trzeba chyba będzie pośpieszyć na pomoc - powiedział Grubin. Wprawdzie psuło to jego plany, ale nie mógł przecież zostawić przyjaciela w biedzie.

- Niech pan poczeka - powiedział Sawicz. - Zapomniał pan o własnym wyglądzie. On zdąży uciec.

- Chuligan! - powiedziała Ksenia. - Zaraz do ciebie zejść!

- Nigdy nie należy skakać wyżej własnego pępka - powiedział refleksyjnie Sawicz. - Życie powinno toczyć się wedle własnych praw.

- Ależ nie, on ma po prostu pecha - zaproponował Grubin.

- On oderwał się od własnego życia, a nie odnalazł się w nowym. Zupełnie jak ja. I co teraz? Rzucić się pod pociąg?

- Za daleko do kolei - powiedział Grubin. - Zdążysz się rozmyślić.

- To nie moja wina - powiedział Korneliusz nie mogąc powstrzymać się od płaczu. - Mnie wbrew mojej woli... Przyprowadzę świadków...

- Popatrz, jaki ten dzieciak podobny jest do twojego Maksymka - powiedział jeden z graczy w domino. - Jak dwie krople wody.

- Rzeczywiście - powiedziała kobieta wyglądająca przez okno na przeciwległym końcu podwórza.

- Przecież jestem twoim mężem! Korneliuszem! - płakał chłopczyk. - Wyglądam tak nie z własnej woli...

Korneliusz ruszył w stronę domu, aby wejść na górę i przyjąć karę pod własnymi drzwiami,

lecz ironiczne okrzyki rozlegające się z tyłu i śmiech dobiegający z otwartych okien skłoniły go do zatrzymania się. Stał więc i wykrzyknął błagalnie:

- Nie śmiecie się ze mnie! Przeżywam prawdziwą tragedię. Moje dzieci są starsze ode mnie. To nieważne, że zmieniłem się zewnętrznie. Ja z tobą, Matwieicz, przedwczoraj grałem w domino. Wygrałeś wtedy trzy partie z rzędu. Tak było?

- Wygrałem - powiedział wąsaty gracz. - A ty skąd wiesz o tym?

- Jak mam nie wiedzieć? - powiedział Udałow. - Przecież grałem z tobą w parze przeciwko Wasi i Kacowi. Nie ma go dzisiaj. To wszystko sprawa medycyny. Dokonano na mnie eksperymentu, zresztą za moją zgodą... Może to było bardzo cenne dla nauki, ale ja mam rodzinę...

- Głos wołającego na puszczy - powiedział Sawicz. - Wypędzą go.

Ksenia tymczasem zeszła na podwórko. W rękę trzymała wiklinową trzepaczkę. Maksymek szedł za nią z siatką na motyle.

- Chodź no tutaj - powiedziała. - Bliżej. Korneliusz opuścił głowę, uniósł do góry wąskie ramionka i podszedł. Ksenia chwyciła go za kołnierz koszuli i szybkim, sprawnym ruchem rozpiąwszy szeleczki ściągnęła spodenki, uniosła dzieciaka w powietrze i zamasyście uderzyła trzepaczką.

- Aj! - powiedział Korneliusz. - Za co?

- Poczekałabyś z tym - poradził Matwieicz. - Może to rzeczywiście nauka.

- To ten! - cieszył się Maksymek. - Przylej mu jeszcze!

Nieoczekiwanie ręka Kseni, uniesiona do następnego klapsa, znieruchomiła w pół drogi. Zdumienie Udałowej było tak oczywiste, że całe podwórko zamarło. Ksenia wypuściła trzepaczkę i uwolnioną w ten sposób ręką ostrożnie dotknęła pupy chłopczyka. Na pośladku widniał duży brązowy pieprzyk w kształcie ludzkiego serca.

- Co to? - zapytała cicho Ksenia.

Korneliusz spróbował, wisząc w powietrzu, wykręcić głowę w ten sposób, aby zobaczyć własne plecy.

- Ludzie kochani! - powiedziała Ksenia. - Przysięgam na zdrowie własnych dzieci, że Korneliusz w tym samym miejscu miał identyczne znamię.

- Przecież mówiłem - rozległ się w martwej ciszy głos Matwieicza - że zanim zabierzesz się do bicia, powinnaś najpierw sprawdzić. Czego to nie bywa w epoce atomu!

- Ksenia, przypatrz się - powiedziała kobieta z przeciwka. - Człowiek rozpacza, a wiesz, że on ma pecha.

Korneliusz, który zaznał wstydu i bólu, sflaczał na rękach Kseni i zaczął gorzko szlochać. Ksenia objęła go, przycisnęła do obfitej piersi i szybko poszła do domu...

- Nie mogę już - powiedział nagle Sawicz.
- Co ci się stało? - zdziwił się Grubin.
- Idę.
- Dokąd?
- Zmęczyło mnie to wszystko, śmiertelnie zmęczyło.

Oczy miał znużone i puste. Studenci nie mewają takich

32

Około siódmej wieczorem wszyscy ponownie zebrali się w domu Kastielskiej. Przynieśli ciepłą odzież i rzeczy niezbędne w podróży. Grubin po zakończeniu doświadczeń przyprzewadził samochód i zajął się przygotowaniem go do drogi na dworzec, który znajdował się w Biełojarze, o czterdzieści kilometrów od Guslaru. Automobil stał w ogródku za domem Heleny Siergiejewny i wolno pykał miedzianym kominem. Kółka niebieskiego dymu unosiły się ponad drzewami i można było pomyśleć, że w ogródku pyka fajkę jakiś leniwy palacz.

Sawicz postawił na ławce w sieni walizkę, wypchaną przeważnie rzeczami Wandy, i z niezrozumiałą dla siebie samego irytacją popatrzył, jak Helena z Wandą z zapalem zwężają sukienki i spódnice, jakby zapomniały o zastarzałej rywalizacji o jego serce. Westchnął i poszedł do ogródka, gdzie krzątał się Grubin.

- Co tam z Udałowem? - zapytał.

Grubin wygramolił się spod wozu, wytarł ręce szmatą i powiedział:

- Obawiam się, że nie starczy drewna. Trzeba będzie załadować je do bagażnika. Pytałeś o Korneliusza?

Koszula Grubina była pokryta plamami kurzu i smaru, we włosach sterczały strużyny drewna. Przypominał małego chłopca, który dostał na urodziny prawdziwy rower.

- Tak. Co słychać u Korneliusza?

- Przed wyjściem z domu wywołałem go na korytarz. Korneliusz jest w dobrym nastroju. Żona dała mu klapsa i przebaczyła. Wybierała się do nas, bo natchnąłem ją nadzieją, iż moskiewscy

lekarze pomogą mężowi. Podaj mi klucz francuski.

- Gdzie on jest?

- Otwórz skrytkę na rękawiczki. Z przodu.

Sawicz zajrzał do wnętrza kabrioletu, znalazł mahoniową szufladę ze złoconą rączką i wysunął ją. W szufladzie leżał nastawny klucz do nakrętek i niewielka szkatułka oklejona czarnym aksamitem.

- A co tu jeszcze jest? - zapytał.

- Gdzie?

- Obok francuza.

- Nie wiem - powiedział Grubin. - Jeszcze nie badałem. Za mało czasu. Samochód zostawię u ciotki, która mieszka w Biełojarze. A jak wrócimy z Moskwy, rozbiorę go na części i z powrotem złożę. Wieczna maszyna. Ręczna robota. Teraz takich już nie robią.

Sawicz z trzaskiem odpiął zameczki w kształcie lwich pysków. Wewnątrz czarnej szkatułki leżała para pistoletów pojedynkowych. Oksydowane lufy płynnie przechodziły w rękojeści wygięte jak ogony przerażonych psów.

- Trzeba Milicę zapytać - powiedział Grubin nie interesując się szczególnie bronią.

Z takiego zabili Puszkina, pomyślał Sawicz podnosząc pistolet na dłoni, jak Hamlet czaszkę Yoryka. Lermontowa też. Odliczało się dziesięć kroków i opuszczało rękę dopóty, dopóki lufa nie znalazła się na jednej linii z piersią przeciwnika. Potem naciskało się spust...

- Ostrożnie - powiedział Grubin postukując czubkiem buta po przedniej oponie. - Bo jeszcze wystrzeli.

- Ciekawe, czy go się nabijało od przodu? - zapytał Sawicz.

- Młodzi ludzie, co tam znaleźliście? - powiedziała Milica, która wyfrunęła do ogródka z wiadrem w ręku. - Gdzie tu jest pompa?

Na widok perskiej księżniczki Grubin zapiął koszulę i zaczerwienił się.

- To są pistolety mojego teścia - powiedziała Milica. - Jak dziś pamiętam. Sawicz, błagam, proszę nie celować. Może pan trafić w Saszeńkę.

Sawicz odłożył pistolet na miejsce. Milica wcale nie bała się, że pistolet może rozerwać się w ręku Sawicza. I w ogóle Sawicz nikogo nie obchodził.

- Mila, nie denerwuj się - powiedział Grubin. - On nie trafi. A poza tym pistolety nie są nabite.

- Saszeńka, bardzo ci do twarzy z tym samochodem - powiedziała Milica. - Chciałabym cię zobaczyć w skórzanej kurtce i lotniczych okularach.

Z domu wyszli Almaz i Stiepan Stiepanowicz, pogrążeni w przyjaznej rozmowie.

- A ja mu wtedy powiedziałem - rozległ się bas Almaza - wasza wysokość może powiesić tych nieszczęsnych ludzi, których jedyna zbrodnia polega na tym, że są głodni, ale wówczas wasza wysokość nie zdoła ująć przed zemstą...

- Jeszcze jeden album? - wykrzyknął Stiepan Stiepanowicz na widok atlasowej szkatułki w rękach Sawicza.

- Nie - odparł Sawicz. - To są pistolety.

- Gdzie je znaleźliście? - zapytał Almaz.

- W samochodzie - odparł Grubin. - W skrytce na rękawiczki.

- To są pistolety mojego teścia - wyjaśniła Milica. - Staruszek lubił powtarzać, że lęka się rozbójników.

Na ganek wyszła Helena Siergiejewna i powiedziała:

- Milico! Panią tylko po śmierć posłać. Gdzie woda?

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała Milica - ale dokonaliśmy ciekawego odkrycia. Saszeńka znalazł stare pistolety.

- To ja je znalazłem - powiedział Sawicz, gdyż było rzeczą niesłuszną przypisywanie znaleziska komuś innemu.

- Natychmiast je schowajcie - powiedziała Helena. - Przecież nie macie pozwolenia na broń.

- Lena, nie obawiaj się - odparł Almaz. - Taka broń może zainteresować jedynie zbieracza. Jak tam z waszymi przygotowaniami do podróży? Wkrótce musimy ruszać.

- Zaraz będziemy gotowe - powiedziała Helena Siergiejewna. - Nikita, oddaj pistolety Almazowi.

Helena patrzyła na Sawicza, który nie chciał rozstawać się z pistoletami, i dziwiła się sobie. Powinna widzieć tęgawego studenta o blond włosach i niebieskich oczach, poczciwego, obraźliwego, widziała zaś starszawego otyłego mężczyznę, jakby ów student dawno już umarł. Nawet poczuła rodzaj zawstydzenia, że poranne spotkanie przyprawiło ją o nieoczekiwane bicie serca.

Sawicz, jak gdyby odgadł myśli Heleny, cofnął się o krok od wyciągającego ku niemu rękę Almaza, nieprzyjaźnie powiódł wzrokiem po jego niedźwiedziej sylwetce i zapytał:

- Dlaczego?

- Trzeba - odpowiedział Almaz. - Oddamy je Stiepanowi Stiepanowiczowi, który umieści je w muzeum. A ty coś dzisiaj zaczynasz brykać. Młodość cię rozpiera?

- Ma pan całkowitą rację - wtrącił Stiepan Stiepanowicz. - Te pistolety mają wielką wartość historyczną.

Sawicz spojrzał na Helenę. Helena stała na ganku i niskie słońce oświetlało ją z boku, a łagodny wietrzyk przyciskał sukienkę do jej dziewczęcego ciała. Diana Łowczyni - pomyślał Sawicz. - Okrutna bogini...

- Siłą mam ci je odebrać czy co? - zapytał Almaz ironicznie.

Wielki czarny kruk sfrunął gdzieś z nieba, usiadł na gałęzi i krzyknął:

- Krrrew!

- Co tu robisz? - zapytał Grubin kruka. - Chcesz jechać z nami?

- Okropność! - wykrzyknęła Milica. - Ten ptak sprowadzi na nas nieszczęście!

- Brrrednie - powiedział kruk.

Sawicz cofał się przed nacierającym Almazem.

- Heleno, moje słonko, co mam z nim zrobić? - zapytał kpiąco Almaz. - Wybaczyć czy wyzwać na udeptaną ziemię?

- Nie żartujcie z bronią - powiedziała Helena surowym tonem. - Nikita, przestań się wygłupiać.

- Te pistolety mają co najmniej ze sto lat - powiedział Grubin. - Ląduje się je od przodu.

- Na udeptaną ziemię! - roześmiała się Milica. - Pamiętam, jak to bywało.

- Panowie, weźcie pod uwagę - powiedział Almaz - że ja trafiam na trzydzieści kroków w czerwienego asa.

- W czerwienego asa - powtórzył Sawicz jak zahipnotyzowany. - W samo serce.

Milica podbiegła, odebrała Sawiczowi szkatułkę i powiedziała:

- Będę waszym sekundantem. Bez sygnału nie strzelać. Dwanaście kroków. Walczycie o serce pięknej damy.

- Wcale nie potrzebuję walczyć - powiedział Almaz patrząc na Helenę - bo serce i tak zabiorę.

Całkiem możliwe, myślał Sawicz, że sto lat temu gdzieś niedaleko cofał się w kierunku zarośli

inny mężczyzna, taki sam jak ja, ale inny. Narażono na szwank honor ukochanej kobiety. Kobiety, która nigdy nie będzie do ciebie należeć, lecz dla której gotów jesteś umrzeć. Zamiast samochodu stała karetka. Czarna karetka. Ale kobieta została utracona. Utracona dwukrotnie, gdyż jeśli nawet człowiek wróci na rozdroże, zdobędzie prawo wyboru innej drogi, droga ta mimo wszystko zaprowadzi go w to samo miejsce.

- Dawno już tak nie stałem z pistoletem. Odzwyczaiłem się - powiedział Almaz odbierając broń z rąk Milicy, poczym sprawnie odciągnął twardy kurek. - Przygotuj się, kornecie.

- A czy pojedynkował się pan kiedyś? - zapytała Szuroczka, która biegła po bilety do miejskiej kasy i wróciła w najgorętszym momencie.

- Dwukrotnie, kochanie - odparł Almaz. - Dwukrotnie.

- I oba razy o kobietę?

- Nie, oba razy o poważne sprawy. O kobietę walczę po raz pierwszy - powiedział Almaz, obrócił się ponownie do Heleny i poprosił: - Ofiarowałabyś mi chusteczkę na pamiątkę...

- Almazie Fiedotowiczu! - powiedziała surowo Helena.

- Żartuję.

Sawicz ścisnął ciepły, poręczny uchwyt pistoletu i poczuł, jak zrasta mu się z dłonią, a ręka zaczyna się wolno unosić, bowiem trzeba, aby pierś przeciwnika i lufa broni znalazły się na jednej linii.

Almaz nie spieszył się. Podrapał się pistoletem za uchem i powiedział obojętnie:

- Sawicz, zapomniałeś odwieść kurek. W ten sposób broń ci nie wystrzeli.

Sawicz usłuchał.

- Mocniej ciągnij - powiedział Almaz. - Na razie go zabezpieczyłeś. Tak, teraz jest w porządku. Celuj. Wiesz jak?

- Wiem - powiedział Sawicz.

W głowie przewalały mu się skłębione myśli. Upadnę, to znaczy on upadł brocząc krwią, upadł na trawę, a krew splamiła mu koszulę, zobaczę, to znaczy on zobaczy zrozpaczone oczy Heleny, rozkochane oczy Heleny, utracone na zawsze oczy Heleny...

- Pali - krzyknęła Milica.

Almaz, któremu ta zabawa już się nieco znudziła, wprawnym ruchem przesunął lufę w górę i w bok, żeby przypadkiem kogoś nie postrzelić, i szcęknął kurkiem. Opuścił rękę i chciał już odejść, kiedy Sawicz krzyknął:

- Stój! Mój strzał!

Sawicz dostrzegł uśmiech przeciwnika, ale nie potrafił się zatrzymać. To był pojedynek i jeden z nich musiał zginąć.

Grzmotnęło, pistolet szarpnął się w rękę. Pocisk, który spokojnie przeleżał w lufie ponad sto lat, gwizdnął nad uchem Ałmaza i zniknął, strąciwszy po drodze gałązkę z drzewa. Helena rzuciła się ku Ałmazowi, stojąca na ganku Wanda wyrzuciła w przerażeniu ręce do góry. W oddali rozległ się czyjś wrzask, i zaległa cisza.

Zamilkły nawet ptaki i pszczoły.

- Nie sądziłem - powiedział Sawicz upuszczając pistolet na trawę - że on wystrzeli. Przecież jest taki stary.

- Bałwan - powiedział Ałmaz.

- Prawdziwy pojedynek - powiedziała lekkomyślna Milica. - Ałmaz ma prawo do strzału. Heleno Siergiejewno, proszę nie płakać. On i tak by nie trafił z tej odległości.

- Przepraszam - powiedział Sawicz.

Rozpaczliwy wrzask, który rozległ się w chwili wystrzału za furtką, zbliżał się coraz bardziej. W ogródku zjawił się Udałow. To właśnie on był źródłem owego wrzasku.

- Zostałem zabity! - oświadczył.

- Do czego to podobne? - zapytała Ksenia Udałowa wchodząc za mężem do ogródka.

Udałow był bez spodenek. Spodenki niosła za nim żona. Na biodrze Udałowa widniał siniak. Ksenia pokazała wszystkim kulę.

- Wyjęłam ją ze spodni - powiedziała. - Złożę skargę.

Sawicz odwrócił się na pięcie i uciekł do sieni, odepchnąwszy stojącą w drzwiach Wandę. Zaprażył, żeby zrobiło się ciemno.

- Oddaj spodnie - powiedział Udałow do żony biorąc się w garść. - Nie jestem smarkaczem.

Wieczór był wietrzny i zapowiadał zmianę pogody. W samochodzie ulokowano najpierw kobiety i dzieci. Ksenia z Udałowem na kolanach usiadła obok kierowcy. Grubin chciał tam umieścić

również Milicę, ale Wania, którego trzeba było wziąć do Moskwy, żeby oddać mamie, stanął okoniem. On również chciał być przy kierownicy i Helena Siergiejewna musiała się z nim przenieść na przednie siedzenie. Wania natychmiast zaczął dokazywać i zaczepiać Udałowa, a Ksenia, współczując mężowi, zerkała z irytacją na cudzego dzieciaka.

Tylne siedzenie zajęła Szuroczka, Wanda i Milica, a Stiepan Stiepanowicz z albumem i ponury Sawicz przysiedli na walizkach. W ostatniej chwili Sawicz oświadczył, że nigdzie nie pojedzie, ale Ałmaz wziął go na stronę, porozmawiał chwilę i namówił do wyrażenia zgody. Wanda wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić go po ramieniu, ale Sawicz odsunął się, więc powiedziała:

- Jak nie, to nie. Od wieków wybierałam się do Moskwy. Przecież mam do tego prawo na starość.

- I tak nie możesz pojawić się w pracy - powiedział Grubin.

Sawicz milczał.

Ałmaz i Misza Standal ulokowali się na tylnym stopniu. Automobil budowano w latach, kiedy jeszcze istnieli lokaje, wobec czego wyposażono go w stopień tak szeroki, że zmęczony fagas mógł na nim przysiąść.

Kotka Milicy, o której wszyscy zapomnieli, w ostatniej chwili zdążyła wskoczyć do samochodu, i kruk, krążący nad Grubinem, poczuł się tym dotknięty, krzyknął więc na nią, żeby się nie wychylała.

- Ale arka Noego! - powiedział Ałmaz. - Ruszaj, sałata. Jedziemy podbijać stolicę.

Grubin dodał pary, dym wystrzelił w pociemniałe niebo, w trzewiach automobilu załomotało i kabriolet wolno, niczym parowóz ciągnący półkilometrowy skład wagonów, ruszył z miejsca.

Kruk usiadł na chłodnicy, zatrzepotał skrzydłami i zaśpiewał fałszywie:

- "Żegnaj, miasto ukochane!"

- Nie przeszkadzaj - powiedział Grubin, przekrzykując stuk silnika. - Zasłaniasz mi drogę.

Wania wtórował krukowi i wówczas ptak, żeby duet lepiej brzmiał, przefrunął Wani na ramię. Ksenia obawiała się kruka i osłaniała przed nim Udałowa.

Miasto przejechali wolniutko, wzbudzając sensację i wywołując ironiczne komentarze ludności. Wcale ich to jednak nie peszyło, gdyż oderwali się już od miejskiego życia.

Wypolerowane do połysku mosiężne i srebrne detale automobilu promieniowały łagodnym blaskiem. Na skrzyżowaniu spotkali redaktora Malużkina. Poznał on żółtą łysinę Stiepana Stiepanowicza, która kołysała się ponad krawędzią kabrioletu, poznał Standala stojącego na tylnym stopniu, zdziwił się i obraził, i zdążył krzyknąć:

- Żebyście jutro byli w redakcji przed dziesiątą. Będzie zebranie w sprawie dyscypliny!

Standal uniósł rękę pozdrawiając Malużkina i odparł:

- Pomiął pan dziś dwie okazje zdobycia sławy. Współczujemy panu!

Malużkin nie dostyszał odpowiedzi podwładnego, bo przeszkadzał mu w tym łoskot silnika, ale na wszelki wypadek pogroził palcem.

Samochód wjechał między podmiejskie domy z rzeźbionymi obramowaniami okien, ogródkami od frontu i wysokimi antenami telewizyjnymi. Ciężarówka trąbiła wyprzedzając automobil, a jeden z kierowców wychylił się z kabiny i powiedział do Grubina:

- Numer zgubiłeś. Uważaj, żebyś nie złapał mandatu. - O rany! - spłoszył się Grubin. - Rzeczywiście nie mamy numeru.

- Nie przejmuj się - odparł Ałmaz. - Jeśli tutaj nam się poszczęści, to na stację przyjedziemy już po ciemku.

Kiedy minęli zakręt w stronę domu wypoczynkowego, z nizinki zaczęła napływać mgła, która zawisała nad szosą niczym tiulowe firanki i zwierzała się za samochodem, wytłumiając stukot silnika. Dym z komina opadł do tyłu i zlewał się z mgłą. Las ze wszystkich stron obstąpił podróżników, skradając się czujnie i nieufnie.

- Jakoś mi zimno - powiedziała Milica. - Kiedy byłam babcią, miałam mnóstwo różnych szali.

- Chcesz moją koszulę? - zapytał Grubin odwracając głowę.

- Patrz na drogę - powiedziała Ksenia przyciskając do piersi ukołysanego Korneliusza.

- Dziękuję ci, Saszeńka - powiedziała Milica. Zaplątała palce w jego czuprynie i samochód zatoczył się jak pijany.

W tej samej chwili Grubin nacisnął hamulec. Przed nimi pośrodku drogi stał człowiek zanurzony po pas we mgle.

34

Człowiek podniósł rękę.

Grubin uniósł się, wychylił do przodu i powiedział:

- Masz szczęście, że poruszamy się z taką małą szybkością. Gdyby to była wywrotka, zostałyaby

z ciebie tylko mokra plama.

- Wiem - powiedział człowiek.

- Prosimy więc zejść z drogi - powiedział Grubin. - W autobusie nie ma już wolnych miejsc.

- Proszę się odsunąć - Ksenia poparła Grubina. - Wieziemy chore dziecko.

- Wiem wszystko - powiedział człowiek. - Proszę opuścić samochód.

- Co? - zdziwił się Grubin.

- Społeczny inspektor ruchu - powiedział Standal.

- To jest mój samochód - wyjaśniła Milica. - Jedzie za moją zgodą. Nie przekroczyliśmy żadnego przepisu. Spieszmy się do Moskwy.

- O to właśnie chodzi - powiedział człowiek. - Ałmazie Fiedotowiczu, nie poznał mnie pan?

- Poznałem - powiedział cicho Ałmaz. Tak cicho, jak nie mówił ani razu w ciągu ostatnich dwóch dni. - Poznałem.

- Ałmazie Fiedotowiczu, pogwałcił pan naszą umowę - powiedział człowiek. - Uprzedzałem pana o konsekwencjach.

- Tak - odparł Ałmaz podchodząc blisko do nieznanego. Okazało się, że jest od niego wyższy co najmniej o dwie głowy.

- Dopóki używał pan eliksiru młodości tylko dla siebie, zobligowany wdzięcznością za uratowanie mi życia, nie stawiałem żadnych przeszkód. Nie czyniłem tego również i wtedy, kiedy użył pan środka przeciwko starości do wyleczenia pańskiej bliskiej znajomej Milicy Bakszt. Jednak wczoraj, powodowany strachem przed nadchodzącą śmiercią, ujawnił pan sekret postronnym. Tym postępkem postawił pan mnie w trudnej sytuacji. Jestem zmuszony podjąć odpowiednie kroki.

- Wybacz - powiedział Ałmaz. - Jakoś tak wyszło. Ale ł tym strachem przed śmiercią przesadziłeś. Po prostu mam wiele spraw do załatwienia i nie mogę teraz umrzeć.

Nieznanomy promieniował słabym blaskiem i mgła w jego pobliżu wydawała się nieco jaśniejsza. W półmroku trudno było dojrzeć rysy jego twarzy. Człowiek mówił poprawnie, ale monotonicznie i beznamiętnie, jakby odczytywał stosowny dokument z okrągłą pieczęcią.

- Domyślasz się, kto to jest? - zapytał Grubin Milicę.

- Tak - odparła dziewczyna przerażonym szeptem.

- Ja też.

Standal zeskokzył ze stopnia i chciał podejść do rozmawiających, ale malutki człowiek powstrzymał go gestem ręki.

- Pan i tak znakomicie wszystko słyszy ~ powiedział. Standal stanął.

Cała ta scena postronnemu widzowi mogłaby się wydać zagadkowa, a nawet złowieszcza. Staroświecki, zwilgotniały od mgły automobil stał pośrodku szosy, a świerki wyciągały ku niemu czarne łapy. Przed nim, po pas we mgle, znieruchomiał Ałmaz i kosmiczny podróżnik. Ludzie w kabriolecie również znieruchomieli, zdrętwieli. Jedyne kruk wolno chodził po masce postukując długimi pazurami.

- Jestem zmuszony odebrać wam niezasłużony dar - powiedział człowiek. - Powróćcie do poprzedniego stanu i wspomnienie o waszej przygodzie wyda się wam jedynie dziwnym snem.

- Nie! - powiedziała Milica. - Nie, tylko nie to! Przecież jestem młoda, bardzo młoda!

- Oszczędź ich - poprosił Ałmaz.

- Ciebie też oszczędzić?

- Jak chcesz.

- Nie mam prawa - powiedział nieznajomy. - Ziemia jeszcze nie dorosła do młodości. Mogłbym pozostawić was w spokoju, gdybym był pewien, że całe to wydarzenie nie zostanie rozgłoszone. Ale udajecie się do Moskwy i jutro spotkacie się z uczonymi, których zdołacie przekonać, iż to, co wam się przydarzyło, wydarzyło się naprawdę. Macie dokumenty i fotografie, na których wasz wiek absolutnie nie odpowiada waszemu obecnemu wyglądowi. W rezultacie naukowcy, przekonawszy się, że przygotowanie eliksiru młodości jest możliwe, zaczną pracować w tym kierunku. Po jakimś czasie, za parę lat, zdołają zapewnić ludziom wieczną młodość. Nie możemy do tego dopuścić. Ziemia nie dorosła do takiego daru, nie jest jeszcze do niego przygotowana.

- Ja nikomu nie powiem. Przysięgam, że nikomu nie powiem! - płakała Milica, - Saszeńka, powiedz mu, że ty też nikomu nie powiesz!

- Istotnie nikomu nie powiemy - potwierdził Misza Standal, który przeraził się, że znów zobaczy zgrzybiałą staruszkę Bakszt.

- Młody człowieku - powiedział Przybysz z Kosmosu i wyrzutem w głosie. - Doskonale rozumiem, że panu osobiście nic nie zagraża. Mogłoby się wydać, że z pańskiej strony nie będzie żadnych przykrych niespodzianek. Zapomniał pan jednak, że mogę czytać myśli. Ałmaz Fiedotowicz zapewne powiedział wam o tej mojej umiejętności. Pańskie myśli kryją w sobie podstęp i oszustwo. Ma pan nadzieję, że uwierzę, pozostawię was w spokoju, a potem będziecie mogli kontynuować podróż. - Obrócił się w stronę Grubina i powiedział szybko: - Proszę wyjąć rękę ze szkatułki. Pistolety i tak są nabite. Nie zdoła mnie pan zabić, a jeśli nawet, to na moje miejsce przyjdą inni i odbiorą wam młodość. To będzie sprawiedliwe.

- Babciu, nie słuchaj wujka - powiedział Wania. - Taka mi się bardziej podobasz.

- Moja decyzja jest nieodwołalna - powiedział człowiek. - Osobiście wam współczuję. Nie jestem okrutny i wierzę, że w swoim czasie, za kilkaset lat, wasi potomkowie...

- On blefuje! - powiedział nagle Grubin bardzo głośno. - Almaz, nie słuchaj go. On blefuje. Nigdy nie zmusi nas do przełknięcia swoich antytabletek i antykropli.

- Nie - odparł człowiek - nie oszukuję was. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie będziecie chcieli zażyć odtrutki. Mam inny sposób na przywrócenie sprawiedliwości.

W jego ręczce pojawił się czarny aparat, przypominający rewolwer z obciętą lufą. Z aparatu wytrysnął zielony promień, rozpylił się w powietrzu, zalśnił miękkim seledynem w oparach mgły i ogromnym ciężarem zwałił się na ludzi. Grubin zatrzymał się w pół skoku, Almaz i Standal zwalili się na zimny asfalt, utonęli we mgle, a perska księżniczka urwała na wysokiej nucie rozpaczliwy krzyk...

Ale świadomość jeszcze nie zgasła. Myśli galopowały, skakały przez przeszkody, odliczały ostatnie sekundy.

Helena widziała własne ręce, przyciskające Wanię do piersi. Ręce były młode i silne, więc drętwiała z przerażenia, że zaraz osłabną, pokryją się zmarszczkami.

Milica szeroko otwartymi oczyma patrzyła na przednią szybę kabrioletu, która wyglądała jak czarne lustro. W tym zwierciadle widziała miękki owal twarzy i kruczoczarne włosy spływające na ramiona. Te włosy wypadną, wyblakną, podbródek uniesie się do góry i głębokie bruzdy przeorzą kąciki zapadniętych ust. Milica błagała zapomnianego Boga, aby zesłał jej szybką śmierć, żeby umarła, zanim nastąpi straszliwa przemiana.

Almaz zamknął oczy. Spowijająca go biała mgła była materialna i ciężka. Pomyślał z żalem o rzece. Wyobraził ją sobie: i brzegi obramowane brudną pianą, i pozółkłe krzewy na brzegach, i ryby pływające w zrudziałych falach białymi brzuchami do góry. Przyrzekł rzece, że ją uratuje. Nie dotrzymał słowa. Mimo wszystko wróci tam, bo do śmierci zostało mu jednak jakieś kilka dni.

Grubin z nienawiścią myślał o swoim pokoju zawalonym rupieciami, o życiu wśród tych rupieci, ale ziarenka z przerwana w pół słowa "Pieśnią o Wieszczy Olegu", które wyrzucił kurom, wcale nie żałował.

Wandę nawiedziła dziwna myśl: bolała nad tym, że nigdy nie przespaceruje się po Moskwie w modnej sukience i nie będą się za nią oglądać nieznajomi, przystojni mężczyźni.

Grubinowi przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Nie odważył się dotąd dotknąć perskiej księżniczki, a teraz było za późno, i nie było sił, żeby odwrócić głowę, żeby na zawsze zapamiętać...

Łzy toczyły się po policzkach Szuroczki. Twarz miała mokrą i gorącą, ale nie mogła jej obetrzeć. Tak bardzo chciała pocieszyć Helenę Siergiejewnę...

A Helena wyobraziła sobie rzekę, nad którą mogłaby mieszkać z Almazem. Teraz, kiedy miała

pewność, że “to się nie spełni, mogła się. do tego przyznać...

Zielony promień ustąpił miejsca żółtemu i myśli zgasły.

35

Człowieczek odrzucił na bok, w mgłę, niepotrzebny już aparat, który unicestwił działanie eliksiru. Sprawiedliwości stało się zadość... Ruszył w stronę samochodu i po drodze przestąpił przez nieruchome ciało Ałmaza.

Człowieczek był smutny. Odebrał myśli tych ludzi i przeklinał chwilę, w której podarował Ałmazowi sekret młodości. Gdyby wówczas wiedział, że nie tylko on sam zapłaci najwyższą cenę za chwilę słabości...

Dorosły, gruby Udałow zsunął się z kolan tęgiej kobiety, swojej żony, a jego głowa oparła się na krawędzi karoserii. Człowieczek ostrożnie unióś tę głowę za rzadkie, jasne włoski i wpatrzył się w zadartonosą, zamyśloną twarz. No cóż, Udałow szybko pogodzi się z powtórным przeobrażeniem, bo przywykł do dziwnych historii. Myślałby kto! Był dziś ośmioletnim chłopczykiem i znowu stał się kierownikiem komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego.

Człowieczek zajrzał na tylne siedzenie. Sawicz, który siedział na walizkach oparty plecami o Stiepana Stiepanowicza, przypominał teraz swego sąsiada. Na twarzy prowizora zastygł wyraz skrzywdzonego dziecka, jakby do ostatniej chwili nie mógł się zdecydować, czy zajście na drodze jest dobre dla niego, czy też nie.

- No cóż - powiedział głośno człowieczek. - Spełniłem swój obowiązek.

Już niemal zupełnie się ściemniło, a mgła zaczęła przelewać się przez wierzch samochodu. Gwiazdy mrugały na granatowym niebie w szczelinach między szarymi chmurami. Wiatr wyginał wierzchołki świerków, co sprawiało wrażenie, jakby drzewa wzdychały i szeptały tajemniczo pochylając się ku sobie.

Człowiek przeniósł wzrok na Milicę, chociaż nie chciał tego robić, gdyż obawiał się, że nie zniosła swego nieszczęścia i umarła.

Milica siedziała z głową odrzuconą na oparcie skórzanej kanapy, a jej piękna twarz była spokojna, jakby w ostatniej sekundzie pogodziła się z losem. Krucze włosy spływały po policzkach i zwijały się w pukle na stromej piersi. Długie rzęsy czarnymi półkolami podkreślały błądź policzków.

- To niemożliwe! - wykrzyknął człowieczek.

Obok Milicy, niezręcznie pochylona ku Sawiczowi, siedziała młoda Wanda.

Człowiek bezceremonialnie odsunął Udałowa i zajrzał w twarz Heleny Siergiejewny. Kastielska była młoda, tak samo młoda, jak pięć minut temu.

- Co, nie udało się? - zapytał kruk podrywając ślą t maski.

Człowiek machnął ręką na ptaka, odbiegł od samochodu, pochylił się, zniknął we mgle i zaczął na oślep szukać Ałmaza. Wreszcie go wymacał i uniósł za ramiona. Ramiona były ciężkie, pełne, skóra zaś gładka i jędrna.

- To niemożliwe - powtórzył człowiek prostując się.

W tej samej chwili skończyło się działanie promienia i ludzie odzyskali przytomność.

Milica przede wszystkim dostrzegła dorosłego Udałowa, który usiłował wstać z podłogi u stóp swojej żony. Zobaczyła go i rozplakała się, lękając się przenieść wzrok na Saszeńkę i nie śmiejąc nawet poruszyć ręką. Wanda zaś zobaczyła męża i gorzko krzyknęła.

Z mgły, niczym bajkowy rycerz z morskiej fali, wyłonił się Ałmaz Bity. Poklepał się po ramionach, przeciągnął i zapytał:

- No cóż, wędrowcze, nie udało ci się?

Człowiek pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem, dostrzegł smukłą sylwetkę Heleny, usłyszał głos Wani: "Wszystko w porządku, babciu, nie martw się. Jesteś tak samo ładna". Wtedy powiedział:

- Zrobiłem wszystko tak, jak powinienem zrobić.

- Nie udało się! - wrzasnął kruk.

Sądzę - ciągnął człowieczek rzeczowym tonem - że do poprzedniego stanu wrócili jedynie ci osobnicy, którym młodość była niepotrzebna. Pozostali podświadomie potrafili przeciwstawić się działaniu żółtego promienia.

- Dobra, dobra, pewnie się lepiej na tym znasz - rzucił pobłażliwie Ałmaz. - No i jak, Udałow, teraz jesteś zadowolony?

- Zadowolony - odpowiedziała za niego Ksenia i nie mogąc powstrzymać się od płaczu, zaczęła powtarzać: - Wrócił mój zajaczek, wrócił. Niech cię dotknę.

- Daj spokój, daj spokój - mruknął Udałow zażenowany tym, iż żona używa słów zastrzeżonych dla sytuacji intymnych. - Przecież mówiłem, że wszystko się ułoży.

- Chyba dobrze się stało - powiedział Stiepan Stiepanowicz.

- Ale to przecież niesprawiedliwe - zaproponował Sawicz. - Za co właśnie mnie to spotkało? Przecież pragnąłem pozostać młody nie mniej niż Wanda lub Helena.

- Nie martw się, mój drogi - powiedziała mu Wanda i jej białe zęby błysnęły w ciemności. - Kocham cię. Taki nawet jeszcze bardziej mi się podobasz.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem - powiedział raz jeszcze człowiek z kosmosu cofając się ku skrajowi lasu i rozsuwając gałęzie świerków. - Odlatuję, Ałmazie Fiedotowiczu, mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. W bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Dziękuję ci - powiedział Ałmaz.

- Nie ma za co - odparł człowiek.

- Proszę się nie gniewać za kłopot, który panu sprawiliśmy - powiedziała Szuroczka.

- Drobiazg.

- Dziękuję za Korneliusza - powiedziała Ksenia. - Bo co bym zrobiła z trzema dziećmiakami bez męża?

Człowiek uśmiechnął się smutno i rozpląnął w ciemności.

36

W jakieś dwadzieścia minut później Grubin ponownie zaczął dorzucać do paleniska. Musiał się spieszyć, żeby zdążyć na moskiewski pociąg. Krzątał się przy kotle, a Milica trzymała świeczkę osłaniając jej płomyk przed wiatrem. Palce przeświecały różowo, a oświetlona od dołu twarz stała się zagadkowa. Grubin kręcił głową i Amaz zaczął gderać, żeby zajął się robotą zamiast gapić się na księżniczkę.

- Zaczekam tu na ciebie - powiedział Sawicz do żony. - Jedźcie sami. Muszę pomyśleć, przemyśleć bardzo wiele rzeczy.

- On ma kompleks niższości - poskarżyła się Wanda Helenie, bo niby komu miała się poskarżyć? - Różnica wieku między nami nie jest znów taka wielka. Mamy przed sobą co najmniej dwadzieścia lat szczęśliwego pożycia. Powiedz, Lena, czy jestem złą żoną?

- Nie namawiaj go - powiedziała Helena Siergiejewna. - Niech zostanie.

- A jak popełni samobójstwo?

- Nie popełni - powiedział Ałmaz.

- Nie lubię, kiedy się o mnie mówi jak o nieobecny - powiedział Sawicz i odwrócił się, żeby odejść, ale Wanda go dopędziła.

Udałow obejmował Ksenię w tali i mówił do Grubina gorączkowym tonem, jakby stał na peronie u drzwi odchodzącego pociągu:

- Powiem naszym, sąsiadom z domu, żeby się nie denerwowali, i rybki będę karmił. Za światło zapłacę, nie bój się. I za mieszkanie. Oddasz po powrocie. Pisz listy, Sasza. Szkoda, że nie wypiliśmy na drogę.

- Ciągle tylko o jednym myślisz - powiedziała Ksenia czule. - Nic, tylko byś pił.

- Pewnie się bardzo bałeś, Saszeńka? - zapytała Milica zdmuchując świecę.

- Nie - odparł Grubin z udawaną beztroską. - Pamiętałem, że mamy w walizce próbki eliksiru. Powtarzałem w duchu tabliczkę mnożenia, żeby Przybysz z Kosmosu nie przeczytał moich myśli. W najgorszym razie odłożylibyśmy młodość na jakieś dwa lub trzy lata.

- Ja bym nie zdążyła - powiedziała Milica takim tonem, jakby chodziło o kogoś innego.

- Pisz, nie zapominaj - powtórzył Udałow gładząc się dłonią po brzuchu, rozkoszując się solidnością swego dorosłego ciała. Ubrany był w piżamę Sawicza, gdyż spodenki Maksymka rozleciały się na strzępy podczas powtórnego przeobrażenia.

- Pisz, Nikitka - powiedziała Wanda wsiadając do samochodu. - Na poste restante. Jak tylko przyjadę, natychmiast wyślę do ciebie telegram.

Samochód sapnął i ruszył.

Wanda uniosła się z kanapy i obejrzała się za Sawiczem. Sawicz nie odwracając głowy odchodził we mgłę.

Udałow i Ksenia objęci stali po pas we mgle i machali rękoma na pożegnanie.

Oni też rozplynęli się we mgle i w łoskocie tłoków.

Samochód płynął rzeką mglistych oparów.

Przez nieboskłon przemknął odlatujący statek kosmiczny, nie wyróżniając się niczym spośród innych sputników i rakiet.

Około trzeciej nad ranem pociąg zbliżał się do Wołogdy. Za oknami rozpościerał się nieśmiały letni brzask, a drzewa odsuwały czarne listowie od rozpędzonych wagonów. Za uchylonymi, żeby nie było tak duszno, drzwiami przedziału wdychali, przewracali się z boku na bok, pojękiwali przez sen

pasażerowie z Wielkiego Guslaru.

- Chodźmy zapalić na pomost - powiedział Ałmaz.

- Ja nie palę - odparła Helena.

- No to po prostu postoisz ze mną.

Drzwi na pomost otwarły się zamasyście, w uszy uderzył stukot kół wagonu. Na pomoście było znacznie chłodniej.

- Zdumiewająca historia - powiedziała Helena. - Nigdy bym w nią nie uwierzyła, gdyby ktoś mi opowiedział. Dlaczego właśnie ja? Przecież na świecie żyje trzy miliardy ludzi i wielu oddałoby wszystko, żeby znaleźć się na moim miejscu.

- Zwyczajna loteria - odparł Ałmaz zaciągając się z przyjemnością tanim papierosem. - Szczęśliwy los.

- Ten los nie dla wszystkich okazał się szczęśliwy.

- Milionową wygraną też można przepić albo przegrać w karty, a potem powiesić się z rozpacz.

Zamigotały żółte gwiazdki latarni i pojawiła się rozległa, ciepła, jasna plama stacyjki. Pociąg nieco zwolnił.

- Co będzie dalej? - zapytała Helena. - Co będzie z nami?

- Chcesz zajrzeć w przyszłość? Mogę ci w tym pomóc.

- Jesteś również jasnowidzem?

- Jeśli człowiek żyje tak długo, jak ja, wszystkiego może się nauczyć.

- Wobec tego opowiedz, co będzie ze mną.

- Twoją przyszłość jest najłatwiej przewidzieć. Wyjdiesz za mnie. Nie teraz jeszcze, ale za rok. Pojedziesz na Syberię. Będziesz uczyć dzieciarnię w szkole. Urodzisz mi syna.

- Nie jesteś jasnowidzem - oburzyła się Helena - tylko wstrętnym uwodzicielem, wykorzystujesz ufność naiwnej pani.

- Chciałaś słuchać, więc się nie oburzaj - odparł Ałmaz. - Ja się nie zmienię. Taki już mam charakter, że nadal będę urządzał awantury, narażał się na kłopoty, dyskutował, gdy nie trzeba, nie słuchał, kiedy należy słuchać. Słowem, najbliższe sto lat będę miał wypełnione po brzegi.

- To brzmi przekonująco - uśmiechnęła się Helena. - Ten wariant mi się podoba. A teraz

opowiedz o innych.

- O innych? Nasz przyjaciel Sasza Grubin zajmie się nauką. Stanie się w końcu członkiem korespondentem Akademii Nauk. I dziwakiem. Im będzie starszy, tym bardziej będzie dziwaczał. Stanie się typowym roztargnionym profesorem, co to kalosze zakłada nie na tę nogę i wychodzi na deszcz bez kapelusza. A jego małżonka będzie wybiegać za nim na ulicę i wykrzykiwać: "Sasza, co ja mam z tobą zrobić?"

- Milica?

- Co tu ma do rzeczy Milica? Milica za niego nie wyjdzie. Odrzucenie i utonięcie w wirze moskiewskiego życia. Kupi sobie nowy sztambuch, a jakiś poeta napisze w nim wiersz o czarnych oczach perskiej księżniczki.

- O Sawiczach nie mów, sama wiem - powiedziała szybko Helena.

- Nie wiesz. Niedługo z sobą pożyją. Uciekną od siebie. Sawicz będzie za tobą wzdychał, przysyłał okolicznościowe życzenia. On chyba najgorzej na tym wszystkim wyszedł: i ciebie nie zdołał odzyskać, i Wandę straci.

- Domyśliłaś się?

- Ślepy by to zauważył. Żal mi go... Kto nam jeszcze został? Aha, Standal. A więc Standal napisze swój koronny artykuł. Kiedy przyjedzie do Domu Dziennikarza, szatniarze powitają go jak kumpla, a młodzi żurnaliści zaczną pytać: "Kim jest ten facet podobny do Czechowa?" A starsi koledzy odpowiedzą im na to: "To Standal. Pamiętasz artykuł «Cudowny eliksir»? Od niego się wszystko zaczęło". Młodzi dziennikarze będą patrzeć na niego z zazdrością, gdyż każdy chciałby napisać artykuł, który z gazetowej efemerydy przejdzie wprost do historii. A Malużkin, guslarski redaktor, będzie aż do emerytury tłumaczył kolegom: "Wiesz, jak to jest, pielenie..."

- O Standalu opowiedziałeś mi szczegółowo. A co będzie z Szuroczką? To moja uczennica.

- Pozostanie twoją uczennicą. Zda egzaminy na wyższą uczelnię, zdobędzie dyplom historyka, szczęśliwie wyjdzie za mąż, urodzi troje dzieci, podobnych do niej jak dwie krople wody, ale z pracy nie zrezygnuje...

- Masz bujną fantazję - powiedziała Helena. - Robi się chłodno. Pora iść spać. Zanim się człowiek obejrzy, znajdzie się w Moskwie. Jak tam będzie?

- Tak w dwóch słowach nie da się tego opowiedzieć, to cała powieść fantastyczna, która zacznie się w momencie, gdy wysiadziemy na Dworcu Jarosławskim, a skończy się z chwilą utworzenia specjalnego Instytutu Młodości. W tej powieści też będą zawikłane intrygi, scenki komiczne, łyzy i karkołomne przygody.

- Czyżby cały instytut naukowy? - zapytała serio Helena.

- Może nawet nie jeden - odparł Ałmaz gasząc papierosa. - Widzę, jak w przyszłości uczeni

będą wciąż pracować nad tym problemem, aż wreszcie, po jakimś czasie, osiągną pewne sukcesy.

- Jaka szkoda, że tak późno. Może nie warto jechać do Moskwy?

- Musimy jechać! Koło historii obraca się tylko w jedną stronę. Będzie kiedyś eliksir dla całej ludzkości. Kiedyś. Dla przyszłych pokoleń. A my jesteśmy potrzebni po to, żeby ludzie zrozumieli, iż wieczna młodość jest możliwa.

- Szkoda. Myślałam...

- No, jeśli się zmartwiłaś, to muszę się przyznać, że skłamałem. Diabeł mnie podkusił. Daję głowę: eliksir będzie gotowy za rok i będziesz go mogła kupić za parę kopiejek w każdej aptece. Teraz jesteś zadowolona?

Wrócili do wagonu. Helena poszła do swego przedziału, natomiast Ałmaz zatrzymał się w korytarzu, gdzie czatował na niego Stiepan Stiepanow z albumem w rękach.

- Chce się panu spać? - zapytał Stiepanycz z obojętnością w głosie.

- Nie, nie jestem śpiący - odparł Ałmaz.

- Znakomicie - ucieszył się puszkinista. - Wspominał pan mimochodem o swoich kontaktach z dekabrystami. Jak do nich doszło?

Ostatnią rzeczą, którą Helena usłyszała przed zaśnięciem, był przytłumiony głos Ałmaza:

- Z Kuchelbeckerem zetknąłem się zupełnie przypadkowo...